

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



3

(43) 2005

Rozmowa o otwarciu ♦ Pillerowie we Lwowie i Chowań-
cowie w Stanisławowie ♦ Życie teatralne we Lwowie
i Krakowie ♦ O prof. Marii Komornickiej ♦ Wspom-
nienia ze szkoły Nôtre Dame ♦ Wiersz-piosenka Mariana
Hemara i Władzy Majewskiej ♦ Legendy Lucjana Sie-
mieńskiego ♦ Nasze miasta ♦ Słownik ♦ Wiadomości

KROK NAPRZÓD

Pierwsza połowa roku 2005 za nami, a wraz z nią wiele ciekawych przeżyć zarówno w skali całego państwa, jak i naszego lwowskiego świata. Tym miesiącom nadawała przede wszystkim sprawa otwarcia, a tym samym (pomimo demonstrowanych do ostatniej chwili obstrukcji i żałosnych wyglądów) – uznanie *de facto* przez stronę Lwowem dziś administrującą – istnienia wspaniałego historycznie i artystycznie Cmentarza Obrońców Lwowa. Na swój użytek nazywamy to raczej *poświęcenie*, a nie otwarciem, bo przecież Orleca Nekropolia była otwarta i wątpliwe, czy ktoś ośmieliłby się ją na nowo zamknąć.

Na uroczystość zjechało się wiele lwowian z różnych stron RP, Europy i świata, było sporo oficjeli. Najbardziej w oczy (i w uszy) rzucali się obaj prezydenci, ale bohaterem wydarzenia był niewątpliwie Andrzej Przewoźnik, postać numer 1 w dziele odbudowy pomnika Lwowskich Dzieci i całej dyplomacji z tym związanej. Nie zapominamy, rzecz jasna, pięknej postaci dyrektora Józefa Bobrowskiego z „Energopolu” ani panów Cydzika i Franczuka z całym zespołem lwowskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, ani konserwatorów – architekta Jarosława Skrzypczyka i rzeźbiarza Janusza Smazy, inżyniera Jana W. Wingralka i wielu wykonawców różnych sztuk, rzemiosł i branż technicznych. Wszystkim serdecznie dziękujemy!

I chociaż wspaniałe dzieło architektury Rudolfa Indrucha nie zostało jeszcze w pełni odbudowane – nie ma kolumnady ani lwów – Lwów odzyskał jeden ze swych ważnych zabytków, a zarazem Miejsc Świętych.

Co uważamy za najważniejszy efekt otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa? Oto dzięki szerokiemu nagłośnieniu w RP najpierw długotrwałych złośliwości działaczy tamtego państwa i miasta (oprzytomniali w ostatniej chwili, bo nie dało się inaczej), a potem pięknej uroczystości w dniu 24 czerwca – Lwów odżył w świadomości wszystkich Polaków, zaistniał w oczach polskiej młodzieży. Budująca była obecność całej rzeszy przybyłych i miejscowych polskich (a także ukraińskich) harcerzy i świadczona przez nich pomoc paru tysiącom uczestników lwowskiego wydarzenia. Jak również cała znakomicie przemyślana organizacja uroczystości – zasługa niezwykle profesjonalnej działalności pracowników Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, kierowanych przez Andrzeja Przewoźnika.

W tym numerze zamieszczamy *rozprawę* na temat refleksji, związanych z czerwową uroczystością we Lwowie.

* * *

Skoro padło nazwisko A. Przewoźnika: czujemy się zbulwersowani agresją skierowaną ostatnio przeciwko Jego dobremu imieniu. Nieznane jest źródło i intencja tej napaści, jednak sprawa jest grubymi nićmi szyta, co do tego nie ma wątpliwości. My jesteśmy z Panem, Panie Andrzeju!

Minister Przewoźnik nie jest zresztą jedyną godną postacią, do której stosuje się podjazdy. Stał się nim także kardynał Marian Jaworski, pod którym *ryje* niejaki – znany już ze swych szczególnych preferencji – Szostkiewicz. Tym razem przeholował – wara mu do bezpodstawnej krytyki postępowania Osoby, której szczególnie trudna misja nie może być oceniana przez byle pismaka, lawirującego między pismami katolickim i postkomunistycznym. Jak potraktować tytuł artykułu w „Gazecie Wyborczej” (a gdzieżby indziej?): *Za, a nawet przeciw kardynała Jaworskiego*, z nadtytułem: *Majstersztyk i Bubel Tygodnia*. (*majstersztyk* – Glempa i Huzara, *bubel* – Jaworskiego). Jak potraktować? Jako wyjątkowe chamstwo. A co na to ksiądz redaktor?

* * *

Ten numer 3 – więc teoretycznie przeznaczony na trzeci, letni kwartał – dotrze do Czytelników u progu jesieni. Trudno więc życzyć miłego wypoczynku wakacyjnego, jednak takie właśnie życzenie pozostawało tego lata w naszych myślach.

Redakcja

W związku z czasową nieobecnością Pani Barbary Czalczyńskiej, zamieszczamy trzy utwory Zbigniewa Herberta, którego podobizna zdobi okładkę tego numeru.

KRAJ

Na samym rogu starej mapy jest kraj, do którego tęsknię.
Jest to ojczyzna jabłek, pagórków, leniwych rzek, cierpkiego wina i miłości.
Niestety wielki pająk rozsunął na nim swą sieć i lepką śliną zamknął roгатki marzenia.
Tak jest zawsze: anioł z ognistym mieczem, pająk, sumienie.

WIATR I RÓŻA

W ogrodzie rosla róża. Zakochał się w niej wiatr. Byli zupełnie różni, on – lekki i jasny, ona – nieruchoma i ciężka jak krew.
Przyszedł człowiek w drewnianych sabotach i gołymi rękami zerwał różę. Wiatr skoczył za nim, ale tamten zatrzasnął przed nim drzwi.
Obym skamieniał – zapłakał nieszczęśliwy. – Mogłem obejść cały świat, mogłem nie wracać wiele lat, ale wiedziałem, że ona zawsze czeka.
Wiatr rozumiał, że aby naprawdę cierpieć, trzeba być wiernym.

MATKA

Upadł z jej kolan jak kłębek włóczki. Rozwijał się w pośpiechu i uciekał na oślep.
Trzymała początek życia. Owijała na palec serdeczny jak pierścionek, chciała uchronić.
Toczył się po ostrych pochyłościach, czasem piał się w górę. Przychodził splątany i milczał. Nigdy już nie powróci na słodki tron jej kolan.
Wyciągnięte ręce świecą w ciemności jak stare miasto.

Zbigniew Herbert

NASZE OKŁADKI 2005

W tym roku postanowiliśmy uwiecznić na okładkach kolejnych numerów „Cracovia–Leopolis” czterech wielkich poetów polskich, wywodzących się z naszych Ziemi południowo-wschodnich – Małopolski Wschodniej i Wołynia.

Nr 1 (41)
JULIUSZ SŁOWACKI (1809–1849)
Otwarcie jego muzeum w Krzemieńcu
(20 IX 2004)

Nr 2 (42)
MIKOŁAJ REJ (1505–1569)
500. rocznica urodzin

Nr 3 (43)
ZBIGNIEW HERBERT (1924–1998)
80. rocznica urodzin w ub. roku

Nr 4 (44)
ALEKSANDER FREDRO (1793–1876)
130. rocznica śmierci, przypadająca w przyszłym roku

Jadwiga Czerwińska

Z GRZYMAŁOWA W ŚWIAT ANTYKU

Profesor Anna Maria Komornicka, wieloletni pracownik naukowy Katedry Filologii Klasycznej Uniwersytetu Łódzkiego, uznana w świecie hellenistka, członek wielu towarzystw naukowych polskich i zagranicznych, członek kolegiów redakcyjnych naukowych pism w Polsce i za granicą (jest m.in. redaktorem naczelnym „Meandra”), autorka kilkunastu książek i około 200 innych publikacji, udekorowana Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta” i wieloma innymi odznaczeniami, na trwałe wpisała się w historię polskiej nauki jako znakomita uczona, doskonała dydaktyk, a także człowiek o wielkim sercu i charakterze.

Aнна Maria z hr. Wolańskich Komornicka urodziła się w 1920 roku we Lwowie w rodzinie ziemiańskiej o długich tradycjach. Bratem dziadka i ojcem chrzestnym Anny był Leon Piniński, profesor prawa rzymskiego we Lwowie, *doctor honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Stefana Batorego. Ojciec, Władysław Wolański, ukończył studia z zakresu filozofii i rolnictwa w Bonn, matka zaś, Julia z Pinińskich, pobierała nauki u ss. Niepokalanek w Jazłowcu, gdzie w latach 1930–1938 ucząc się także Anna Wolańska.

Gimnazjum Niepokalanek cieszyło się zasłużoną renomą. Jego wychowanki odbierały staranne wykształcenie, w którym szczególny nacisk kładziono na biegłą znajomość języków obcych współczesnych i łaciny. Jednak nie mniej ważna była atmosfera, w której dorastały uczennice jazłowieckiej szkoły. Prócz gruntownej wiedzy wpaiano im wartości, których znaczenia nie da się przecenić, a mianowicie życie w prawdzie, poczucie obowiązku i odpowiedzialności, patriotyzm (daleki od wszelkiego szowinizmu), praca w służbie innym w duchu miłości bliźniego i głęboko przeżywanej wiary w Boga¹. A.M. Komornicka do dziś serdecznie wspomina jazłowieckie gimnazjum, należy do aktywnego Koleżeńskiego Zjednoczenia Jazłowieckiego (KZJ), którego

członkinię – byłe wychowanki licznych szkół Niepokalanek w Polsce – są rozsiane po wszystkich kontynentach.

Po maturze w 1938 r. – za radą ojca, który uważał, że przed podjęciem studiów klasycznych jego córka powinna najpierw ukończyć studia prawnicze – Anna Maria zdecydowała się podjąć naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiowała tam pod okiem znamienitych uczonych: Rafała Taubenschlaga – uznanego w świecie znawcy prawa rzymskiego, Stanisława Kutrzeby – specjalisty prawa karnego i procesowego oraz historii ustroju Polski, czy Stanisława Estreichera – wykładającego historię ustrojów państw zachodnioeuropejskich. Rudymenty gramatyki i słownictwa greckiego zawdzięcza zajęciom prowadzonym przez Jerzego Schnaydra. Po złożeniu egzaminów w 1939 r. pomyślnie ukończyła I rok studiów. *Niestety II rok prawa na UJ nikomu z nas nie był pisany – tragiczny 1 września – dla mnie dodatkowo 17 września – przekreślił nasze marzenia i plany*² – wspomina A.M. Komornicka.

Początek wojny zastaje ją w rodzimym Grzymałowie, do którego po przekroczeniu granicy polskiej na Zbruczu 17 września 1939 r. weszły wojska sowieckie, aresztując jej ojca i innych obywateli ziemskich, których osadzono w więzieniu – najpierw w powiatowym Skałacie, potem w Tarnopolu. *W kwietniu 1940 r. został on wywieziony na Wschód i zamęczony z tysiącami innych wojskowych, sędziów, leśników i ziemian z Podola, Wołynia i Wileńszczyzny* – wspomina A.M. Komornicka. Pozostała rodzina (matka z czwórką dzieci), wypędzona z domu, przeniosła się do Lwowa, do babki Anny z Dzieduszyckich Wolańskiej. Przebywała tu do maja 1940 roku, pracując przez kilka miesięcy w klinice prof. Bocheńskiego jako pielęgniarka-wolontariuszka, jednak po nasileniu się wywózek rodzin polskich na wschód wraz z matką i rodzeństwem udało

jej się przedostać do Krakowa – również dzięki posiadanemu indeksowi UJ. 1 czerwca 1940 r. na Dębnikach wzięła ślub z Juliuszem Komornickim, mgr. prawa i Akademii Handlowej, z którym zaręczyła się na krótko przed wybuchem wojny, gdy studiowała na UJ. W czasie wojny urodziła czwórkę dzieci: Julię, która zmarła wkrótce po narodzinach na wadę serca, a następnie: Krzysztofa (1942), Stefana (1943) i Elżbietę (1944).

Po wojnie, w 1946 r., powróciła na studia na UJ, teraz jednak już na filologię klasyczną. Trafiła tu pod skrzydła najwybitniejszych filologów klasycznych, postaci-legend, których erudycja i bujna osobowość miały kształtować kolejne pokolenia młodych klasyków.

Pierwszym z nich, którego nazywa swoim mistrzem, był prof. Tadeusz Sinko, wielki erudyta i uczony. *Wzbudzał on powszechny lęk i respekt nie tylko z racji swojego wieku, gigantycznej wiedzy (był żyjącą biblioteką – i to „aleksandryjską!”), niepospolitej pamięci, ale też drakońskich wymagań oraz specyficznego charakteru*³ – wspomina. Pod bacznym okiem Sinki miała w przyszłości powstać praca magisterska Komornickiej, zatytułowana: *Quibus de fontibus homines apud Aristophanem comicum vitam cultumque sibi parent*. Do grona wybitnych znawców antyku, którzy prowadzili wówczas zajęcia i wykłady na UJ, należeli również prof. Seweryn Hammer, który po śmierci prof. K. Morawskiego w 1925 r. objął katedrę łatinistyki, dr Mieczysław Brożek, świetny łatinista i znawca literatury łacińskiej, prof. Jan Safarewicz, wybitny językoznawca, czy też prof. Ryszard Ganszyniec (od 1949 r. Gansiniec), fundator i redaktor „Filomaty”. Wykłady z filozofii prowadził prof. Roman Ingarden.

Anna M. Komornicka otrzymała dyplom ukończenia studiów Uniwersytetu Jagiellońskiego w zakresie filologii klasycznej na stopień magistra filozofii w 1951 roku.

Po ukończeniu studiów podjęła najpierw współpracę z Zakładem Archeologii Antycznej Instytutu Kultury Materialnej PAN, kierowanym przez prof. Kazimierza Majewskiego, doskonaląc tam swój warsztat naukowy

(1953–1960). Od tego czasu datują się również jej ożywione kontakty z ośrodkami naukowymi za granicą. Podczas konferencji w Dreźnie w 1956 r., wystąpiła z referatem na temat komedii Arystofanesa jako źródła poznania kultury materialnej Aten V wieku przed Chr.: *Aristophanes als Quelle für die Geschichte der materiellen Kultur seiner Zeit*. W dwa lata później otrzymała stypendium Humboldt-Universität w Berlinie, współpracując tam z miejscowymi instytucjami. Wygłaszała wykłady, poświęcone komedii starożytności – jednym z nich był: *Wert und Glaubwürdigkeit des Quellenmaterial der altattischen Komödie*, drugim: *Die Inspirationsquellen der Aristophanischen Dichtkunst*.

W roku 1959 wyjechała najpierw do Londynu, by wziąć udział w Międzynarodowym Kongresie Studiów Klasycznych, a następnie do Oxfordu na III Międzynarodową Sesję Patrystyki. Wyjazdy zagraniczne i kontakty z tamtejszymi uczonymi (m.in. prof. J. Niermeyere w Amsterdamie) stały się dla Komornickiej okazją do pogłębiania studiów, prowadzenia wnikliwych badań i kwerend naukowych. Miały one owocować bogatym dorobkiem naukowym oraz rozprawą doktorską, powstałą pod opieką prof. Kazimierza Kumanieckiego, a poświęconą twórczości Arystofanesa: *Métaphores, personifications et comparaisons dans l'oeuvre d'Aristophane*. Obroniła ją w 1963 r., otrzymując dyplom doktora nauk humanistycznych.

Na lata 1960–1967 przypada współpraca A.M. Komornickiej z Instytutem Archeologii Śródziemnomorskiej PAN pod kierunkiem światowej sławy prof. Kazimierza Michałowskiego. W tym samym okresie (1963–1969) wiąże się z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie prowadzi cykl wykładów monograficznych i konwersatoria, poświęcone przede wszystkim zagadnieniom związanym z komedią grecką i rzymską, ale również obejmowały one twórczość Pindara.





Poeta ten miał stać się przez wiele lat przedmiotem wnikliwych studiów i analiz A.M. Komornickiej, która temu lirykowi chóralskiemu poświęciła swoją kolejną monografię. Przygotowując ją, wielokrotnie wyjeżdżała na stypendia zagraniczne, goszcząc między innymi w ogromnie prestiżowym ośrodku badań nad antykiem w Genewie w Szwajcarii czy w Urbino we Włoszech, w którym przebywała trzykrotnie.

Z Uniwersytetem Łódzkim A.M. Komornicka związała się w roku 1969, gdy rozpoczęła pracę w Katedrze Filologii Klasycznej, kierowanej wówczas przez prof. Stefana Oświecimskiego. Jej zajęcia i wykłady budziły żywe zainteresowanie słuchaczy, a erudycja i kultura słowa – ich szczerzy podziw. Pracę dydaktyczną łączyła z dalszymi studiami nad twórczością Pindara, których efektem stała się jej rozprawa habilitacyjna: *Studia nad Pindarem i archaiczną liryką grecką (w kręgu pojęć Prawdy i Fałszu)*. Stopień naukowy doktora habilitowanego uzyskała w 1977 r.

Kolejne zaproszenia na gościnne wykłady monograficzne oraz seminaria to: na Uniwersytet w Nantes w 1978 r. (wykłady i seminarium z komedii greckiej) i do Lyonu w 1982 r.

Nawiązywanie i podtrzymywanie międzynarodowych kontaktów naukowych umożliwiła jej

nie tylko rozległa wiedza, ale i – niezwykła jak na tamte czasy – znajomość języków obcych: francuskiego, angielskiego, niemieckiego i włoskiego, co w pełni uzasadnia nadanie jej miana poliglotki. Zapraszana na międzynarodowe konferencje i sympozja oraz na wykłady, promowała w świecie naukę polską, umożliwiając równocześnie – dzięki swoim rozlicznym kontaktom – wyjazdy i stypendia zagraniczne naukowcom z Polski.

W latach 80. opracowywała kolejne hasła do *Słownika rodzajów literackich*, zajmując się równocześnie twórczością Simonidesa z Keos (monografia pt. *Simonides z Keos. Poeta i mędrzec*, 1984⁴, pierwsza i jak dotąd jedyna) oraz twórczością innych archaicznych poetów (Archiloch, Teognis). W 1987 r. ukazała się kolejna książka Komornickiej: *Poezja starożytnej Grecji. Wybrane gatunki literackie*. W tym samym roku nadany jej został tytuł profesora nadzwyczajnego.

Pomimo przejścia na emeryturę w roku akademickim 1991/1992 A.M. Komornicka nie zrezygnowała z działalności dydaktycznej, prowadząc nadal seminarium greckie dla studentów filologii klasycznej UŁ, na polonistycę, filologii francuskiej i angielskiej (także w Wyższej Szkole Języków Obcych

i Ekonomii w Częstochowie (obecnej Akademii Polonijnej).

Rozległe zainteresowania naukowe Anny M. Komornickiej koncentrują się wokół dramatu greckiego, zwłaszcza komedii greckiej V w. przed Chr., archaicznej liryki greckiej, genezy i ewolucji pewnych pojęć-terminów literackich. Zajmuje się też komparatystyką i recepcją literatury antycznej w twórczości poetyckiej epok nowożytnych, ale również patrystyką i literaturą wczesnochrześcijańską. Dokonuje analizy językowo-literackiej zagadnień biblijnych (ST, NT). Spośród prac A.M. Komornickiej z tej dziedziny na początku należy wymienić dwie pozycje książkowe: *Słownik zwrotów i aluzji biblijnych* (1994), dwutomowe *Zagadki z Biblii, tradycji i kultury chrześcijańskiej* (2000).

Jest też autorką artykułów naukowych dotyczących Nowego Testamentu, tłumaczącą i to nie tylko książek czy prac naukowych, ale również przekłada teksty literatury czy to francuskiej, czy też wczesnochrześcijańskiej – publikowane przeważnie w miesięczniku „W Drodze”, w „Powściągliwości i pracy”. *Wiemy dobrze, że najważniejsze prace Anny Komornickiej stanowią jej uczone rozprawy i artykuły z dziedziny literatury starogreckiej, z których jednak nie skorzystają szerokie rzesze czytelników. Ci natomiast są wdzięczni za jej popularyzację Biblii, literatury wczesnochrześcijańskiej i, ogólnie mówiąc, kultury chrześcijańskiej* – pisze ks. Marek Starowieyski⁵.

Poza działalnością *stricto* naukową prowadzi działalność popularyzatorską, publikując cztery książki o tematyce antycznej dla młodzieży, nagrywając słuchowiska radiowe (ok. 20) i udzielając wywiadów w mediach. Promuje w ten sposób wiedzę o starożytności, a co ważniejsze, propaguje wartości, które są z tą wiedzą nierozzerwalnie związane, między innymi ideał antycznej *kalogagathia*.

Profesor Anna Komornicka aktywnie uczestniczy z życia naukowym, pełni wiele funkcji, współpracuje z czasopismami. Od roku 1994 jest redaktorem naczelnym „Meandra”, poświęconego kulturze świata starożytnego, wydawanego pod egidą PAN. Czasopismo to pod względem jakości należy do czołówki wydawnictw tego typu, czytanych i cytowanych także poza granicami Polski⁶.

Autorytet, jakim cieszyła się i nadal cieszy prof. Komornicka, sprawiał, że wielokrotnie Instytucje polskie zwracały się do niej z prośbą o opinie w sprawach programów naukowych wyższych uczelni czy wydawania prac naukowych. Powoływano ją na recenzenta w sprawach personalnych kandydatów na awanse i tytuły naukowe, proszono o dokonywanie ocen już opublikowanych dysertacji czy monografii, przedstawianych do nagród PAN. Udostępniała i nadal udostępnia swój prywatny, bardzo bogaty księgozbiór, w którym znaleźć można wszystkie nowinki naukowe, pojawiające się za granicą, które otrzymuje od swoich przyjaciół ze świata i przywozi w podróży zagranicznych. Nadal jest nieocenionym mistrzem dla swoich byłych studentów, którym cierpliwie doradza, dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem.

Rozległa wiedza, erudycja, a przy tym życzliwość okazywana ludziom, takt w obcowaniu z nimi i kultura osobista sprawiają, że jest postrzegana jako osoba o niebywałej klasie. Zawsze pogodna, bezpośrednio, z wielkim poczuciem humoru, bez cienia pompy i celebry, zyskuje sobie szacunek i przyjaźń tych, z którymi się zetknęła. Dla nas, jej uczniów, zawsze była i pozostanie wzorem człowieka i uczonego wielkiego formatu, zasłużenie ciesząc się ogromnym autorytetem⁷.

PRZYPISY

- ¹ Joanna Rybkowska, *Profesor Anna Maria Komornicka. Życie i praca* [w:] *Collectanea Philologica II in honorem Annae Mariae Komornicka*, Łódź 1995, s. 5; „Głos Koleżeński” 1993, nr 9.
- ² Anna Maria Komornicka, *UJ za dwoma nawrotami. Część pierwsza: lata 1938–39* [w:] „Alma Mater” 25 UJ, Kraków 2000, s. 39.
- ³ Anna Maria Komornicka, *UJ za dwoma nawrotami. Część druga: lata powojenne* [w:] „Alma Mater” 27 UJ, Kraków 2000/2001, s. 31; eadem, *Tadeusz Sinko (1877–1996)* [w:] *Xenia Toruniensis VII. „Magistri et discipuli”*, Toruń MMIII, s.7–17 (w jęz. francuskim).
- ⁴ Anna M. Komornicka, *Simonides z Keos. Poeta i mędrzec*, Wrocław–Łódź 1984, 159 ss., bibl.,il.
- ⁵ Ks. Marek Starowieyski, *Profesor Anna Maria Komornicka – popularyzatorka kultury chrześcijańskiej* [w:] *Sylwetki łódzkich uczonych, Profesor Anna Maria Komornicka*, red. serii Edward Krasiński, red. zes. Jadwiga Czer-

ciąg dalszy na s. 51

Ojciec piśmiennictwa polskiego

Na okładce poprzedniego numeru zamieściliśmy starą podobiznę, wewnątrz zaś notkę – przypominającą o 500. rocznicy urodzin Mikołaja Reja – zapowiadając zarazem obszerniejsze omówienie w niniejszym numerze postaci naszego wielkiego twórcy epoki renesansu.

Mikołaj Rej (Rey), Ojciec Poezji Polskiej lub jeszcze szerzej: Ociec Piśmiennictwa Polskiego – urodził się przed 500 laty, 4 lutego 1505 r. w Żurawnie*, w ówczesnej Ziemi Halickiej (którą współczesne pokolenia znają jako województwo stanisławowskie). Jego ojcem był Stanisław z rodu Rejów herbu Oksza, którzy pisali się z *Nagłowic*, matką Barbara Herburtówna z Dobromila.

Mikołaj pobierał nauki najpierw w Skalbierzu, potem we Lwowie, zaś w 1518 r. zapisał się na Akademię Krakowską, jednak w rok później wrócił do rodzinnego Żurawna. Od 1524 roku znowu swoje wykształcenie uzupełniał i dworską oglądę zdobywał na dworze wojewody sandomierskiego Andrzeja Tęczyńskiego. Jednak w 1529 r. zmarł jego ojciec, Mikołaj wrócił więc znowu do Żurawna, podejmując obowiązki gospodarskie. W 1531 r. ożenił się z Zofią Kosnowną, z którą miał ośmioro dzieci: Annę, Dorotę, Bogumiłę, Elżbietę i Barbarę oraz Mikołaja, Krzysztofa i Andrzeja. Synowie ci dali początek kilku gałęziom rodziny, z których część żyła w Małopolsce Wschodniej do czasów nam współczesnych, tzn. do II wojny światowej: w Mikulińcach k.

Tarnopola i Psarach k. Rohatyna.

Mikołaj Rej zarządził kilkoma majątkami w Ziemi Chełmińskiej oraz dobrami w południowych województwach. W roku 1539 objął odziedziczone po krewnych Nagłowice. W 1547 r. założył miasto Rejowiec w Ziemi Chełmińskiej, a kilka lat później Okszę blisko Nagłowic.

Od 1542 r. posłował do sejmów, reprezentując najczęściej ziemie południowo-wschodnie. W 1557 r. wziął udział w pospolitym ruszeniu pod Lwowem i słynnej „wojnie kokoszej”. W latach 40. XVI w. uzyskał przywileje królewskie i tytuł dworzani na królewskiego. Zygmunt August powołał go do komisji, która przygotowywała unię polsko-litewską. Należał do stronnictwa, które dążyło do przeprowadzenia reform ustrojowych w państwie. Na sejmach wygłaszał przemówienia i zgłaszał projekty.

Równoległe z działalnością polityczną uprawiał twórczość literacką i uczestniczył w burzliwych sporach religijnych swojej epoki, co doprowadziło go do przejścia na protestantyzm: w 1541 r. stał się wyznawcą kalwinizmu. W swoich dziełach literackich poruszał relacje między wyznaniem chrześcijańskimi; jego utwory były osadzone w humanistycznym i reformatorskim duchu epoki; były ponadto przepelnione politycznymi aluzjami. Dał się poznać jako teolog, brał udział w dysputach teologicznych. Zabiegał o popularyzację Ewangelii w języku polskim, dokonywał przekładów tekstów biblijnych z łaciny.

Rej pisał po polsku, kiedy jeszcze w literaturze dominowała łacina. Pisarstwo w języku ojczystym dało bodźce do rozwoju literatury narodowej. Napisał wszak, że *Polacy nie gęsi...* Wśród jego dzieł odznaczają się: *Krótka rozprawa między Panem, Wójtem a Plebanem*, utwory dramatyczne – *Historia Józefa i Kupiec*, a następnie *Katechizm* i *Psalterz Dawidów*. Najbardziej znane są: *Wizerunek własnego żywota człowieka poczciwego*, *Zwierciadło* i *Postylla Pańska*, będąca zbiorem kazań protestanckich.

Mikołaj Rej zmarł jesienią 1569 r. prawdopodobnie w Rejowcu. Nie ma jednak pewności, gdzie został pochowany, może w Okszy? Jednak na pewno nie w Żurawnie, które w owym czasie znalazło się w rękach poprzednich właścicieli, Żurawińskich.

* Patrz CL 3/99, *Słownik*. O Żurawnie pisaliśmy też kilkakrotnie w związku z rodziną XX. Czaratorskich, którzy byli jego właścicielami do II wojny, także w poprzednim numerze.



Pilleraowie

Adam Trojanowski

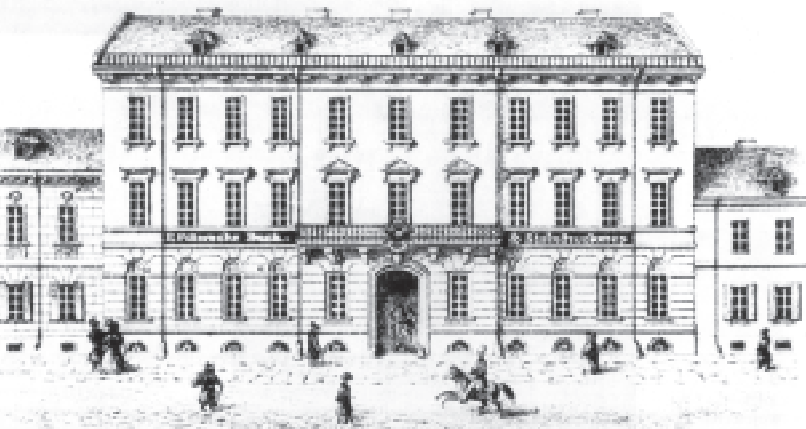
D R U K A R Z E L W O W S C Y

„Schematismus des Konigsreiches Galizien und Lodomerien”, wydawany corocznie – później już jako „Schematyzm Królestwa Galicji i Lodomerii”, to w gruncie rzeczy wykaz austriackich urzędów przez około 140 lat, rok w rok, z typową austriacką precyzją biurokratyczną. Na stronie tytułowej jednego z najstarszych roczników – z roku 1808 – znajduje się oprócz herbu monarchii w postaci czarnego dwugłowego orła, także istotny napis, a mianowicie: Gedruckt und zu haben bey Joseph Johann Piller (Wydrukowane i do nabycia u Józefa Jana Pillera). Informacja jest ważna, dotyczy bowiem szczególnej pozycji wydawniczej, pojawiającej się co roku, o objętości około 1000 stron, więc zapewniającej edytorowi znaczny i powtarzający się zbył.

Wymieniony Jan Józef Piller był synem Antoniego, który przybył do Lwowa z Wiednia w roku I rozbioru Polski. Życie jego przebiegało w okresie przemian ustrojowych, jakie miały miejsce w Austrii zgodnie z duchem absolutyzmu oświeconego, poprzez reformę administracji, sądownictwa, finansów, szkolnictwa, wojska itd. Założył we Lwowie firmę drukarską, dla której sprowadził z Wiednia wyposażenie drukarni, tworząc w ten sposób solidną, nowoczesną na owe czasy bazę produkcyjną. Wykazując szczególną przedsiębiorczość zawodową, związał swój los z mało wtedy znaną, ogólnie nową prowincją cesarstwa w randze królestwa, nazwaną Galicją i Lodomerią. Jako sygnet drukarski firmy zastosował postać kobiecą oraz prasę drukarską z napisem Altius, a niżej Labore et Favore, stanowiący symboliczny przekaz, informujący iż firma Pillera kieruje się dążeniem ku rozwojowi poprzez pracę i zdobywanie uznania. W ciągu ośmiu lat swojej działalności we Lwowie wydał Antoni Piller około 70 tytułów w językach łacińskim, niemieckim, francuskim i polskim. Od rządu austriackie-

go otrzymał tytuł Typografa Gubernialnego Jego Cesarskiej Mości, a także Drukacza Uniwersyteckiego. Zdobył, jak widać, wybitną pozycję w społeczeństwie lwowskim. Drukował przede wszystkim wydawnictwa urzędowe, podręczniki, kalendarze, modlitewniki, a w 1776 r. rozpoczął wydawanie tygodnika „Gazette de Leopold”, w którym wprowadził wydruk reklamy swoich wydawnictw. Nie brakowało mu inicjatywy, przeto firma stała się czołową drukarnią lwowską, przejmującą w walce konkurencyjnej tamtejsze drukarnie, a mianowicie franciszkańską oraz jezuicką. Antoni Piller dawał sobie dobrze radę w czarno-żółtej rzeczywistości administracyjnej, skorzystawszy m.in. z reformy Józefa II, podporządkowującej kościół katolicki państwu. Swoje umiejętności oraz doświadczenie przekazał swym potomnym, jako rzutki, nowoczesny przedsiębiorca, umiejący się dostosować do wymogów i możliwości ówczesnego społeczeństwa galicyjskiego oraz władz.

Zmarł we Lwowie w 1781 r., a prowadzenie przedsiębiorstwa przejęła jego żona Józefa, włączając później do tej działalności swego syna Tomasza. W okresie tym zostało uruchomione wydawanie powieści i dramatów oraz kilku lwowskich czasopism w języku polskim i niemieckim. Po jej śmierci działalność firmy kontynuowali dwaj synowie: Tomasz i Józef Jan. Drukarnia Pillarów, prowadzona kolejno przez obu braci, była przedsiębiorstwem niezwykle aktywnym, nowoczesnym, które eliminowało lokalnych konkurentów. Rozbudowali branżę pomocnicze, w tym np. papiernię w miejscowości Szkło, a także uruchomili własną księgarnię przy placu Dominikańskim. Tam zamieszkiwał Józef Jan, co podaje „Schematyzm”, formułując odnośną informację: wohnt nachst der Dominikaner in der Stadt (mieszka w pobliżu Dominikanów w mieście). Można przypuszczać, że informacja ta miała określić iż Józef Jan mieszka w śródmieściu*. Po śmierci Tomasza firma wydawała



również druki urzędowe oraz szkolne, prowadząc za pomocą katalogu swych wydawnictw stosowną informację i reklamę. Celem dalszego wzbogacenia możliwości edytorskich drukarnię zaopatrzone w czcionki greckie i hebrajskie, dołączając je do posiadanych już wcześniej ruskich (w cyrylicy).

Niewiarygodna aktywność tej rodziny przybyłej z Wiednia potrafiła jej szybko włączyć się w wielonarodowe społeczeństwo lwowskie, ulegając tam naturalizacji. Szczególnie zaskakująca jest pożyteczna działalność wydawnicza Pillerów z myślą o ówczesnych Polakach, przyczyniająca się do kształtowania ich patriotycznych postaw w czasach narastającego uświadomienia narodowego. W wydawnictwie Józefa Jana pojawił się np. „Dziennik patriotycznych Polaków”, a w 1821 r. *Zabobon czyli Krakowiacy i Górale*, opracowany dla teatru przez Jana Nepomucena Kamińskiego. Jako pierwszy we Lwowie założył zakład litograficzny i wydawał m.in. okresowo *Zbiór najpiękniejszych okolic w Galicji*.

Po śmierci Józefa Jana w 1824 r. drukarnię objął jego syn **Piotr**, zaś księgarnię rodzinną prowadził jego brat **Franciszek**. Piotr ur. w 1821 r. wydał m.in. *Sonet*y Adama Mickiewicza oraz *Pieśni* J. Przerwy Tetmajera, zawierające znaną i popularną pieśń wojskową *Jak wspaniała nasza postać*. Jako pierwszy wydał powieść poetycką *Maria* Antoniego Malczewskiego. Kontynuował wydawnictwa litograficzne jak *Zbiór widoków celniejszych ogrodów w Polsce*, *Galicja w żurnalach*, a do „Dzienników mód paryskich” dołączał litografowane, barwne tabli-

ce. W dowód uznania jego działalności został pierwszym zwierzchnikiem Towarzystwa Księgarzy, Antykwarzy i Drukarzy, założonego we Lwowie w 1848 r. Ponadto wydawał czasopisma „Haliczanin”, „Lwowianin”, „Gazeta Lwowska” oraz „Chochlik” i inne. Za jego to czasów nastąpiło powiększenie potencjału wydawniczego firmy poprzez dalszy rozwój zakładu litograficznego oraz wzrost ilo-

ści pras drukarskich. Edycje litograficzne umacniali swymi dziełami m.in. Franciszek Tępa oraz Józef Bem.

Lwów przeżywał bujnie okres Wiosny Ludów, wzbogaćany czasopismami o wybitnie patriotycznym i narodowym charakterze. Wtedy to Piotr wydał m.in. odezwę *Do moich kolegów*, w której nawoływał do rozwijania świadomości społecznej, utrzymania spokoju oraz porządku. Odezwa ta okazała się dla ówczesnego społeczeństwa lwowskiego zbyt konserwatywna i działalność drukarni oceniono wtedy jako proaustriacką, nieodpowiadającą rewolucyjnemu duchowi, jaki przeniósł wówczas ludy Europy. Zecerzy odmówili w tej sytuacji składania czasopisma „Polska”, uważając je za nieodpowiednie wobec aktualnych konfliktów społecznych. Piotr Piller zmarł w 1874 r.

Księgarnia prowadzona przez Franciszka została przeniesiona z ul. Dominikańskiej na ul. Długą, a później na Halicką. W tym okresie uruchomiono filie firmy w Tarnowie oraz Tarnopolu. Asortyment wydawniczy drukarni był nadal niezwykle urozmaicony tematycznie, a także językowo. Przyjmując wspólnika firma zmieniła nazwę na „Franz Piller u. Comp. Buch-Kunst u. Musikalienhandlung”. W wyniku licytacji Franciszek uzyskał wyłączność druku i sprzedaży książek szkolnych na terenie Galicji. W wyniku protestów konkurencji została mu ona później odebrana i rozdzielona pomiędzy innych wydawców. Franciszek prowadził także sprzedaż globusów, map, świętych obrazów, pamiątek, a także surowców malarskich jak papier i farby. Poprzez swą wielokierun-

kowość działalność firmy stała się wręcz imponująca.

Jeszcze w okresie ucisku austriackiego w Galicji wydał *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* A. Mickiewicza, które znaleziono podczas rewizji na terenie firmy. Była tam także *Odezwa Kościuszki do chłopów* oraz inne jeszcze wydawnictwa patriotyczne. Z tego to powodu został skazany w roku 1833 na 3 miesiące aresztu. Franciszek Piller był pierwszym w tej rodzinie, którego ambicje służenia kulturze polskiej wykroczyły poza interesy zawodowo-ekonomiczne. W latach sześćdziesiątych firma zbankrutowała, a Franciszek zmarł w 1871 r. w przytułku dla starców.

Syn Piotra **Kornel**, urodzony w 1823 r., był współnikiem ojca pod firmą „Piotr Piller i S-ka”, prowadząc działalność drukarską i wydawniczą. Od 1856 r. prowadził samodzielnie firmę wraz z odlewnią czcionek przy ul. Łyczakowskiej. Wydawał czasopisma, w tym „Przyjaciela domowego” oraz „Gazetę Narodową”, związane z powstaniem styczniowym, co stało się przyczyną osadzenia Kornela czasowo w więzieniu śledczym. Obszerną tematykę jego wydawnictw reprezentują oprócz dzienników i gazet także takie pozycje tematycznie różne, jak np. *Szkice historyczne* Karola Szajnochy, *Oblężenie i zburzenie Jerozolimy* Józefa Flawiusza, przewodnik po Lwowie pt. *Pamiętka wycieczki do Lwowa* lub *Świątek dziecięcy* Władysława Bezy. Kontynuował także wydawanie żurnali mody, litografii widokowych oraz portretowych, a także muzykaliów. Wydrukował *Herbarz polski i imieniospis zasłużonych w Polsce ludzi wszystkich stanów i czasów*, co obrazuje dodatkowo zakres jego działalności drukarskiej i wydawniczej. Za jego to życia obchodzono uroczyste stulecie założenia drukarni Pillerowskiej we Lwowie, w którym brali udział m.in. Kornel Ujejski i Bolesław Limanowski. Kornel Piller stanowił czwarte już pokolenie rodziny działającej na terenie Lwowa i wcześniej już spolonizowanej. Zmarł w 1885 r. i pozostawił 14 dzieci.

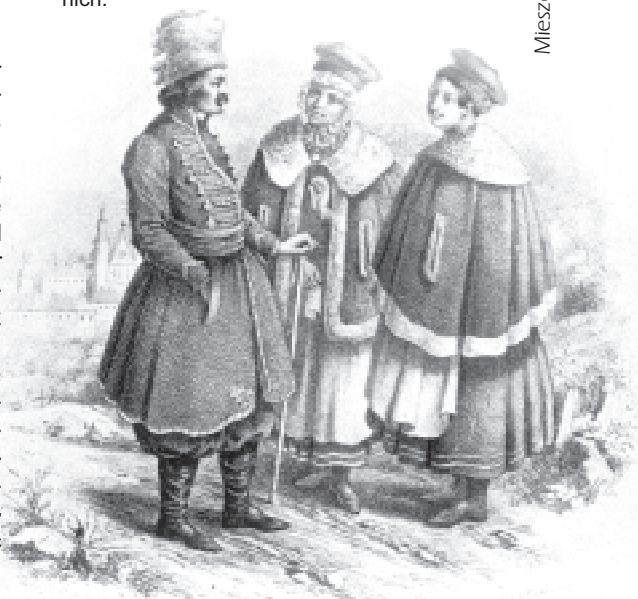
Skutkiem przeinwestowania firma zaczęła jednak podupadać i przyjęła współwłaściciela. Usiłowanie konkurowania spowodowało niechęć lwowskiego świata drukarskiego wobec niej. Synowie Kornela, **Piotr Paweł** oraz **Leon**, prowadzili nadal działalność

wydawniczą w firmie pod nazwą „Drukarnia Pillerów i Spółki”, która jednak ostatecznie przyjęła nazwę „Drukarnia i Litografia Piller-Neumann”. Wynikało to z faktu zamążpójścia córki Kornela Kazimierzy za zecera firmy **Józefa Neumanna****, który stał się współwłaścicielem firmy. W dziale litografii tejże firmy pracował najstarszy syn Kornela Leon, który w 1905 r. nabył drukarnię w Rzeszowie i wydawał tam „Gazetę Rzeszowską”. Drukarnia została później sprzedana, a Leon wrócił do Lwowa, gdzie zmarł w 1921 r.

Firma rodziny Pillerów dotrwała do 1944 roku. Działała więc około 150 lat, przeżywając różne koleje losu oraz przyjmując różne nazwy, aż do jej zupełnego zaniknięcia. Rodzina ta pozostawiła po sobie opinię ludzi o niezwykłej przedsiębiorczości, służących rozwojowi społeczeństwa polskiego w Galicji, wśród kolejno następujących zawirowań politycznych i społecznych, charakterystycznych dla ówczesnej monarchii habsburskiej.

* Drugim kościołem Dominikanów we Lwowie był kościół św. Marii Magdaleny. Klasztor zniesiony przez Austriaków w 1784 r. został zamieniony na zakład karny dla kobiet, a kościół stał się parafialnym.

** Józef Neumann (1857–1932), poseł na sejm krajowy i w latach 1911–27 prezydent m. Lwowa (z roczną przerwą 1914–15, zastępował go Tadeusz Rutowski, wywieziony do Rosji). Przyczynił się do założenia Targów Wschodnich.



Maria Pawłowiczowa

Drukarnia Chowańców w Stanisławowie na tle rozwoju typografii w Stanisławowie

Drukarnia Stanisława Chowańca działała ponad pięćdziesiąt lat. Założona u schyłku XIX wieku, w okresie zaborów, rozkwitła w Niepodległej Polsce. Jej kres nastąpił wraz z wybuchem II wojny światowej, gdy po 17 IX 1939 roku wkroczyła do Polski armia Kraju Rad.

Na temat stanisławowskiego ośrodka typograficznego nie ma prac całościowych. Są tylko drobne noty w *Słowniku Pracowników Książki Polskiej* o poszczególnych drukarzach działających w tym mieście. Tak więc krótko ten ośrodek trzeba scharakteryzować. Na podstawie przeprowadzonej kwerendy stwierdziłam, że ocalało niewiele druków stanisławowskich. Do największych osiągnięć tej kwerendy należy odnalezienie rodziny zasłużonego typografa. Pan Adam Jerzy Chowańiec, syn właściciela drukarni, udzielił mi wielu rzetelnych informacji. Serdecznie Mu za to dziękuję.

Na wstępie należy też przedstawić Stanisławów i przypomnieć jego bohaterską przeszłość. Twierdza stanisławowska, założona w połowie XVII wieku, broniła południowych rubieży Państwa Polskiego przed najazdami wrogów. W obrębie murów, pod opieką rodu Potockich, rozwinęło się z czasem miasto, któremu prawa nadano w 1662 roku, a potwierdził je król Jan Kazimierz. Osiedli tu Polacy, Rusini, Ormianie i Żydzi, a każda nacja miała swoje ośrodki kultu

i szkoły, posługiwała się własnym językiem i alfabetem. Książka drukowana przywożona była ze Lwowa i z Krakowa. Różnego typu rękopisy powstawały w lokalnych skryptoriach.

Sytuacja zmieniła się po I rozbiore Polski, gdy Stanisławów wcielony został do Galicji. Władze austriackie usunęły Potockich, a w 1812 roku zli-

kwidowały obwarowania twierdzy. Stanisławów stał się odtąd małym galicyjskim miastem powiatowym, poddanym germanizatorskiemu reżimowi.

W tym mrocznym okresie, w 1828 roku – Jan Milikowski założył tu pierwszą księgarnię, a w 1834 roku Jan Paweł Piller uruchomił pierwszą drukarnię. Obydwie firmy prowadziły działalność nakładową i przez 40 lat funkcjonowały bez konkurencji. Im też należy przypisać utworzenie w Stanisławowie polskiego ośrodka wydawniczego.

Ale nieliczne polskie druki w pierwszym okresie wytłoczono tu ze względu na ostrą cenzurę. Ich poczet rozpoczęła *Biblia* w przekładzie ks. Jakuba Wujka (1840). Gruntowne zmiany zaistniały w Galicji dopiero w erze autonomii, w latach 1868–1914. Wprowadzono wówczas język polski do urzędów i szkół, w związku z czym wzrosło zapotrzebowanie na słowo drukowane.

W Stanisławowie wykorzystał ten popyt Jan Dankiewicz, który kupił w 1868 roku drukarnię Pillera, szybko ją rozbudował i unowocześnił. Te udogodnienia umożliwiły mu druk pięknie wydanych książek z zakresu historii i literatury. Tu w roku 1894 wytłoczono m. in. sześć tomów *Dzieł Juliusza Słowackiego*.

Dankiewicz rozpoczął też wydawanie czasopism. Pisma lokalne były przeważnie efemerydami, ważne jednak, iż w Stanisławowie poczęło się wówczas formować środowisko dziennikarskie. W latach autonomii galicyjskiej wychodziły w tym mieście 33 czasopisma polskie, ukazywały się też ukraińskie i żydowskie.

Stanisławów był już ukształtowanym ośrodkiem edytorskim, gdy w latach pięćdziesiątych XIX wieku nastąpiła w mieście zmiana pokoleniowa. Księgarnię Milikowskiego nabył Włodzimierz Doboszyński, a nową drukarnię założył Czesław Chowańiec, który wybił się w krótkim czasie na czołowego wydawcę. Pochodził z Tarnowa i tam w 1880 roku został towarzyszem sztuki drukarskiej. Gdy przeniósł się do Stani-

Stanisław Chowańiec,
twórca dynastii



sławowa, podjął pracę u Dankiewicza. Już w 1883 roku został kierownikiem drukarni, a w 1886 ożenił się z córką Dankiewicza, Sabiną. Teść pomógł mu usamodzielnic się i wsparł finansowo, gdy organizował własną drukarnię. Chowaniec szybko swój zakład rozwinął i założył tu dział litograficzny. U niego ukazały się wkrótce cztery tomy *Dzieł Adama Mickiewicza*.

Gdy w 1910 roku Stanisław Chowaniec w młodym wieku nagle zmarł, zostawił dobrze prosperującą firmę. Drukarnia posiadała już wówczas dziesięć nowoczesnych maszyn i urządzeń oraz 5700 kg różnego typu czcionek. Stanisław Chowaniec zostawił też czterech synów i to oni poprowadzili, wspaniale rozwinęli oraz unowocześnili tę oficynę, do 1939 roku zachowując nazwę DRUKARNIA I LITOGRAFIA STANISŁAWA CHOWAŃCA. Utworzyła się tym samym dynastia drukarzy, którzy wnieśli ogromny wkład do kultury całego Pokucia. Najstarszy z nich – Waclaw (1887–1985), prawnik i ekonomista – przeniósł drukarnię z przedmieścia do nowych, wybudowanych w centrum pomieszczeń, kupił nowoczesne maszyny.

Te prace zakłóciła I wojna światowa. Stanisławów przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk walczących ze sobą armii. Dopiero w 1919 roku miasto znalazło się pod władzą polską. W odrodzonej Polsce Stanisławów stał się stolicą województwa, a Waclaw Chowaniec od 1924 roku pełnił funkcję burmistrza, potem prezydenta Stanisławowa, ponadto został posłem na Sejm RP. Nadmiar prac publicznych zmusił go do rezygnacji z zarządzania drukarnią. Obowiązki swe scedował więc na braci: Tadeusza (1897–1940), Władysława (1901–1987), który był inżynierem, oraz Czesława (1899–1968), historyka i pisarza.

Oni rozbudowali znacznie park maszynowy, aby sprostać zamówieniom formujących się instytucji całego województwa. Tłoczono też u Chowańca pomoce naukowe dla sieci różnego typu szkół. Ale przede wszystkim ukazywały się w Stanisławowie pięknie wydane dzieła literackie.

Do trwałych wartości należą przede wszystkim publikacje związane z regionem stanisławowskim. Kilka z nich ma charakter bibliofilski. Przede wszystkim wymienić należy *Katalog Wystawy Historycznej Miasta*



Stanisławowa. W 1928 roku zorganizował tę wystawę wraz z grupą działaczy dr Czesław Chowaniec, był on też autorem wstępu do *Katalogu*, przygotował niektóre ekspozyty. Z jego inicjatywy założono wówczas Muzeum Pokuckie na bazie materiałów zgromadzonych na wystawie.

Okazała *Księga Pamiątkową* uczczono 260-lecie istnienia w Stanisławowie szkoły średniej. Gimnazjum im. Mieczysława Romanowskiego uważano za spadkobiercę szczytnych tradycji Akademii Potockich działającej jeszcze w twierdzy. Pięknym zwłaszcza drukiem bibliofilskim okazało się dzieło Czesława Chowańca *Ormianie w Stanisławowie w XVII i XVIII wieku*, wysoko ocenione przez Aleksandra Semkowicza podczas III Zjazdu Bibliofilów we Lwowie. Innego typu drukiem zabytkowym jest tłoczona w oficynie Chowańca w 1935 roku *Księga Pamiątkowa mieszczaństwa polskiego w Stanisławowie 1868–1934*. Ta rzadko dzisiaj spotykana pozycja stanowi nieocenioną kopalnię wiedzy o kresowym mieście. Do stałych pozycji należał „Kurier Stanisławowski”. Był to tygodnik regionalny o wysokim poziomie merytorycznym i edytorskim.

W latach trzydziestych nastąpiły pewne zmiany w rodzinie Chowańców. Gdy już drukarnia, bardzo nowoczesna, prosperowała dobrze, dr Czesław Chowaniec wyjechał w 1931 roku do Paryża i tam podjął pracę w Bibliotece Polskiej jako kustosz. Opublikował wówczas *Katalog rękopisów* tejże Biblioteki. Inżynier Władysław Chowaniec rozpoczął pracę w fabryce samolotów bojowych w Warszawie. Najstarszy z braci – prawnik Waclaw Chowaniec – przeniósł się do Lwowa, gdzie został dyrektorem Hipotecznego Banku Akcyjnego.

Zagłada ośrodka typograficznego nastąpiła w Stanisławowie we wrześniu 1939 roku. Na mocy paktu Ribbentrop–Mołotow osiem województw wschodnich Państwa Polskiego znalazło się pod władzą sowiecką. Na-

stąpiło wówczas kompleksowe niszczenie Polaków, polskiego majątku i kultury. Nowoczesne urządzenia drukarni Chowańców wywieziono do Moskwy i tam prawdopodobnie otrzymała je redakcja „Prawdy”.

Prześladowania dotknęły też właścicielei oficyny. Tadeusz Chowaniec został przez NKWD aresztowany, wywieziony w okolice Charkowa, a tam w kwietniu 1940 roku rozstrzelany wraz z tysiącami polskich oficerów oraz cywilów. Jego matka, Sabina Chowańcowa, została wywieziona pierwszym transportem do Kazachstanu, gdzie zmarła z głodu. Wacław Chowaniec, będący wraz z rodziną na liście NKWD, uciekł w ostatniej chwili ze Lwowa i przetrwał wojnę w Krakowie. Zmarł w 1985 roku. Inżynier Władysław Chowaniec jako ochotnik walczył we wrześniu 1939 roku pod rozkazami gen. Kleeberga. Ranny pod Kockiem, uniknął niewoli. Po wojnie był współorganizatorem Politechniki Wrocławskiej i tu pracował następnie jako profesor zwyczajny. Natomiast dr Czesław Chowaniec walczył w szeregach armii polskiej we Francji, przebywał też wraz z wojskiem w Anglii. Po wojnie odbudowywał Bibliotekę Polską, której był dyrektorem do śmierci. W 1968 roku spoczął w kwaterze dla Zasłużonych na Polskim Cmentarzu pod Paryżem.

Ponieważ po zakończeniu II wojny światowej utraciliśmy Kresy, drastycznie przesunęła się granica lityry łaćnińskiej. Na wschód od Bugu i Sanu obowiązuje grazdanka. W drukarniach zasoby łaćnińskie zostały zlikwidowane. Książki mające w stopce nazwę „Stanisławów” są już historią – miasto nazywa się obecnie Iwanofrankowsk. Dziś badania nad dziejami księgarń i drukarni dawnego Stanisławowa wpisują się w zabiegi o odtworzenie przeszłości naszej kultury na Ziemiach Utraconych. Plon dawnych oficyn stanowi więc zbiór zamknięty feralną datą 1939 roku. Aby ocalić trud drukarzy kresowych miast, należy rozproszone ich druki katalogować, opisywać i chronić przed zniszczeniem.



STANISŁAWOWSKIE KOŚCIOŁY

Ks. Lesław Jeżowski

We wcześniejszych numerach (1/2000, 3/01, 2/03) publikowaliśmy „Moje stanisławowskie wspomnienia” zmarłego niedawno ks. Lesława o kościołach w Stanisławowie i jego w nich przeżyciach z lat dzieciństwa. Obecnie drukujemy ostatni odcinek tych opowiadań. Ks. Lesław zmarł w lutym 2004 r.

Najdalej mieliśmy z domu **do kościoła Jezuitów**. Znajdował się bliżej dworca kolejowego, dlatego rzadko tam chodziliśmy, chociaż bardzo się nam podobał. I jego wnętrze, i nabożeństwa tam odprawiane. Mama mówiła, że jest nawet większy od parafialnego. Ale to nie była prawda. Raz na lekcji religii, gdy mowa zesłała na stanisławowskie kościoły, porównywaliśmy je ze sobą i któryś kolega też orzekł, że jezuicki jest największy na świecie. Ja go zaraz poparłem, mając w pamięci opinię Mamy. Ksiądz był zaskoczony naszym stanowiskiem. Jak mogliśmy się tak mylić? Zdecydowanie oświadczył, że fara jest największa. Jezuicki – owszem – jest przyjemny, nastrojowy, ale znacznie mniejszy. Może mylne wrażenie wywołał fakt, że do prezbiterium kościoła przyleżał dwupiętrowy budynek klasztorny, który jakby przedłużał kościół. Jego architektura była bardzo skromna. Jediną zewnętrzną ozdobę stanowił rodzaj płaskiego tympanu na frontonie. Wieży nie posiadał, tylko sygnaturkę. Wewnątrz trzy dosyć wąskie nawy.

O ile dopisywała pogoda, zawsze udawaliśmy się do Jezuitów na czerwcową procesję ku czci Serca

Pana Jezusa i na jakieś okolicznościowe nabożeństwa, które jedynie tam się odbywały. Nie znałem zakonników, ale podobał mi się, zwłaszcza bracia, którzy wykonywali wszystkie funkcje pełnione gdzie indziej przez kościelnych. Interesowały mnie ilustrowane broszury i książki wyłożone w oszklonych gablotach w przedsionku. Rodzice nie kupowali mi ich, twierdząc, że są dla mnie za poważne i nie zrozumiałbym ich treści. Natomiast nabywali jezuickie czasopisma.

W kościele „na Majzlach” byłem może dwa razy podczas dłuższych przechadzek z ojcem. Szło się do niego z centrum główną ulicą miasta, Sapieżyńską do końca, następnie przechodziło się przez żelazny most drogowy, rozpięty nad torami kolejowymi, od którego było już niedaleko do kościoła. Na moście lubiłem zatrzymywać się i obserwować przejeżdżające pod nim pociągi, przetaczane wagony, dymiące parowozy. Przychodziły mi pragnienia, aby jechać gdzieś daleko, ale na zachód. A na zachód dlatego, że tam leżała Sądecczyzna, dokąd wyjeżdżaliśmy w lecie i gdzie mieliśmy bliskich krewnych. I pociągi, i słowo *zachód* kojarzyły mi się zawsze z wakacjami.



Jak wyglądało wnętrze kościoła „na Majzlach” – jak się go powszechnie w Stanisławowie określało – nie zapamiętałem. Tyle tylko utkwiło mi w pamięci, że dopiero je urządzano, wszędzie widniał prymityw i tymczasowość. Za to wysoką i szeroką wieżę kościoła z hełmem przypominającym budownictwo podhalańskie, i z wąskimi, pionowymi oknami, mam do dzisiaj przed oczami. Ściany kościelne zdobiły liczne lizeny; okrągłe okno nad bramą wejściową oświetlało chór organowy.

Wydaje mi się, że Tato trochę znał gospodarzy kościoła, Saletynów, bo z jednym z nich rozmawiał raz przed kościołem. Może załatwiali coś w starostwie, jako że niedawno osiedlili się w Stanisławowie i musieli przeprowadzić formalności prawne, i stąd wynikała ta znajomość. Nie wiem, czy przed 1930 rokiem Saletyni objęli utworzoną na Majzlach parafię. Wcześniej jedna parafia farna przy kolegiacie obejmowała całe miasto i była jedną z największych w archidiecezji lwowskiej. Aż się prosiło, aby ją podzielić. „Majzle” stanowiła dzielnica zamieszkała przeważnie przez robotników, kolejarzy i różną biedotę. Parafie z takimi mieszkańcami chętnie powierzano zgromadzeniom zakonnym.

Podobne oblicze miała Górka, przedmieście również położone na wschód od centrum, dokąd prowadziła ulica Wołczyńska. Budowę tamtejszego kościoła i tworzenie kolejnej parafii rozpoczął ks. Ludwik Peciak, senior wikarych kolegiackich. Nie wiem przy jakiej okazji moi rodzice go poznali, ale

pamiętam, że bywał u nas w domu, a my odwiedzaliśmy go na plebanii przy sposobności bycia na mszy w kolegiacie. Opowiadał wiele zajmujących rzeczy. Utrzymywał, że w podziemiach kościoła znajduje się trumna pana Wołodyjowskiego, unieśmiertelnionego przez Sienkiewicza. A przy końcu *Trylogii* jej autor utrzymywał, że właśnie tam ją umieszczono. Niewykluczone, że mogła ulec samozniszczeniu w ciągu ponad dwustu pięćdziesięciu lat.

* * *

Tak zapisały się w mojej pamięci dziecięcej wędrówki po świątyniach stanisławowskich. Oprócz nich odwiedziłem raz **kościół w Łyscu**. Łysiec to była wieś blisko Stanisławowa, ponad osiem kilometrów w kierunku południowym, przy drodze do Bohorodczan. Wyróżniała się tym spomiędzy innych okolicznych wsi, że w jej kościele obrządku ormiańskiego znajdował się łaskami słynący obraz Matki Bożej. Chodziły do niego z miasta pielgrzymki na odpusty oraz kiedy indziej poszczególni ludzie, którzy chcieli pieszym wysiłkiem uprosić sobie u Łysieckiej Pani potrzebne im dary Nieba.

W naszym domu orędowniczką nabożeństwa do MB Łysieckiej stała się ciotka Zofia. Opowiadała o licznych, wprost cudownych zdarzeniach, które nastąpiły wskutek tego nabożeństwa. Słyszała o nich od swoich koleżanek, uczennic Seminarium nauczycielskiego, które relacjonowały osobiste doznania bądź mówiły o tym, co spotkało ich znajomych. Mama dosyć sceptycznie odnosiła się do tych enuncjacji i w ogóle do pielgrzymowania do Łysca, utrzymując, że Pan Bóg może człowieka wysłuchać na każdym miejscu, a poza tym i w Stanisławowie, u Ormian, jest cudowny obraz Matki

ciąg dalszy na s. 27

Z życia teatralnego Krakowa i Lwowa

RÓŻNICE I PODOBIENSTWA

Piotr Marek Stański

Początków teatru w Krakowie upatruje się w towarzyszącym od XIII wieku nabożeństwu wielkanocnym dramacie liturgicznym *Nawiedzenie grobu*, wykonywanym przez duchownych po łacinie. Gdy opuścił on kościelne mury i przeniósł się na miejskie place, obrastać zaczął w kolejne epizody – również o tematyce świeckiej – przekształcając się w barwne widowiska misteryjne w języku polskim, których literackim zapisem stała się *Historija o chwalebnyim zmartwychwstaniu Pańskim*, wydana drukiem przez paulina Mikołaja z Wilkowiecka ok. roku 1580. Pewne wyobrażenie o nich wyrobić sobie można na podstawie znacznie późniejszych widowisk pasyjnych, urządzanych do dziś w niedalekiej od Krakowa Kalwarii Zebrzydowskiej. Natomiast w lutym 1542 roku odbyły się na Wawelu spektakle *Judicium Paridis* (*Sąd Parysa*), napisanego po łacinie w stylu antycznym dramatu niemieckiego humanisty Jakuba Lochera. Główne role zagrali w nim: Mikołaj Kobyleński jako Parys i Stanisław Maik w roli Heleny.

We Lwowie analogicznych śladów można się doszukać w *Kronice* Bartłomieja Zimorowicza, który wspomina o danym przez żaków ze szkoły katedralnej przedstawieniu żywota Jana Chrzciciela w dniu jego święta 24 czerwca 1585 r. oraz odegranym przed ratuszem widowisku z okazji zdobycia Smoleńska w 1611 r., ilustrującym to zdarzenie. W grodzie Lwa rozgrywa się też akcja dokonanego przez Piotra Cieklińskiego przekładu *Dnia trzygroszowego* Plauta, przeniesiona ówczesnym obyczajem w polskie realia. W XVII wieku zgodnie z jezuicką praktyką działał przy miejscowym konwencie teatr szkolny, lwowską specyfiką było zaś, że wzorując się na nim, powstał podobny w kolegium ormiańskim, gdzie w 1666 roku zainscenizowano zachowany dialog *Rypsyma panna i męczenniczka albo Tyrydat przemieniony*, w którym główna akcja toczyła się po ormiańsku, a w mitologicznych intermediach po polsku.

Powstanie polskiego teatru publicznego we Lwowie wiąże się z trzyletnim (1780–83) pobytem w tym mieście przybyłej z Warszawy trupy Tomasza i Agnieszki Truskolaskich, którzy grali w odnowionym własnym kosztem amfiteatrze w Ogrodzie Jabłonowskich, a następnie w użytkowanym przez niemiecki zespół Gottersdorfa drewnianym baraku za furta jezuicką, tj. na końcu uliczki oddzielającej kościół św. Piotra i Pawła od placu św. Ducha. Na ich repertuar składały się modne w owym czasie francuskie dramy mieszczańskie z gatunku tzw. *comédie larmoyante* (komedii płacziwej) oraz polskie komedie oświeceniowe Krasickiego i Zabłockiego. W Krakowie zawodowy teatr rozpoczął działalność rok później w zaadaptowanej na potrzeby widowiskowe sali balowej w Pałacu Spiskim w Ryńku Głównym.

Występowały tam zespoły Mateusza Witkowskiego i Józefa Srokowskiego, którzy na drodze sądowej dochodzili swych praw do wyłączności organizowania spektakli teatralnych.

W przeciwieństwie do Krakowa, nad Pełtwią – jak w wielu innych polskich miastach – ważną rolę w rozwoju rodzimego życia teatralnego odegrał Wojciech Bogusławski. W styczniu 1795 zjechał on do Lwowa z aktorami Teatru Narodowego, uchodząc z Warszawy przed niepokojami, wynikającymi z upadku Rzeczypospolitej i pustoszenia kraju przez zagony obcych wojsk. Pozostawał tu cztery lata, z czego przez dwa prowadził równocześnie teatr niemiecki, dzięki czemu zyskał większą swobodę. Za swojej bytności zbudował w Ogrodzie Jabłonowskich letni amfiteatr na 2500

miejsc według projektu włoskiego architekta Innocenzo Maraino. Miała tam prapremierę jego egzotyczna opera *Izkahar, król Guaxary*, z muzyką Józefa Elsnera, stanowiąca zapowiedź przezwyższenia skostnienia klasycystycznych norm. Oprócz tego grywał Szekspira w obowiązujących wówczas przeróbkach – np. po raz pierwszy w Polsce *Hamleta* (ale ze szczęśliwym zakończeniem) oraz *Romea i Julię* pod zmienionym tytułem – *Groby Werony*. Wskutek trudności finansowych zakończył swą działalność w maju 1799 r. Pod Wawel natomiast zawitał jedynie z pięćdziesięcioma czterema gościnnymi przedstawieniami latem 1809 roku.

Kraków zawsze wyprzedzał Lwów pod względem budownictwa scenicznego*. Jacek Kluszewski, rzutki przedsiębiorca teatralny, organizator spektakli w Ratuszu i Pałacu Spiskim, chcąc zyskać atut w staraniach o przysłanie przez cesarza Franciszka I przywileju na urządzenie widowisk, postanowił wyposażyć się w gmach przeznaczony wyłącznie na tego rodzaju potrzeby. Co prawda nie wznosił go od fundamentów, lecz zlecił Szczepanowi Humbertowi przebudowę dwóch kamienic na rogu ulicy Jagiellońskiej i placu Szczepeńskiego, których był właścicielem. Otworzył on podwoje 1 stycznia 1799 r. Lwów w tym samym czasie musiał się zadowolić teatrem przerobionym w 1789 roku z pofranciszkańskiego kościoła św. Krzyża, stojącego w miejscu, usytuowanym naprzeciw późniejszego Muzeum Dzieduszyckich przy ul. Rutowskiego. Gruntownie wyremontował go podczas swego pobytu Bogusławski, napotykać wszakże na pewne opory ze strony mieszkańców, o czym świadczył głos pewnej kobiety: *Daruj Waćpan, nigdy nie zdołam przenieść na siebie, abym się miała śmiać i światowością bawić w tym miejscu, gdzie niedawno słuchając Mszy św., na kolanach Stwórcę wielbiłam*¹. Do pewnego stopnia podobne skrupuły żywiono i w Krakowie, gdy za dyrekcji Jana Mieroszewskiego przez 12 lat przyszło grać w przebudowanym naprędce dawnym kościele Bonifratrów pw. św. Urszuli na rogu ulic św. Marka i św. Jana, albowiem utraciwszy koncesję nie chciał Kluszewski na dogodnych warunkach udostępnić swego gmachu następcy. Inauguracja odbyła się 30 grudnia 1830, ale publiczność zachowa-

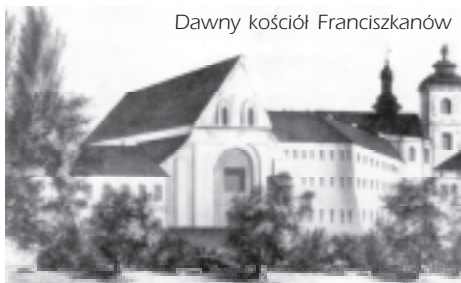
ła rezerwę – jak pisał jeden z ówczesnych aktorów – *a to, że mury pokościelne, a duch w Krakowie klerykalny, a więc niechętnie do niego uczęszczano*². Ostatnie przedstawienie w lwowskim teatrze pofranciszkańskim miało miejsce 18 marca 1842 r. Odtąd pozostawał nieużywany i spłonął ostatecznie 2 listopada 1848 wskutek zbombardowania miasta przez ustawioną na stokach cytadeli artylerię generała Wilhelma Hammersteina, W Krakowie zaś w pomieszczeniach po kościele św. Urszuli mieści się obecnie Polska Akademia Nauk.

Następcą Bogusławskiego we Lwowie był Jan Nepomucen Kamiński – ponieważ w dosłownym tego słowa znaczeniu, ponieważ napisał dalszy ciąg *Cudu mniemango, czyli Krakowiaków i Górali* tamtego – tym razem pod nazwą *Zabobonu* i z muzyką Karola Kurpińskiego (prapremiera 16 czerwca 1816 r.). Rozpoczął swą działalność od przedstawień charytatywnych na rzecz pogorzalców po wielkim pożarze Lwowa 6 czerwca 1800 r. Stopniowo udało mu się zwiększyć ilość polskich spektakli z ośmiu na miesiąc, i to dawanych wyłącznie w dni powszednie, do dziesięciu, na co uzyskał w 1823 roku osobistą zgodę od przebywającego w mieście kanclerza Klemensa Metternicha. Zrazu zmuszony był dzielić się z teatrem niemieckim haraczem w wysokości jednej trzeciej dochodów, później przez czas jakiś kierował nawet obiema placówkami, wreszcie w 1825 r. otrzymał od Stanów Galicyjskich stałą subwencję opiewającą na dwa tysiące złotych reńskich rocznie. Zaslugą Kamińskiego było wprowadzenie na polskie sceny tragedii Schillera we własnych przekładach, choć nie zapominał o wspieraniu rodzimej twórczości dramatopisarskiej, wystawiając komedie Józefa Korzeniowskiego oraz Aleksandra Fredry, również po przeprowadzce do nowej siedziby.

Ważną rolę w historii teatrów obydwu miast odegrali dwaj konserwatywni ziemianie: Stanisław Skarbek³ we Lwowie i Stanisław Koźmian w Krakowie. Pierwszy, legitymując się udzielonym przez cesarza Ferdynanda I monopolem na wszelkie imprezy widowiskowe w mieście, przystąpił do wznoszenia budynku teatralnego z prawdziwego zdarzenia (w Krakowie poprzestano w tym okresie na dokonanej przez Karola Kremera

i Tomasza Majewskiego przebudowie gmachu przy pl. Szczepańskim, który w ciągu 12-letniego przestoju uległ daleko idącej dekapitalizacji, a teraz nabrać miał cech florenckiego renesansu, głównie za sprawą wykroju okien w obydwu fasadach). We Lwowie Teatr Skarbkowski – bo tak go zaczęto nazywać – stanął na placu Castrum (utworzonym po wyburzeniu Niskiego Zamu) i wzorowany był na swym odpowiedniku w Monachium (oryginalne plany Ludwiga Pichla dostosował do miejscowych warunków Jan Salzman). Z widownią na 1460 miejsc należał do największych tego typu obiektów w ówczesnej Europie. Wyposażenie sprowadzono z Wiednia, w tym z fabryki Demutha lampiony i okazały żyrandol, który w trakcie przedstawienia podciągano do góry, *aby – jak donosiła „Gazeta Lwowska” z 31 marca 1842 – amfiteatr był w cieniu, przez co dla widzów lepiej scena się odbija.*

Dawny kościół Franciszkanów



Teatr Skarbkowski (od 1842)



Teatr Wielki (od 1900)



Era wygaszania świateł na widowni nadejść miała dopiero z zasilaniem gazowym (w teatrze Meiningerów, a następnie wagnerowskim w Bayreuth). Zarazem jednak narzekano na dające się we znaki przeciągi oraz brak foyer.

Na mocy wspomnianej koncesji Skarbek zobowiązany był do prezentowania cztery razy w tygodniu spektakli niemieckich (dramatów, komedii, oper i wodewilów), w pozostałe, „gorsze” dni (poniedziałki, środy i piątki) mogąc grać po polsku, francusku i włosku (to ostatnie odnosiło się głównie do występów gościnnych). Stąd też na otwarciu 28 marca 1842 zespół niemiecki przedstawił *Życie snem* Franza Grillparzera, a dopiero nazajutrz pokazano *Śluby panieńskie* Fredry, dla którego nowy gmach stać się miał prawdziwym domem artystycznym – mimo że przed laty poślubił byłą żonę Skarbka, Zofię z Jabłonowskich. Teatr niemiecki przetrwał w tym miejscu do roku 1881, kiedy 11 marca dano ostatnie przedstawienie w tym języku (w Krakowie zakończył on swa działalność nieco wcześniej, bo w 1867 roku, przez sześć następujących lat ograniczając się do wizyt kompanii z Bielska). O ile Skarbek, jak Kluszewski, był przede wszystkim antreprenierem, to Koźmian nie poprzestawał na sprawowaniu funkcji administracyjnych, lecz czynnie kształtował oblicze artystyczne powierzonego sobie zespołu, w znacznym stopniu przyczyniając się do uformowania tzw. szkoły krakowskiej. Polegała ona na rezygnacji z aktorskiego gwiazdorstwa na rzecz zespołowości oraz podporządkowaniu nadrzędnemu celowi, jakim jest całość spektaklu. Pod wpływem Meiningerów odtwórcy głównych ról kiedy indziej galii epizody, a także zaczęto przywiązywać większą wagę do dekoracji, zastępując standardowe malowane kulisy realistycznym odtwarzaniem wnętrza. Dbał też Koźmian o należyty dobór repertuaru, którego kanon współtworzyły: klasyka polska (od *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego z okazji trzechsetlecia śmierci – po Mickiewicza: prapremiera *Konfederatów Barskich* oraz Słowackiego) i obca – od antycznych komedii Arystofanesa do dramatów Goethego. Jemu to teatr polski zawdzięcza sięgnięcie do Szekspira w tłumaczeniach z oryginału, które inspirował bądź sam dokonywał, jak w przypadku *Snu nocy letniej*.

Przez cały wiek XIX pomiędzy obydwoma galicyjskimi grodami trwała cyrkulacja antrepreneurów i dyrektorów teatrów. Dotyczyło to Tomasza Andrzeja Chelchowskiego oraz Adama Miłaszewskiego, który przez półtora roku (1864–65) kierował nawet obiema scenami równocześnie i zamierzał je połączyć na stałe. Również Ludwik Heller, ostatni zarządca Teatru Skarbkowskiego, zaczynał swą karierę od zorganizowania latem 1895 sezonu operowego w Krakowie. Wyjątkiem od tej reguły okazał się Juliusz Pfeiffer, który powrócił nad Wisłę, podczas gdy Kamiński odmówił w 1820 r. objęcia dyrekcji tamtejszego teatru, a Jan Dobrzański 65 lat później bezskutecznie się o nią ubiegał. Postacią spinającą dzieje obydwu scen był Tadeusz Pawlikowski, dyrektor nowo otwieranych budynków teatralnych w Krakowie (1893) i Lwowie (1900).

Pierwszy z wymienionych teatrów powstawał w aurze skandalu, na gruzach gotyckich zabudowań poduchackich (kościół, klasztor i szpitala), co spotkało się z żywym protestem Jana Matejki, a gdy go nie usłuchano, odesłał magistratowi przyznany mu tytuł honorowego obywatela wraz z przynależnymi insygniami. Zorganizowano dwa konkursy: otwarty (1889) i zamknięty (1890), w którym zaproszeni laureaci pierwszego wnieść mieli zalecone im poprawki. Wbrew zapadłym na nich rozstrzygnięciom, do realizacji skierowano projekt Jana Feintuch-Zawiejskiego (w 1889 roku otrzymał III nagrodę).

31 sierpnia 1893 odbyło się ostatnie przedstawienie w budynku przy pl. Szczepańskim, w trakcie którego pożegnalny wiersz wygłosiła gwiazda tej sceny – Antonina Hoffmannowa, a 21 października w południe miała miejsce inauguracja nowej sceny przy pl. św. Ducha. Wieczorem odegrano m.in. fragmenty *Zemsty*, *Balladyny* i *Konfederatów Barskich*.

We Lwowie wszystko przebiegało zdecydowanie bezkonfliktowo. W konkursie, do którego zakwalifikowano dwie prace spośród czterech nadesłanych, Zygmunt Gorgolewski⁴, zasiadający skądinąd w jury pierwszego turnieju krakowskiego, pokonał Jana Zawiejskiego i wznosił teatr⁵ według swojego planu na zasklepionej Pełtwi (która toczy pod nim wody niczym Bievre pod paryską

Operą Garniera), co stało się przyczyną obsunięcia gruntu, wskutek czego wchodzi się do środka wprost z poziomu ulicy, a nie – jak zakładano – po paradnych schodach.

Teatr Skarbkowski zamykano serią składankowych wieczorów historycznych, z których ostatni, 9 września 1900 roku, zawierał m.in. wyjątki z oper Moniuszki oraz komedii Fredry, w tym *Ślubów panieńskich*, którymi otwierano przed 58 laty scenę polską, a grająca wtedy swoją imienniczkę Aniela Aszpergerowa, zasiadła obecnie w jednej z łóż, stanowiąc uosobienie ciągłości pomiędzy dawnymi a nowymi laty. Z pięciu, zbudowanych mniej więcej w tym samym czasie słowiarskich scen narodowych (w Lublanie, Zagrzebiu, Pradze, Krakowie i Lwowie), tylko ta ostatnia została poświęcona. W związku z wakacjami na urzędach biskupich: łacińskim i greckim, aktu tego dokonał 4 października przed południem trzeci z rezydujących w mieście ordynariuszy, a mianowicie arcybiskup ormiański Izaak Issakowicz. Z kolei wieczorny spektakl, oprócz utworów okolicznościowych, wypełniły *Odludki* Fredry oraz prapremiera *Janka*, specjalnie na tę okazję skomponowanej opery Władysława Żeleńskiego. Z dzisiejszej perspektywy swoistym obyczajowym kuriozum wydać się może fakt, że z uroczystości samego otwarcia wykluczono zostały kobiety, co w Krakowie tłumaczono wszelako przez wzgląd *na szczupłość miejsca*, podczas gdy we Lwowie traktowano jako rzecz oczywistą: *artystki zostały zaproszone na poświęcenie, jakkolwiek z reguły pań nie proszono*⁶.

W obydwu gmachach zawisły malowane kurtyny Siemiradzkiego z alegorycznymi wyobrażeniami sztuki scenicznej, a żelazne przyozdobiono miejskimi pejzażami. W Krakowie Antoni Tuch wykonał widoki Wawelu pośrodku oraz kościołów: Mariackiego i Bożego Ciała po jego bokach, które jednak się nie zachowały, przetrwała natomiast panorama Lwowa, widzianego z Łyczakowa, autorstwa dekoratora teatralnego Stanisława Jasieńskiego.

Tadeusz Pawlikowski, kierujący kolejno obiema instytucjami, starał się zaznaczać swoją publiczność z najnowszymi tendencjami w światowej dramaturgii. Światła rampy ujrzały zatem sztuki Hendrika Ibse-na, Augusta Strindberga, Maurice'a Maeterlincka, Gerharda Hauptmanna, Antona Czechowa i Maksima Gorkiego, a swoje prapremiery miały utwory polskich pisarzy: Gabrieli Zapolskiej, Jana Augusta Kisielewskiego, Tadeusza Rittnera, Włodzimierza Perzyńskiego, Kazimierza Przerwy-Tetma-

jera, Lucjana Rydla i Stanisława Wyspiańskiego. Niejednokrotnie działalność podległych mu placówek zasilali własnymi funduszami, albowiem powszechną wówczas praktyką było oddawanie teatrów w dzierżawę powoływanym dyrektorom i dopiero po śmierci Pawlikowskiego w trakcie jego drugiej kadencji w Krakowie, władze miasta zdecydowały się przejąć scenę pod swój bezpośredni zarząd.

W obu miastach dawne budynki teatralne zamienione zostały na sale koncertowe. W lwowskim Teatrze Skarbrowskim, kierujący nim do zamknięcia Ludwik Heller urządził Filharmonię, drugą na ziemiach polskich, po Warszawie. W jego zamierzeniu miała ona stanowić konkurencję dla sąsiadującego przez ulicę nowego Teatru Miejskiego, o którego dyrekcję się starał, lecz przegrał w rywalizacji z Pawlikowskim. W miejscu sceny wzniesiono estradę dla orkiestry, a z tyłu ustawiono organy i 27 września 1902 dano pierwszy koncert. W karnawale organizowano poza tym reduty, z powodu których o godzinę wcześniej rozpoczynano sobotnie koncerty. Po zawieszeniu działalności muzycznej mieściło się tam kino i dopiero za rządów sowieckich przywrócono budynkowi pierwotne funkcje, przekazując go sprowadzonomu z Doniecka Ukraińskiemu Teatrowi Dramatycznemu im. Marii Żankowcekiej. Przy okazji usunięto popiersie Skarbka, którego medalion wmurowano w latach dziewięćdziesiątych.

Z kolei w Krakowie Tadeusz Stryjeński i Franciszek Mączyński dokonali w latach 1903–06 przebudowy Starego Teatru, nadając mu secesyjne oblicze. Zlikwidowano wtedy czterokondygnacyjną widownię z lożami, wprowadzając strop działowy. W ten sposób powstały na I piętrze dwie sale: większa koncertowa i mniejsza reductowa. 18 lutego 1906 w południe odbyła się ceremonia poświęcania, a wieczorem koncert inauguracyjny. Również w Krakowie, tyle że za okupacji niemieckiej, audytorium w Starym Teatrze adaptowano na potrzeby sceniczne, albowiem od maja 1941 grano tu przedstawienia operowe (m.in. *Cyrulika sewilskiego* z Adą Sari), a trzy lata później otwarto polski teatr, w którym wystawiano dramaty i opery (np. 25 XI 1944 *Kalkę*). Po wojnie stał się siedzibą zespołu, który

w przyszłości zyska rangę drugiej w kraju sceny narodowej.

Otwierając 7 czerwca 1891 Teatr Letni⁷, dołączył Lwów do grona polskich miast, posiadających już tego rodzaju przybytki: Warszawy (zbudowany w 1870 roku w Ogrodzie Saskim i stojący tam do września 1939), ale i Krakowa – ich inicjatorem był Stanisław Koźmian – gdzie powstawały kolejno: w latach 70. XIX wieku w Ogrodzie Strzeleckim i naprzeciwko niego przy ul. Lubicz, wreszcie w następnej dekadzie najdłużej działający w Parku Krakowskim. W tym ostatnim występowały m.in. miejscowy Teatr Ludowy, lwowska operetka i inne zespoły przyjezdne, jak np. Teatr Małoruski. We Lwowie o teatrze letnim przemyślał już Jan Dobrzański, dla którego odpowiedni projekt przygotował nawet pracujący wówczas jeszcze w Berlinie Zygmunt Gorgolewski, ale śmierć dyrektora udaremniła to przedsięwzięcie. Urzeczywistnił je Mieczysław Schmitt, postawiwszy drewniany budynek przy Wałach Gubernatorskich, gdzie *w ich górnym końcu, od strony Wysokiego Zamku, znajdowała się najpierw baszta* – informuje Mieczysław Orłowicz w swym *Przewodniku Ilustrowanym po Lwowie*. Zastosowano w nim oświetlenie elektryczne i, jak relacjonowała „Gazeta Lwowska” z 9 VI: *Wnętrze (...) przedstawia się wcale ozdobnie, a wywiera miłe wrażenie barwną i staranną dekoracją łóż i sufitu. Na wczorajszym wieczornym przedstawieniu, pomimo licznie zgromadzonej publiczności., atmosfera w sali była bardzo świeża i przyjemna*. Sąsiadowała z nim restauracja, w której ogródku odbywały się dancingi, skądinąd wtedy jeszcze tak nie nazywane.

W okresie międzywojennym oprawy dla spektakli teatralnych dostarczały niejednokrotnie krakowskie zabytki, przede wszystkim dziedzińce Wawelu i Collegium Maius, w czym dopatrzeć się można wpływu wielkich widowisk Maxa Reinhardta sprzed salzburskiej katedry, które dały początek słynnym festiwalom. W Krakowie zainicjował je 16 czerwca 1923 Teofil Trzeciński, wystawiając *Odprawę posłów greckich* Kochanowskiego w naturalnej dla niej scenerii Zamku Królewskiego, którą na potrzeby przedstawienia dyskretnie zaaranżował Adolf Szyzko-Bohusz. Spektakle powtórzono w czerwcu 1930 z okazji czterechsetlecia urodzin

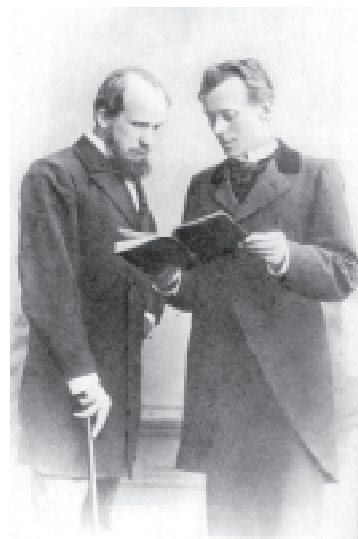
poety, a towarzyszyła im rześista iluminacja obiektów całego wzgórza. Teatr Słowackiego powracał tam jeszcze dwukrotnie: 25 czerwca 1933 z inscenizacją Juliusza Osterwy *Księcia Niezłomnego* Calderona–Słowackiego oraz 13 czerwca 1937 z *Mikołajem Kopernikiem* Ludwika Hieronima Morstina w reżyserii Karola Frycza. Z kolei tego ostatniego autora *Misterium nocy majowej* odegrano w pierwszą rocznicę śmierci Piłsudskiego, 12 maja 1936. We Lwowie natomiast w czerwcu 1926 (19, 20, 27 i 28) miały miejsce przedstawienia plenerowe *Pajaców* Leoncavalla na terenie Cytadeli, a konkretnie boiska sportowego 19 Pułku Piechoty, gdzie dla widzów przygotowano specjalne trybuny. W anonsach prasowych zapewniano o opracowaniu przez reżyserów – Romualda Cyganika i Tadeusza Łowczyńskiego – *zupełnie nowej inscenizacji realistyczno-cyrkowej*⁸.

Dwóch dyrektorów teatrów w Krakowie i Lwowie – Juliusz Pfeiffer i Ludwik Heller – odważyło się pokazać swe zespoły w szerokim świecie.

Pierwszy z krakowskim wyjechał do Wiednia, występując na przelomie maja i czerwca 1856 na prestiżowej scenie Theater an der Wien, gdzie przed 65 laty miał swą prapremierę *Czarodziejski flet* Mozarta. Tournée zainaugurowali *Krakowiaczy i górale* Kamińskiego, wywierając największe wrażenie na tamtejszej publiczności. Mniej się podobała *Zemsta*, ale przede wszystkim jako sztuka, której zarzucano wtórność wobec płodnego i popularnego niegdyś austriackiego dramaturga Kotzebuego. Krytykowano zaś pozostałe pozycje repertuarowe jako mało ambitne, zwłaszcza *Napoleona w Hiszpanii* Szymona Niedzielskiego, przywiezionego ze względu na obsadzonego w tytułowej roli i zaspokajającego tym samym własne ambicje dyrektora. Przede wszystkim jednak skupiono się na wykonawstwie, chwalać m.in. młodzianką Antoninę, wówczas jeszcze Hoffmannównę. Poza tym już austriacy krytycy dostrzegli zespołowość w grze krakowskich aktorów, zanim uczynił ją praktyką i znakiem firmowym swej dyrekcji Stanisław Koźmian. A oto co pisał czerwcowy „Monatschrift für Theater und Musik”: *We wszystkich tych przedstawieniach prawie wszyscy [...] odznaczyli się prostym, niewyszukanym oddaniem. Chętnie przyjmowali podrzędne role, aby wrażeniu całości dopomóc, żaden z nich nie zaszkodził ani nie zepsuł sceny, nawet najsłabszy z nich.* Sekundowała mu „Osterreichische Zeitung”: *Nie są to same pierwsze talenta, ale nawet między mniej zdolny-*

mi nie dostrzec nic wymęczonego, żadnej zarozumiałości i rozpierania się, co na niemieckich scenach, mających nawet wielkie imię, rzadziej co chwila zwykło.

Z górą pół wieku później *Zemstę* zaprezentowali również lwowianie, kiedy w pierwszym tygodniu maja 1910 zawitali do nadunajskiej metropolii. Wszelako swoje gościnne występy rozpoczęli od zgodnej z duchem tamtych czasów modernistycznej sztuki Lucjana Rydla *Zaczarowane koło*. Oprócz tego pokazano wieczór Wyspiańskiego, złożony z *Sędziów* i *Warszawianki*, *Moralność pani Dulskiej* Zapolskiej, *Pannę męzatkę* Korzeniowskiego i *Lekkomyślną siostrę* Perzyńskiego, a z repertuaru światowego *Chorego z urojenia* Moliéra i *Upiory* Ibsena. Największe uznanie uzyskali *Sędziowie*, dramat Zapolskiej postanowiono zaś wystawić w niemieckim przekładzie w miejscowej Volksbühne, a tamtejsi aktorzy przyszli na Ibsena, aby porównać sposób jego ujęcia z własnym. Oscar Franz, dyrektor Bürgertheater, używającego polskim artystom sceny, podsumował ich wizytę za pomocą zestawienia z goszczonym nieco wcześniej Moskiewskim Teatrem Artystycznym: *Gdy w teatrze Stanisławskiego imponuje zewnętrzność sztuki scenicznej, Polacy zajmują się wewnętrznością jej. U was, zdaje się, momenty dekoratywne są na drugim planie, na pierwszy plan wysuwa się gra artystów i niezwykła jej harmonia [...]*⁹. Po upływie trzech lat ruszono z kolei na podbój Paryża. 2 czerwca cykl spektakli w teatrze Gymnase otwierało *Zaczarowane koło*. Po nim nastąpił i tu najwyższej oceniani *Sędziowie* w ramach wieczoru Wyspiańskiego. Zapolską reprezentował tym razem *Tamten*, swymi sugestywnie odtworzonymi realiami z zaboru rosyjskiego szczególnie mocno przemawiający do imigrantów stamtąd pochodzących. Ponadto dano przegląd polskiej komedii: od *Zemsty* poprzez *Kawalera marcowego* Blizińskiego po *Grube ryby* Bałuckiego. Uzupełnienie stanowiły *Upiory* oraz *Topiel* Przybyszewskiego, przy czym ta ostatnia spotkała się z najmniejszym zainteresowaniem. Na widowni zasiadała miejscowa Polonia, wśród której można było rozpoznać m.in. Władysława Mickiewicza i Jana Ignacego Paderewskiego, ale i Francuzi, a pomiędzy



Tadeusz Pawlikowski i Ludwik Solski we Lwowie (pocz. XX w.)

nimi czołowi politycy, jak Georges Clemenceau i Jean Jaurés. Louis Schneider na łamach „Comedii” w taki sposób komentował lwowski występ: *Aktorowie swoją prostotą, wstrzemięźliwością, naturalnością osiągają szczyt sztuki. [...] Jestem pewien, że nasi aktorzy, którzy zresztą mają wiele zalet, odnieśliby korzyść z przypatrywania się grze swoich kolegów ze Lwowa. Widać tam usiłowanie grania sztuki bez oglądania się na publiczność, bez ubiegania się o efekt, bez ściągania uwagi na siebie [...]*¹⁰.

Jeszcze Stanisław Koźmian podjął współpracę teatralną między Krakowem i Lwowem, doprowadzając do zawarcia ugody z 24 III 1873, regulującej zasady przechodzenia aktorów z jednego zespołu do drugiego, gościnnych występów, wzajemnego korzystania z teatralnych bibliotek, wspólnego organizowania konkursów dramatycznych. Od tego czasu datują się letnie występy lwowskiej Opery i Operetki pod Wawelem, a teatru krakowskiego w stolicy Galicji. Po II wojnie siłą rzeczy zerwane zostały związki pomiędzy obydwooma miastami, oddzielenymi od siebie arbitralnie wytyczoną granicą. W minionym piętnastoleciu czyniono co prawda nieśmiało kroki na drodze wznowienia wymiany kulturalnej, ale był to raczej ruch w jedną stronę. W styczniu 1990 w nowohuckim Teatrze Ludowym występował Teatr im. Zańkoweckiej, a w lipcu 1999 Opera Lwowska im. Sołomii Kruszelnyckiej – nawiązując do tradycji sprzed lat – inaugurowała *Cyganerią* letni festiwal krakowskiej Opery i Operetki. Bawiły też teatry eksperymentalne: w 1995 roku im. Łesia Kurbasa (na co dzień grający w dawnym „Casino de Paris” przy ul. Rejtana 5) oraz „Woskresenja” (mający siedzibę w byłym Teatrze Żydowskim przy ul. Jagiellońskiej 11) z *Hioberem* wg Karola Wojtyły. Nad Pełtwią pojawił się jedynie warszawski Teatr Wielki w 1990 r. z *Halką* i *Strasznym dworem*, pokazanymi na scenie jego lwowskiego odpowiednika, dziesięć lat później uroczyste obchodzące stulecie swego istnienia, przy czym godzi się podkreślić, że nie zapomniano z tej okazji przypomnieć wkładu jego pierwszego polskiego dyrektora – Tadeusza Pawlikowskiego.

* Patrz *Postowie redakcyjne*.

¹ Tadeusz Pełkowski, *Teatr polski we Lwowie* (Lwów 1889, s. 30).

² Stanisław Krześciński, *Koleje życia* (Warszawa 1957, s. 227).

³ Obszerną sylwetkę tej postaci zamieściłem w „Semper Fidelis” 5/03.

⁴ Postaci tej poświęciłem szkic opublikowany w „Semper Fidelis” 4/03.

⁵ Szerzej o tym pisałem na łamach „Semper Fidelis” 3/03 – *Okoliczności powstania i otwarcia Teatru Wielkiego we Lwowie*.

⁶ „Dziennik Polski” z 4 X.

⁷ Datę tę ustaliłem z pomocą p. dr Agnieszki Marszałek.

⁸ „Gazeta Lwowska” z 12 VI.

⁹ „Gazeta Lwowska” z 12 V.

¹⁰ „Gazeta Lwowska” z 21 VI.

POSŁOWIE REDAKCYJNE

Powyższe opracowanie jest niezwykle ciekawe i przynosi ogrom informacji, które były nam dotąd niezbrane albo mało znane. Trudno się jednak zgodzić z jednym zdaniem (oznaczonym w tekście gwiazdką), że „Kraków zawsze wyprzedzał Lwów pod względem budownictwa scenicznego”. W tym samym akapicie Autor informuje nas, że nowy teatr krakowski J. Kluszewskiego, przerobiony z dwóch kamienic (późniejszy Stary Teatr), otworzył swoje podwoje w 1799 r., a Lwów „musiał się zadowolić teatrem przerobionym w 1789 r. z kościoła pofranciszkańskiego”. A więc o 10 lat wcześniej (wedle innych źródeł o 3 lata wcześniej, w 1796 r.), przy czym przebudowano do tego celu opuszczony gotycki kościół po skasowanym przez austriackich zaborców konwencie Franciszkanów (tak jak większości zakonów we Lwowie, z ich klasztorami i kościołami; należały do nich m.in. Brygidki – więzienie, Klaryski – urząd celny, Karmelitanki – sprzedany Ossolińskiemu itd.). Był to więc w efekcie teatr nieporównywalnie okazalszy niż ten na pl. Szczepańskim w Krakowie. Ten ostatni był w XIX w. dalej modernizowany („po drodze” jeszcze użytkowano naprędce zaadaptowany kościółek św. Urszuli), a tymczasem we Lwowie powstał w 1842 r. teatr Skarbkowski, jeden z największych w ówczesnej Europie (jak pisze Autor).

Dopiero Teatr im. Słowackiego w Krakowie powstał w c z e ś n i e j niż lwowski Teatr Wielki, lecz z prostej przyczyny: Lwów miał już od półwiecza teatr z prawdziwego zdarzenia, a Kraków tylko ten przy pl. Szczepańskim. Nowy teatr we Lwowie powstał więc kilka lat później, za to większy i bardziej reprezentacyjny architektonicznie, z zewnątrz i wewnątrz. Porównanie teatrów obu małopolskich stolic znalazło się w CL 4/96 („Dwa teatry”). W tym samym numerze dr Agnieszka Marszałek opisała „Cztery wieki lwowskiego teatru”.

ROZMOWA O OTWARCIU

O swoich refleksjach związanych z otwarciem Cmentarza Obrońców Lwowa rozmawiają: pani Janina Zamojska – Lwów [JZ], dr Romana Machowska – TMLiKPW i CL Kraków [RM]; prof. Leszek Wajda – TMLiKPW Kraków [LW]; arch. red. Andrzej Chlupalski – TMLiKPW i CL Kraków [AC] i dyr. red. Janusz Paluch – CL Kraków [JP], który rozmowę prowadził i tekst przygotował do publikacji.

J.P.: Dzień otwarcia Cmentarza Orłąt Lwowskich, który na długo zapadnie w pamięci wielu ludzi, stał się też datą, swoistą cezurą chronologiczną zarówno w dziejach samej nekropolii, jak też w stosunkach między dwoma państwami – Polską i Ukrainą. Stąd spotkanie prezydentów Juszczeki i Kwaśniewskiego we Lwowie. Tak się złożyło, że normalizowanie stosunków międzypaństwowych w tym przypadku opiera się na mogiłach bohaterów, walczących o Polskę i tych bestialsko mordowanych tylko za to, że byli Polakami. Proszę powiedzieć, jakie uczucia zagościły w Państwa sercach, kiedy usłyszeliście we Lwowie polski hymn narodowy, kiedy na cmentarzu pojawiły się mundury polskich żołnierzy?

J.Z.: Dla mnie to było poświęcenie Cmentarza Obrońców Lwowa, a nie jak mówiono i pisano: otwarcie Cmentarza Orłąt. On zawsze był otwarty. Przeżywałam tę chwilę zupełnie bez myśli o Ukraińcach, o naszych stosunkach międzypaństwowych. To było dla mnie święto pamięci narodowej, która jest bardzo żywą tkanką w każdym narodzie, bo to ona stanowi o ciągłości i wartości narodu, tradycjach i dobrych obyczajach. Przeżywałam tę chwilę jako istniejącą wśród nas – i w Polsce, i we Lwowie – nieustającą pamięć o tym, co prezentuje sobą Cmentarz Obrońców Lwowa. Do roku 1939 było to miejsce, do którego zdążyliśmy wszyscy. Tak tłumnie, że potem trudno było wyjść z cmentarza. I to zarówno w Święto Zmarłych – 1 listopada, a później przy licznych udziałach przede wszystkim młodzieży, oddziałów Wojska Polskiego, przedstawicieli władz miasta – 22 listopada. W te dni cały cmentarz był oświetlony świecami i udekorowany kwiatami. My wszyscy przychodziliśmy tam z żywą pamięcią o tym, co dla Lwowa znaczyła ofiara złożona przez spoczywających na cmentarzu. Było bardzo radosne to, że najliczniejszą publicznością na cmentarzu była młodzież. Dlaczego? Dla-

tego, że w wielu szkołach, z których wyszli mali obrońcy Lwowa, pamiętano o ich bohaterstwie i patriotyzmie. Oni byli przykładem dla nas, młodych ludzi. Przez właściwe nauczanie historii Polski bardzo emocjonalnie przeżywaliśmy lwowskie rocznice. Po rozpoczęciu II wojny światowej w 1939 roku, 22 listopada, w rocznicę obrony Lwowa, starsza młodzież, nie zastanawiając się wiele nad tym, w jakiej znajdujemy się sytuacji, odważnie szła na cmentarz – ku wielkiemu zmartwieniu naszych profesorów, którzy mówili: słuchajcie, wami powoduje entuzjazm patriotyczny, ale szkoda was, bo oni – czyli Rosjanie, okupanci – mogą was wylapać. Nie zważając na przestrogi, późnym wieczorem szliśmy na cmentarz, składaliśmy kwiaty i zapalaliśmy znicze. Potem był okres systematycznego niszczenia cmentarza. Chuligani urządzali libacje, randki, na grobowcach pojawiały się niestosowne rysunki, rozkradano fotografie, rzeźby figuralne, otwierano grobowce. W końcu podjęto decyzję o totalnym zburzeniu cmentarza. Zasypano go śmieciami, w katakumbach powstał zakład kamieniarski. Ale i wte-



dy chodziliśmy tam na Zaduszki. Wygrzebywaliśmy spod kamieni przysypane mogiły i stawialiśmy świeczki, a nawet lampiony z orzełkiem i nazwami pól bitewnych, tych znajdujących się na pylonach.

L.W.: Moje refleksje są bardzo prywatne. Nie urodziłem się we Lwowie. Natomiast pośrednio ze Lwowem jestem związany. Dziadek pochodził z Kamionki Strumiłowej. Potem mieszkał w Przemyślu, gdzie urodziła się moja mama. Natomiast ojciec to „Kra-kusik” od Niepołomic, z Szarowa. W 1918 r. był uczniem Gimnazjum św. Jacka – cała jego klasa wstąpiła do Legionów i walczyła w brygadzie Hallera. Uczestniczyli w bitwie pod Rafałową. A mój ojciec był też „Orle-ciem Lwowskim”! Taką odznakę nosił, dlatego, że był w oddziałach IV Pułku Legionów, który przyszedł z odsieczą broniącemu się Lwowowi. A w 1919 r. trwała wojna z Ukraińcami, w której ojciec uczestniczył. Tak więc pamięć o ojcu bardzo zbliżyła mnie do Lwowa. Po kampanii 1939 r. ojciec trafił w ręce Sowietów i jako zawodowy oficer został zamordowany w Charkowie. To, że ze Lwowem tak się zaprzyjaźniłem, to zasługa mojej żony, która jest lwowianką. Jeździmy tam od kilkadziesiątu lat i obserwujemy zmiany – także na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Główny projektant odnowy cmentarza, inż. Skrzypczyk, jest moim przyjacięciem ze szkolnej ławy, z Radomia. Cmentarz Obrońców Lwowa jest „pamiętką narodową”, częścią narodowej pamięci, patriotyzmu. W gruncie rzeczy przedwojennego. Teraz trudno znaleźć takie reakcje młodzieży, o jakich mówiła pani Zamojska, aczkolwiek nie znaczy to, że ta młodzież tego nie rozumie. Otóż nasz wnuk, który w Warsza-

wie związany jest ze Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej, pokazuje mi kiedyś fotografię i mówi: proszę bardzo, 11 listopada stałem na warcie na Cmentarzu Orłąt. Czyli, że ta tradycja w jakiś sposób zaczyna mieć swoje naturalne przedłużenie. I to takie bardziej w działaniu niż we wspomnieniu. Zresztą ci harcerze ufundowali też dzwon do kościoła w okolicach Chocimia. To był bardzo dobry moment w wychowaniu patriotycznym. Im więcej młodym ludziom daje się obowiązków, tym solidniej wciągają się w dane zagadnienie. Oczywiście, nad wszystkimi tymi zagadnieniami dominuje fakt, że Lwów nie jest w Polsce, że nastąpiły te zmiany granic. Że II wojna światowa skończyła się tak, a nie inaczej. Oczywiście, my nie możemy się z tym do dziś pogodzić. Lwowiacy dzielą się na dwie kategorie: tych, co jeżdżą do Lwowa, cieszą się, że ten Lwów jest, że jest jednak z dnia na dzień bardziej uporządkowany; i drudzy, którzy mówią, że nigdy nie pojedą do Lwowa, dlatego, że swój Lwów mają w sercu, w oczach, ale nie chcą oglądać tego, co tam się teraz dzieje. A przecież to jest sprawa prosta, bo nigdy nie wróci się do takiej rzeczywistości, jaką się w młodości zostawiło. Ja też w Radomiu nie znajduję tego, co zostało mi w sercu i w oczach. Nie ma tam moich znajomych! Bo co to jest miasto? To budynki, krajobraz i ludzie. Ponieważ nie ma ludzi, to jakby powietrze się wypompowało!

J.P.: Z tą drobną różnicą, że z Radomia nikt Pana nie wyrzucił i Radom jest w granicach Polski...

L.W.: I dlatego Lwowa nigdy już nie da się odbudować! Każde pokolenie ma swoją specyfikę. Natomiast jest coś dziwnego we Lwowie, że ci, którzy tam napłynęli, też się do tego miasta przywiązali. I patrzą na Lwów po swojemu. Myślę, że ta uroczystość otwarcia cmentarza zakończyła długą drogę dochodzenia do tego – to jest jakiś dla nas znak – że sprawy polsko-ukraińskie mogą zyskać nową jakość i obustronną aprobatę na to, by spokojniej spojrzeć na przeszłość. I tak jak we wszystkim ważne jest to, co było, i to, co będzie, dlatego że za dużo mieliśmy przykładów w Europie i innych częściach świata, że należy znaleźć jakieś antidotum na nienawiść czy niechęć między poszczególnymi narodami. Mnie się



wydaje, że spojrzenie w przód, właśnie teraz, należy do młodego pokolenia. Ta ucieczka do przodu powinna nam coś dać w stosunkach Polska–Ukraina. Oczywiście to nie znaczy, żeby zapomnieć o przeszłości. Nam zapomnieć nie dają cmentarze, pamiątki architektoniczne, ludzie, po prostu historia. Tylko trzeba się do tej historii tak ustawić, żeby z niej wydobywać na przyszłość to, co jest wspólne. Nie tylko my mamy problemy historycznych zaszłości. W tej chwili jesteśmy w stadium zajmowania się przede wszystkim konfliktami, tylko wojny, tylko bitwy, tylko wodzowie. A mało się pola daje na to, by patrzeć, co ludzie dobrego zrobili. I to bardziej powinno nas łączyć niż historia walki! Tak więc wydaje mi się, że powinniśmy do tego bardzo spokojnie podchodzić. Patriotyzm powinien być wrażliwy, ale nie taki, żeby go wykorzystywać w drugą stronę. Mnie się wydaje, że to młode pokolenie, które będzie analizować te zagadnienia, to się z tym jakoś upora. Ci młodzi, może dlatego, że sami nie przeszli wojny, będą mieć nowe spojrzenie.

A.C.: Bardzo dużo wątków zostało tu już poruszonych i właściwie do każdego chciałoby się odnieść. Dla mnie to, co jest wartością największą tej uroczystości – która oczywiście była głęboko wzruszająca i jakże długo oczekiwana – jest fakt odzyskania przez ten niezwykle cmentarz należnego mu miejsca – dla Lwowa i dla całej Polski. Miejsca w sensie ducha i świadomości narodowej. Cieszy efekt tego wieloletniego nadludzkiego wysiłku odbudowy z ruin i fakt, że udało się – nie mniejszym przecież wysiłkiem, choć już nie fizycznym – doprowadzić do formalnego otwarcia orlęcej nekropolii, przez wiele lat sztucznie hamowanego.

Padło tu pytanie, jakie wrażenie zrobił polski hymn narodowy... Cóż, dla mnie tak jak zawsze, gdy gramy go i śpiewamy uroczystość w chwilach i w miejscach szczególnych. Hymn polski na Cmentarzu Obrońców Lwowa jest przecież na swoim miejscu, więc odebrałem go normalnie. To jest przecież w dalszym ciągu – w moim odczuciu – część Polski, choć politycznie dziś nie po polskiej stronie. Historia Polski przez wiele wieków tam się toczyła, i to w sposób niesłychanie bogaty. Jakże ogromna część naszej kultury, ogromna część wielkich Polaków stamtąd się wywodzi. Przecież cała



obrona naszego kraju, wręcz Europy, spoczywała na Kresach! My byliśmy „przedmurzem chrześcijaństwa”, a dzisiaj się to nawet u nas dezawuuje. Jednak czynią to ci, którzy nie znają historii i niczego nie rozumieją albo im to wygodnie. Ukraina – mówię o tej właściwej Ukrainie – została opanowana na kilka wieków przez Mongołów. A my się wybroniliśmy. Stąd ten wspaniały mur z zamków i grodów obronnych, które powstawały przez wieki od Wołynia po Pokucie i opierały się najazdom od wschodu i południowego wschodu. Powiedzmy sobie otwarcie – nasi rodacy w Polsce centralnej chyba nigdy do końca z tego sobie sprawy nie zdawali. Co gorsze, o tym w nauce historii nie mówi się dobitnie. Dochodzi do tego, że z określeń „przedmurze chrześcijaństwa” i „Polak-katolik” robi się kpiny. A przecież to też było ważne, że „katolik”, bo tam była granica dwóch światów. Tam świat bizantyński, prawosławny, który utworzył odmienną formację kulturową z inną mentalnością społeczną, inną tradycją, tu – świat katolicki, czyli związany z Zachodem, z jego etosem i mentalnością.

J.P.: Ale był też jeszcze jeden, jakże odmienny świat, któremu dość skutecznie dawaliśmy odpór, aż po wiedeńskie zwycięstwo – muzułmanie...

A.C.: Tak, muzułmanie od południowego wschodu, którzy stanowili zagrożenie dla Polski, ale i całej Europy. I to my staliśmy na ich drodze na wschodnich rubieżach Europy. A kiedy uderzyli na Europę z innej stro-

Pomnik lotników amerykańskich. Po prawej u góry widać białą plamę – zamazany w ostatniej chwili napis w języku angielskim



ny, stanowczy odpór dał im król Jan III, rodem z okolic Lwowa. Te wszystkie fakty trzeba kojarzyć i uczyć młodzież, by rozumiała, że z wielu wieków obrony kraju i narodu wyrosła świadomość i potrzeba obrony Lwowa i całych Kresów. Z satysfakcją więc przeżyliśmy uczczenie pamięci Orląt, ale także i to, że dzięki tym uroczystościom cała Polska się o tym dowiedziała. Tak się stało, że naraz społeczeństwo naszego kraju zaczęło się interesować tym, co dzieje się we Lwowie. Radio i telewizja docierały do wszystkich, także za granicą. Słuchali i oglądali starzy i młodzi. To jest ważne i na przyszłość dobrze rokuje dla istnienia i podtrzymania pamięci narodowej. I dopiero od tego momentu możemy zacząć mówić o tzw. pojednaniu.

Jednak kiedy czytałem w polskich gazetach artykuły relacjonujące uroczystości poświęcenia Cmentarza Obrońców Lwowa, dostrzegałem, że sprawa poświęcenia stała się jakby drugorzędna, a mówiło się najwięcej o pojednaniu. Słowo „pojednanie” odmieniano we wszystkich przypadkach. Wyglądało na to, jakbyśmy pojechali tam nie na otwarcie Cmentarza, lecz aby oddać się pojednaniu. I gdy o tym pojednaniu nasze gazety pisały bez umiaru, to tamta strona odnosiła się z dużym dystansem do tego problemu. Zastanawiam się, gdzie jest granica tego nieustannego podlizywania się. Skoro już ten Cmentarz został poświęcony, czy otwarty, jak chcą inni, przyjmijmy to z godnością. By mogła być mowa o pojednaniu, muszą być chętne dwie strony, a praktyka jest taka, że tej drugiej strony po prostu nie ma. Była tylko konieczność polityczna,

nie łudźmy się. Zachowajmy więc odrobinę godności.

J.P.: Mała dygresja: w czasie swojej wypowiedzi dla telewizji przed uroczystością wyglądałeś na zdenerwowanego. Dlaczego?

A.C.: Rzeczywiście. Kiedy stałem się na umówione wcześniej miejsce, redaktor z TVP powiadomił mnie, że mam wystąpić razem z... Bohdanem Osadcukiem. Nie wiem, komu zawdzięczałem podobny zaszczyt. Ta propozycja mnie oburzyła. Oczywiście odmówiłem, bo nie miałem ochoty na dyskusję

w tym miejscu i przy takiej okazji o panu Giedroyciu lub Kuroniem. Pan Osadczyk oczywiście nie pominął okazji i mówił o tym nieco później.

R.M.: Ja nie byłem na tej uroczystości. Oglądałam relację w telewizji. Chcę jednak powiedzieć o czymś zupełnie innym. W przeddzień poświęcenia cmentarza we Lwowie, 23 czerwca, odbyło się przedstawienie szkolne uczniów Gimnazjum nr 1 w Krakowie. Jego tytuł brzmiał: „Lwów – wspomnień czar”. O tej szkole dowiedzieliśmy się rok temu podczas odsłonięcia pomnika poświęconego pomordowanym Polakom na Wschodzie. Wówczas, ku naszemu zaskoczeniu, zjawiła się na Rakowicach młodzież z pocztą sztandarową szkoły. To była jedyna młodzież, która uczestniczyła w tej uroczystości! Okazało się, że dla nich to nic nowego. Mają świątelnego dyrektora i wspańskiego nauczyciela historii. Jeżdżą do Lwowa, do Wilna. To przedstawienie zrealizowali przede wszystkim dla swojej szkoły. Tego dnia spektakl wykonywali w Teatrze Groteska aż trzy razy! Godzina po godzinie. Były trudności z pozyskaniem zaproszeń dla naszego Towarzystwa, bo sala na każdym spektaklu pękała w szwach. Spektaklem byliśmy oczarowani. Zachwyceni przygotowaniem i grą młodzieży! Już pierwsza scena była bardzo ujmująca. W tle widok Lwowa, a na scenie rozgrywa się dramat naszego miasta opanowywanego 1 listopada 1918 r. przez Ukraińców. Naprzeciw siebie stanęły dwie grupy młodzieży. Jedni dzierżyli transparenty z napisem „Lwów zawsze Polski”, drudzy z ukraińskim napisem „Haj żywe Ukraina”. Widziałam wiele spektakli poświę-

conych tej tematyce. Pierwszy raz jednak przedstawienie tak bojowe. Przedstawienie, w którym czuło się swoisty związek tej krakowskiej młodzieży z ich lwowskimi rówieśnikami z 1918 r., kiedy to przedwcześnie oddawali życie za swoje miasto, kiedy patriotyzm ważony był nie tylko słowami i deklaracjami. Świadomość tego związku była bardzo wzruszająca i szokująca!

J.P.: Sądę, że w połączeniu tego spektaklu z poświęceniem Cmentarza Obrońców Lwowa istnieje namacalny dowód, że mamy jednak i wspaniałych wychowawców, i cudowną młodzież. Muszę dodać, iż nie jest tak źle i w innych szkołach. Wiosną tego roku odbył się w Krakowie I Małopolski Przegląd Szkolnej Twórczości Patriotycznej oraz rozstrzygnięty został I Wojewódzki Konkurs Patriotycznej Twórczości Plastycznej i Literackiej Młodzieży pt. „Czy bycie patriotą ma dzisiaj sens?”. Pamiętają więc o naszych wielkich Polakach, ale i tych lokalnych bohaterach również. Proszę nam powiedzieć, jak odbierała pani lwowskie uroczystości z perspektywy widza telewizyjnego?

R.M.: No cóż, nie ukrywam, że wołałabym znajdować się wtedy we Lwowie. W trakcie uroczystości zadzwonił do mnie jakiś dziennikarz z pytaniem, czy nie znam kogoś z uczestników tych walk lub ich rodzin... Wygarnęłam mu, że teraz mi przeszkadza i odesłałam go do telewizora. Uświadomiłam mu, że w poszukiwaniu uczestników spóźnił się kilkanaście lat! Na temat uroczystości moglibyśmy rozmawiać 10 dni wcześniej! A relacja telewizyjna... Chyba pierwszy raz nie miałam uwag!

J.P.: By ten dzień mógł nastąpić, wykonana została na przestrzeni lat ogromna praca. Praca ludzi często anonimowych. Czy nie sądzą Państwo, że zapomniano o nich w tych oficjalnych chwilach?

J.Z.: Sytuacja na cmentarzu zmieniła się całkowicie, kiedy we Lwowie pojawił się przedstawiciel krakowskiego przedsiębiorstwa „Energopol”, pan Józef Bobrowski, który z ekipami polskich robotników rozpoczął wielkie dzieło odnowy cmentarza. Po całodziennej ciężkiej pracy w „Energopolu” przychodzili ze sprzętem na cmentarz i równie ciężko pracowali do zmroku. Potem przyszedł kolejny etap – po spektakularnej akcji

„Energopolu”, oprawionej głośną i skuteczną informacją medialną – zbieranie funduszy na odnowę i utrzymanie cmentarza. Płynęły lawiną od serca Polaków z Polski i z zagranicy. „Energopol” pracował bez przerwy, pomagali mu i młodzi lwowiaczy. Pamiętam, jak oni po prostu płonęli! Pełni złości, za wszelką cenę chcieli zastaną ruinę wskrzesić do dawnego piękna. Był wśród nich góral, dostał się na pylony i odtworzył wszystkie nazwy pól bitewnych. To byli wyjątkowi Polacy. Nie wiem, czy dużo wiedzieli o Lwowie, ale gdy przyjechali i zobaczyli zdewastowany cmentarz, docenili wielkość i wagę historyczną naszego *Campo Santo*. Nigdy im tego nie zapomnimy. A to, co się stało później, to także nasze polskie starania. Wyjazdy na konferencje do Kijowa pana ministra Andrzeja Przewoźnika i innych przedstawicieli władz polskich, aby wreszcie po tylu latach wydrzeć Radzie Miejskiej Lwowa decyzję i pozwolenie na poświęcenie cmentarza w dniu 24 czerwca 2005 r. To nie było łatwe, to także było zapłacone. Gdy patrzyłam na wspaniałą – nie zawaham się powiedzieć – elegancką organizację uroczystości, identyfikatory, modlitewniki, krzesła przywiezione z Polski, wzruszająca służba harcerzyków – rozdawali wodę do picia, czapki chroniące od słońca, troszczyli się o ludzi starszych... Sama tego doświadczyłam. Siedziałam zadumana, wrzeszona świetnością przeżywanej chwili, gdy podszedł do mnie starszy harcerz – myślę, że był to lekarz – i zapytał: czy pani się dobrze czuje? Z uśmiechem podziękowałam i odpowiedziałam: Doskonale! Tylko metryka urodzenia trochę mi przeszkadza!

R.M.: Ja odczułam bardzo przykro fakt, że o Bobrowskim wspomnieli tylko prezes Kamiński. Poza tym nikt. Cisza. Żaden z przemawiających oficjeli. A myślę, że w takim miejscu i z takiej okazji należało jego nazwisko przywołać, bo przecież wszystko od jego inicjatywy się zaczęło.

J.P.: Nie padło też nazwisko prof. Stanisława Niciei, który pisząc naukową monografię o tym cmentarzu, przywracał miejsce i wydarzenia świadomości Polaków z rozmysłem pozbawionych w nauce historii faktów z obrony Lwowa czy walk polsko-ukraińskich i wojny polsko-bolszewickiej. Nie padły też nazwiska Lwowiaków, którzy pamiętali zawsze o cmen-

tarzu, a kiedy zainicjowano akcję odnowy cmentarza oficjalnie, każde wolne chwile poświęcali tej idei.

J.Z.: W tym miejscu należy wymienić osoby, które skupiały wokół siebie polskie dzieci, młodzież i dorosłych. Dzieci i młodzież uczyliśmy w naszych domach religii, języka polskiego, historii, pieśni polskich, polskiej literatury. Lekcje były regularnie prowadzone. Podobnie było z młodzieżą. Nasze tradycyjne święta spędzaliśmy razem, dzieci z udziałem dorosłych. W tych środowiskach nic co polskie nie było nam obce. Przeciwnie – było budujące i wychowawcze. Troska o tradycje, cmentarze, kościoły była zawsze żywa. Dlatego i dzieci, i młodzież brały udział w sprzątanii cmentarzy, a dorośli angażowali się do cięższych prac porządkowych. Z najbardziej zaangażowanych wymienię państwa Cydzików i śp. panie Zofię i Krystynę Pankówny, Janinę Fastnacht, Marię Klamut, które uczyły i prowadziły dzieci oraz młodzież do pracy, do nieustającej opieki nad grobami, zwłaszcza przed Żaduszkami i rocznicami świąt narodowych.

J.P.: Na koniec wypada postawić pytanie: co dalej? Co ten dzień zmienił dla przyszłości polsko-ukraińskich stosunków, dla Polaków żyjących we Lwowie. Czy się okaże, iż jedynym, co usłyszymy, będzie westchnienie ulgi polityków, gdyż problem mają z głowy... A i prasa nic nie napisze, bo afery mogą się skończyć?

A.C.: Rzeczywistość, z którą się stykamy, jest dość urozmaicona i nieprzewidywalna, trudno więc cokolwiek prorokować. W sprawach polsko-ukraińskich ubywa niewątpliwie dość istotna „zadra”, sytuacja jest więc korzystna dla stosunków międzypaństwowych, ale na niższym

szczeblu? Zwróćmy uwagę, że już powstaje nowa afera w sprawie symbolicznego miecza na płycie Nieznanego Żołnierza – rzekomego „Szczerbca”. I czy nie pojawią się nowe roszczenia w kwestii pochówków UPA i akcji „Wisła”, co nie ma wszak żadnego związku ani w czasie, ani w samej istocie ze sprawą lwowskich Orłąt?

L.W.: Mnie się wydaje, że to wydarzenie jest czymś bardzo znaczącym dla stosunków polsko-ukraińskich, dlatego że Cmentarz Obrońców Lwowa jest bardzo naładowany podtekstami patriotycznymi. W końcu po długich i ciężkich cierpieniach obie strony w jakiś sposób tę sprawę załatwiły. I to jest optymistyczne, że jednak coś można zrobić. Jeśli zaś chodzi o problem cmentarzy UPA w Polsce, o których pan Andrzej wspominał, to ja sądzę że nie można tego problemu przykładać do lwowskiego cmentarza. Cmentarz Obrońców Lwowa powinien być traktowany w zdecydowanie inny sposób. Jeśli oni w kontekście lwowskiej nekropolii podnoszą sprawę napisów na cmentarzach UPA, powinniśmy wskazywać te miejsca, o których my wiemy, a oni chcieliby zapomnieć. Proszę zauważyć, że na Wołyniu, w Porycku, jest napis na pomniku, który kompletnie nic nie mówi! Trzy słowa wyrażające smutek i żal... Ale ani słowa o tym, że to mogła ludzi spalonych w kościele! Ani kiedy się to stało! Nic, kompletnie nic! Natomiast na znajdujących się w Polsce cmentarzach UPA bywa wyraźnie napisane, kto i kiedy zginął. Tak więc to my powinniśmy żądać i wymagać, by Ukraina stosowała zasadę wzajemności.

A.C.: Jak to zrobić?

L.W.: Proszę nie zapominać, że tymi cmentarzami w kraju i za granicą zawiaduje pan Andrzej Przewoźnik. Czy to nie zastanawiające, że tuż po uroczystościach we Lwowie ukazuje się informacja, że był współpracownikiem SB? Pomyślmy, komu mogłoby zależeć na tym? I w ten sposób doszliśmy do naszego polskiego piekielka...

A.C.: No właśnie...

L.W.: Drodzy państwo, jako człowiek związany ze środowiskiem kultury, muszę stwierdzić, że kontakty polsko-ukraińskie na niwie kultury, szczególnie w Krakowie, całkiem nieźle się rysują. Decydują o tym bliskie kontakty naszych najważniejszych instytucji Zamku Królewskiego na Wawelu, Muzeum Narodowego, Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, Muzeum Etnograficznego czy Międzynarodowego Centrum Kultury. Są to kontakty instytucjonalne, ale i bliskie osobiste kontakty pracowników. Wraz z żoną braliśmy udział w przygotowywaniu kilku lwowskich wystaw – chociażby słynne zbiory judaików z kolekcji Goldsteinów. Przecież gdyby nie osobiste kontakty



prof. Jana Ostrowskiego, nie było tej wspaniałej inwentaryzacji kościołów rzymskokatolickich w Małopolsce Wschodniej. Tak więc często więcej zależy od bezpośrednich kontaktów między ludźmi czy bezpośrednio instytucjami. Wszelkie antagonizmy idą na bok!

A.C.: Ale te kontakty – proszę zauważyć – dotyczą elity. A poza tym polska strona dość suto za te kontakty płaci. Przywołane do nas obrazy, zanim trafiają na ekspozycję, poddawane są konserwacji na nasz koszt. Po wystawach wracają do Lwowa w zupełnie innym stanie. To jest oczywiście nasz interes, bo rzecz dotyczy polskiego dziedzictwa kulturowego.

L.W.: I o to chodzi!

J.Z.: Proszę państwa, poświęcenie Cmentarza Obrońców Lwowa na pewno nie gasi naszych nadziei. Natomiast mało mam wiary, chociaż nie powinnam być aż taką pesymistką, w lepsze jutro dla nas. Ja obserwuję, co się wokół dzieje – nie tylko we Lwowie i widzę, jakie są niktne szanse... I dlatego w wywiadzie dla telewizji powiedziałam, że konferencje, oświadczenia, uro-

czystości, spotkania – to mało co warte gesty! Najważniejsze jest to, abyśmy my i oni – Ukraińcy – potrafili wychować młodzież, i po prostu wzbudzić w niej – jeżeli tego nie ma – albo umocnić – jeżeli posiada, wartości moralne. Powiedziałam wtedy też, że myśmy poparli „rewolucję pomarańczową”, dlatego, że oni wysuwali hasła wielkich wartości ogólnoludzkich – wolność i sprawiedliwość. A optymistką jestem tylko dlatego, że wierzę w naszą polską pamięć narodową i widzę, że już rosną te pokolenia, które będą tę pamięć utrzymywały.

A.C.: Chciałbym jeszcze na koniec podkreślić nasze uznanie i wdzięczność dla Odnowicieli Cmentarza Obrońców Lwowa, w pierwszym rzędzie dla Wielkiego Inicjatora Józefa Bobrowskiego, niestety nieżyjącego, oraz dla Wielkiego Dplomaty i Organizatora Andrzeja Przewoźnika. Ich dzieła nie waham się postawić w naszych trudnych czasach na równi z dziełem Wielkiego Twórcy Rudolfa Indrucha. Proszę wybaczyć ten patos, ale tu się chyba należy.

J.P.: Serdecznie dziękuję państwu za rozmowę.

STANISŁAWOWSKIE KOŚCIOŁY

dokończenie ze s. 13

Bożej. Ciotka jednak obstawała przy swoim. Co Łysiec – to Łysiec.

Zdaje się, że raz lub dwa była tam pieszo. Do rytuału należało wczesne wyjście z domu, aby w Łyścu móc już być na mszy św. rannej. Czasem korciło mnie, żeby pójść tam i zobaczyć jak ten nasz niezwykły Łysiec wygląda, ale ranne wstanie z łóżka bardzo mnie zniechęcało do pielgrzymki. Pewnego dnia, po powrocie z Seminarium, ciotka oznajmiła, że po obiedzie idzie z koleżankami do Łyśca. Znowu? – zdziwiła się Mama. Ale ciotka tyle miała tych próśb do Matki Bożej, przeważnie łączących się z jej trudnościami w nauce, że odradzanie pobożnej wycieczki równałoby się z przekreślaniem wyników pracy ciotki w Seminarium. Toteż Mama przestała na tej jednej swojej uwadze.

Ciotka chciała mnie wziąć ze sobą. Uśmiechała mi się ta podróż, ale miałem wątpliwości, czy mi coś da, to znaczy, czy Matka Boża Łysiecka wysłucha mnie, bo

przecież szedłem nie rano, nie na czczo i nie miałem tam w kościele przystąpić do komunii św. Wiedziałem z dawniejszych objaśnień ciotki, że gdy się wybiera do Łyśca, trzeba sobie najpierw ustalić intencję tej pielgrzymki, o co się będzie Matkę Bożą prosiło, i zachować warunki, które wymieniłem. Ciotka uspokoiła mnie, że gdy nie da się być w Łyścu rano, to można tam pójść po południu, a skutek będzie ten sam. Tę trudność miałem więc już z głowy. Pozostała jednak intencja. Ustaliłem sobie jakąś i zacząłem prosić Mamę, aby mnie puściła z ciotką. Opatrzywszy mnie różnymi wskazówkami i upomnieniami, Mama wypuściła swojego pierworodnego na pątniczy szlak. Droga mnie nie zmęczyła, dzień był piękny, w kościele łysieckim – tak sobie. Obraz nie wywarł na mnie większego wrażenia, a swoją prośbę przedstawiłem Matce Bożej bardzo nieporadnie. I to wszystko, co pozostało mi w pamięci. Ciotka jakby wyczerpała swój entuzjazm dla Łyśca w tej pielgrzymce, bo już – o ile się nie mylę – nie chodziła tam więcej. Ja też.

Wanda Niemczycka-Babel

Wszystkie szkolne lata

Fragment wspomnień lwowskich

Do szkoły powszechnej, gimnazjalnej i licealnej ss. *Nôtre Dame* chodziłam przez lat jedenaście, w dwunastym wybuchła wojna. Mieściła się ta szkoła przy ulicy Ochronek 8, w gmachu dużym i rozległym, który za pierwszych moich lat nauki został znacznie rozbudowany od frontu i włąb parceli. Obok starego powstał nowy, nowoczesny budynek ściśle do starego przylegający i z nim połączony. Wchodziło się do szkoły przepastną bramą budynku starego, za którą rozciągał się obszerny przejazd prowadzący na podwórze, kamienny, pięknie utrzymany, z prześliczną figurą *Matki Boskiej* w ścianie bocznej. Kilkoma schodkami – w ścianie przeciwległej do tej z figurą – wchodziło się do wąskich drzwi (dawne wejście do klauzury), gdzie zza oszklonego okienka wyglądała anielska twarz którejs z sióstr *furtianek*, a dalej już na korytarz szkolny.

Zakon Kongregacji Sióstr Szkolnych de *Nôtre Dame* został założony we Francji jeszcze w 1597 roku. Po wojnach napoleońskich rozprzestrzenił się w Austrii, a stamtąd na Górny Śląsk. Z końcem XIX wieku powstała pierwsza filia Zakonu w Ameryce, gdzie bardzo szybko poczęły się mnożyć zakłady naukowe dla dziewcząt, z czasem także i polskie. Te polskie szkoły znajdowały się w *Milwaukee*, *Grand Rapids*, *Chicago*, *Baltimore*, *St. Louis*, *Minneapolis*. Prowadziły więc popularnie zwane „*Noterdamki*” szkoły angielskie, niemieckie, francuskie, hiszpańskie, włoskie i polskie.

Dom Sióstr założony we Lwowie* w roku 1904 początkowo prowadzony był z językiem wykładowym niemieckim, ale w 1918 r. niemiecka szkoła zamieniona została na polską. Była to szkoła klaszorna, prywatna, a więc płatna. Kierownictwo, pedagogicy i wychowawcy byli osobami zarówno zakonnymi, jak i świeckimi, przy czym tych ostatnich było więcej. Ogólny poziom był znako-

mity. Wszyscy uczący posiadali cenzus akademicki, a niektórzy z nich nawet stopień doktora.

Zadając sobie dziś pytanie – lubiłam tę szkołę, czy nie? – trudno mi znaleźć jednoznaczna odpowiedź. Sentymentem na pewno związana z nią byłam ogromnie, tak jest bowiem z większością miejsc na ziemi, w których zostawiło się kawałek swojego życia. W moim sercu pozostał na zawsze zarys tych murów, a w nich ludzie, z którymi spotykałam się, współżyłam, pracowałam i bawiłam się każdego dnia. Ale czy ja szkołę – w ogóle szkołę – lubiłam? Z jej dyscypliną, rygorami, związanym z tym wczesnym wstawaniem, nierządno nudami na niektórych lekcjach, codziennym właczaniem siebie w mundurek, ohydny fartuch z białym kołnierzykiem i znienawidzone patentowe (w prążki) pończochy?

Gdy byłyśmy małe, po lekcjach czekała na nas zawsze *Mamusia* w tym dużym, przejezdnym przedsionku, w gronie wielu innych mamus. Wszystkie w modnych kapeluszach i, zależnie od pory roku, futrach, płaszczach z kołnierzami różnej maści lub letnich sukniach z *crepe-de-chine* lub jedwabiu.

Przez pierwsze lata szkoły powszechnej, odprowadzana przez *Mamę*, na pewno się nie spóźniałam. To zaczęło się później, kiedy chodziłyśmy z *Hanką* już same, zawsze na tę nieszczęsną godzinę ósmą, która była dla mnie świtem. Szłyśmy, trzymając w rękę coraz cięższe i bardziej wyładowane skórzane teczki w rękę – moda była wówczas nieprzychylna dla tych, którzy dźwigali tornistry na plecach – a my, choć to było dużo bardziej niekorzystne dla naszych kręgosłupów, wolałyśmy być „modne”. Szłyśmy zatem codziennie tą samą trasą, tzn. ulicą Zieloną w dół, potem *Szewczenki*, *Kochanowskiego*, na ukos przez plac *Gosiewskiego*, dalej krótką i mocno zakręconą ulicą *Domagaliczów* i wreszcie wchodziłyśmy w ul. *Ochronek*. *Hanka* zawsze mocno i bar-

dzo sportowo parła do przodu, wypominając mi, jak to długo musiała na mnie czekać i teraz na pewno się spóźnimy. Ja za nią, z pewnym ociąganiem, przezuwając w myślach realność tej strasznej, codziennej sytuacji, jaką jest chodzenie do szkoły.

Z czasem, na pewno już w wyższych klasach gimnazjalnych i pierwszej licealnej, Hanka się zbuntowała. Jej energiczna, pracowita i zdrowa fizycznie natura nie wytrzymała tego porannego wyczekiwania, kiedy ja wreszcie zwlokę się z łóżka i ponagłana przez Mamę wyjdę z domu. Wybiegała więc z domu pierwsza, podczas gdy ja ciągle zjawiałam się przed furką szkolną już po pierwszym dzwonku i przez to często musiałam stawać przed obliczem dyrektora szkoły, w jego gabinecie, aby się sensownie usprawiedliwić. Dyrektorem gimnazjum, a później i liceum był ks. Rudolf Opacki o sylwetce wysokiej i bardzo szczupłej, twarzy pociągłej, raczej dobrotliwej, ozdobionej okularami w złotej oprawce. Zawsze krótko ostrzyżony, lekko szpakowaty.

– *I cóż dzisiaj, Niemczycka, znowu ci się przydarzyło?* – dobiegał zza biurka jego miły głos. Robiło mi się naprawdę głupio i stawałam się szczerze skruszona. Byłam przecież dobrą uczennicą, a tu znów taki wstyd. Wyobraźnię miałam bogatą, ale nie aż na tyle, aby zawsze wymyślić coś bodaj w części wiarygodnego. Wydawało mi się, że moje naprędce klecone opowiadania o porannych bólach brzucha, skręceniu nogi oraz konieczności wstąpienia do apteki itp. nie zawsze znajdowały zrozumienie lub wiarygodność u szacownego przełożonego. Kiwał z dezaprobatą głową, groził mi palcem, za każdym razem powtarzając: – *Żeby mi się to więcej nie wydarzyło* – jakkolwiek oboje świetnie wiedzieliśmy, że to niemożliwe i że po krótkiej poprawie znów stanę przed nim prawdziwie zboląta i skruszona.

Raz jeden tylko moje usprawiedliwienie było prawdziwe i wzbudziło u księdza pełne zrozumienie oraz szczerze rozbawienie. Było to w dniu, kiedy nasza ukochana suczka spanielka Baby, po wiele godzin trwającym porodzie, urodziła rano ostatecznie swoje szczenię. Stanęłam wtedy przed obliczem dyrektora pełna triumfu i szczęścia, jak też w poczuciu prawdy wygłaszanych słów, oczywiście spóźniona, i wypaliłam: – *Nasza Baby właśnie urodziła siódmego szczenia-*

ka! Nie mogłam wyjść wcześniej. – Powód mego spóźnienia obiegił wtedy całą szkołę i serdecznie ją rozbawił.

Kiedy już bolejąca od wyrzutów sumienia i pełna szczerzego postanowienia poprawy (zupełnie jak na spowiedzi) zamykałam drzwi dyrektorskiego gabinetu, zanurzałam się w kamienny chłód szerokiego, szkolnego korytarza pogrążonego w ciszy, gdyż pierwsza lekcja już się zaczęła.

Dochodziłam do klatki schodowej nowego budynku, mijając drzwi wspaniałej, wysokiej na dwa piętra sali gimnastycznej – która z racji posiadanej sceny z kurtyną w każdej chwili zamieniała się w teatr i służyła wszelkim szkolnym imprezom – wbiegałam na drugie piętro i na chwilę zatrzymałam się pod drzwiami swojej klasy. Tak, lekcja już się zaczęła...

*M*oje pierwsze szkolne wspomnienia są dosyć mgliste. Pierwsza klasa – jeszcze w starym budynku, ale piękna, wysoka i przestronna – to na pewno rozwieszona na ścianach w barwnych planszach historia Czerwonego Kapturka (ach! jaki długi, usiany ostrymi zębami pysk miał ten wilk!), jakieś plansze z kolorowymi patyczkami, czy też kółkami, i oczywiście twarze niektórych koleżanek: bardzo jasna twarzyczka Janki Moor (z którą później bardzo się przyjaźniłam) okolona popielatoblonde, równo obciętymi „na pazia” włosami; wesola buzia bardzo żywej, ruchliwej Jadzi Dyakowskiej, również z grona najbardziej zaprzyjaźnionych; zamglona w pamięci Marylka Gosiew-

Uczennice szkoły Notre Dame z dyr. ks. Opackim



ska, u której zapamiętałam tylko bardzo okrągłe, niebieskie oczy i jakby stale zakatarzony głos; zupełnie rozmazana we wspomnieniu buzia i sylwetka Irki Cierpiałkowskiej; szybka, wesoła i skoczna niczym wieiórka Zosia Barabasz o bardzo drobnej, śniadej twarzy opromienionej wielkimi, migotliwymi oczami sarenki; wreszcie obie wysokie Ewa Mokłowska i Basia Dobrzańska. Tyle tylko owych małych dziewczynek mogę na poczekaniu wyłowić z pamięci. Potem te postacie w fartuszkach z białymi kołnierzykami w kolejnych latach się zmieniają. Pojawiają się nowe, niektóre znikają, a tylko kilka z tych pierwszych spotkanych w zaczarowanym kręgu bajki o Kapturku pozostaje wraz ze mną przez wiele szkolnych lat.

Jawia mi się postaci zakonnych nauczycielek (tych w szkole powszechnej było więcej niż świeckich) w czarnych habitach, których twarze obramowane mocno krochmalonymi, białymi kornetami – w większości dla mnie dawno utraciły swoje imiona. Wiem na pewno, że była przedobra s. Antonina, surowa i nudna s. Maria (dr nauk przyrodniczych), s. Sabina, s. Prudencja i wreszcie – podobna do gnoma, chuda i zgarbiona – s. Eulogia, grająca przez całe lata na fisharmonii w szkolnej kaplicy i prowadząca chór szkolny, który uczestniczył w odbywających się tu w niedziele mszach świętych.

Wspominając chór szkolny, muszę opowiedzieć o naszej kaplicy, położonej nad salą gimnastyczną, o identycznej kubaturze co i ona. Kaplica pozostała w mojej pamięci jako przestrzeń bardzo przejrzysta, wypełniona jasnością dnia i słońcem, ograniczona kolorową mozaiką malowideł ściennych o motywach roślinnych i kwiatnych. Dwóch rzędów ławek, długich i chyba ciemnych, nigdy nie widzę pustych, ale szczelnie wypełnione już nie fartuszkami, ale ciepłym granatem mundurków, o wesołych – w trzy rzędy naszytych czerwonych, wąskich tasiemkach na szerokich, marynarskich kołnierzach. No i wyraźnie czuję do dziś na swoich kolanach plecioną ostrość kokosowych, czerwonych chodników, biegnących wzdłuż ławek w stronę ołtarza.

Przy ołtarzu, zwrócony przedsoborowym obyczajem plecami do wiernych ornat księdza dyrektora lub ks. Symoniego. Łacińskie *Dominus vobiscum* księdza i spływająca

z góry kaskada tonów szkolnej fisharmonii wraz z drżącym głosem i cieniutkim *et cum spiritu tuo* S. Eulogii jeszcze są we mnie słyszalne. Jak głęboko zakodowany jest ten obraz i dźwięk w mojej wyobraźni – zdaje sobie sprawę, mozolnie starając się go rozszyfrować słowami po tylu, tylu latach innych kościołów, innych murów, innych dźwięków i barw.

Do gimnazjum doszliśmy, ja i Hanka, zgodnie z nową reformą szkolnictwa po sześciu latach szkoły powszechnej, aby po czterech latach gimnazjum przejść do dwuletniego liceum zakończonego maturą.

Lata gimnazjalne rysują się już bardzo realnie w mojej pamięci. Moje koleżanki z tych lat, które często weszły do mojej klasy już w późniejszych latach szkoły powszechnej, mają żywe twarze, ściśle przylegające do imion i nazwisk. Większość z nich widzę wokół siebie – Marysię Lochman, śliczną czarnulkę o przepięknych, ciemnych, lśniących oczach, zawsze nienaganną we wszystkim co robiła (dziś stale mieszkająca w Sanoku); Irkę Hejnar, z którą przez kilka lat siedziałam w jednej ławce, wysoką, o gładko przyczesanych włosach ujętych w dwie kukiełki; Halę Maksym (w 1940 r. wywieziona do Kazachstanu), szczupłą, wysoką, z burzą silnie skręconych, niesfornych włosów; Zosię Janiszewską (po wojnie żonę kapitana żeglugi wielkiej, przez dziesięciolecie mieszkającą w Gdyni, obecnie w Warszawie), właścicielkę najbardziej niebieskich oczu, jasnobłond długich warkoczy i buzi o prawdziwie polskiej urodzie; Marysię Nędzowską, drobną, niewielką, o bardzo krętych włosach; wysoką Jankę Łysakowską, z którą w czasie wojny los tak tragicznie się obszedł; Hanke Sitarską, płomiennoruda z warkoczami, o niezwykłym temperamencie i niezwykłych pomysłach; Wandę Olech, Tosię Klimowicz, Hanke Krauss, Zosię Nosek, Stasię Olexińską, Krysię Niezabitowską i oczywiście, te wymienione już wcześniej w klasie pierwszej – Janke Moor (obecnie w Warszawie), Jadzię Dyakowską (w Wałbrzychu), Zosię Barabasz... To tylko ten najbliższy krąg moich towarzyszek klasowych. Było ich znacznie więcej i widzę je wszystkie pełne nieuświadomionego jeszcze oczekiwania tajemnicy życia, które otwierało nieznaną śluzę dni, tygodni i lat

rozpościerających się przed nami przeżyć, dokonań, spełnień.

Przez wszystkie lata gimnazjalne, a także i w licealnej, wychowawczynią naszej klasy A (z językiem francuskim) była s. Ludmiła Jacakówna, matematyczka po studiach uniwersyteckich. Była osobą przezacną, łagodną, cichą i pełną niespotykanej dobroci. Z wszystkimi tymi zaletami serca szła, niestety, w parze łatwowierność, którą my, uczennice, szybko wykryłyśmy, często jej nadużywając. Z własnego doświadczenia pamiętam, iż aby ukryć swoje nieprzygotowanie do lekcji, opowiadałam jej o swoim złym samopoczuciu, przybierając bolesny wyraz twarzy. Do dziś pamiętam jej poczciwe dobre, szare oczy, patrzące z dziecinną ufnością na świat i zamieszkujące go istoty przez grube szkła okularów, które tkwiły na niezbyt urodziwej, okrągłej twarzy, otoczonej sztywną bielą zakonnego kornetu. Kiedy się dobrze wsłucham w coś, co tkwi w moim wnętrzu, słyszę wyraźnie dźwięk jej głosu, jej sposób mówienia i jestem pewna, że nie utraciłam nic z tego brzmienia – że ona tak właśnie mówiła.

Mimo niewątpliwych zdolności językowych, nie lubiłam łaciny. Możliwe, że jedną z przyczyn tego mego stosunku do *lingua romana* była nadgorliwość mojej Mamusi w egzekwowaniu mych łacińskich zadań, szlifowaniu gramatyki, tłumaczeniu tekstów, czy też odpytywaniu słówek, wszystkich nieregularności koniugacyjnych czy też deklinacji. Sama doskonale łacinę знаła i świetnie ją pamiętała, znała także grekę i potrafiła recytować całe fragmenty *Iliady* w tym języku. Była uczennicą i wychowanką gimnazjum Zofii Strzałkowskiej, które mieściło się w gmachu położonym w pięknym, dużym ogrodzie przy ul. Zielonej.

W pierwszych latach gimnazjalnych łaciny uczył nas prof. W. Szujski, znakomity filolog klasyczny, w owym czasie już dobiegający emerytury. Drobny, szczupły o pociągłych rysach, twarzy okolonej siwymi włosami. Niezwykle kulturalny, ujmujący w sposobie bycia. Nie było z nim żadnych problemów. Wymagania miał umiarkowane i swoim łagodnym, spokojnym podejściem nie wyzwalał we mnie żadnych stresów. Noty miałam wtedy dobre. Otwarta pierwsza książka do języka łacińskiego do dziś pa-

trzy na mnie niewielką ryciną pukającej do drzwi dziewczynki – *Marta portam pulsat*.

Ale dobry i miły prof. Szujski przeszedł na emeryturę, a w klasie pojawiła się młoda, agresywna w sposobie uczenia i odpytywania, pedantycznie dokładna p. Janina Rzepińska. Działała fatalnie na mój system nerwowy. Niestety, miała Marta z książki zamknęła za sobą drzwi, odcinając mnie od prostych, zrozumiałych zdań. Pojawiły się wielkie problemy – tłumaczenia Cycerona, Seneki, Wergilego.

Po bryki do tekstów łacińskich biegało się oczywiście na Batorego, ulicę księgarń i antykwariatów. Do księgarni Rubina (chyba Mosesa, może Izydora?), Iglu lub Bodeka. Ale to było nieciekawe, o ileż bardziej podniecające było odwiedzanie przy tej samej ulicy wypożyczalni Stanisława Malinowskiego. Tam biegłam jak na skrzydłach. Jaką wspaniałą książkę uda mi się dziś wypożyczyć? I choć wszystkie tomy oprawione były w jakiś szary papier, każdy z nich brany do ręki wywoływał dreszcz ciekawości, chęć pochłonięcia jego treści.

Tak więc było z łaciną. Natomiast zupełnie inaczej, wprost cudownie, było z językiem francuskim. Niewątpliwie za sprawą jedynej przez cały okres szkolny nauczycielki, siostry Reginaldy Groeger, Belgijki, znakomitego, choć bardzo wymagającego pedagoga. Była ona niewątpliwie wielką osobowością, bardzo błyskotliwą, inteligentną, potrafiącą rozbudzić zamięłowanie do języka, jak również wciągnąć ucznia w aurę kraju tego języka, jego historię i kulturę. Wysoka, postawna, nieomal majestatyczna w sposobie chodzenia i poruszania się, nosiła pięknie osadzoną głowę wysoko, ukazując między śnieżnymi skrzydłami kornetu twarz o pięknie rzeźbionych rysach, twarz dumną, raczej chmurną, na której rzadko pokazywał się uśmiech. Podobno pochodziła z rodziny arystokratycznej. Po polsku mówiła nie najlepiej.

Języka polskiego uczyła mnie w szkole średniej p. Zofia Iwatiwowa, wówczas bardzo młoda, niemniej doskonała w swoim zawodzie. Wymagająca, konsekwentna, ceniąca zdolności i inteligencję, ale, niestety, niemiłosiernie złośliwa, tępiąca ociężałość myśli, brak zdolności w sposobie ich wyrażania w słowie i piśmie. Dziś tę ostatnią jej cechę odbieram inaczej niż w latach

szkolnych, zdając sobie sprawę, że jej postępowanie w stosunku do uczennic mniej uzdolnionych humanistycznie musiało na nie działać stresująco. Było po prostu niepedagogiczne. Pani Iwatiwowa była osobką niewysoką, drobną i zgrabną, wówczas około trzydziestki, o kruczoczarnych włosach nieodmiennie ściśle i gładko przylegających do głowy, przedzielonych idealnie równo przebiegającym pośrodku przedziałkiem, zebra-nych u nasady szyi w coś w rodzaju ósemki. Twarz jej cechowały drobne, regularne rysy ożywione bardzo inteligentnym, czasem jakby drwiącym spojrzeniem ciemnych oczu. Dla mnie była wzorem, jeśli chodzi o styl ubierania się i, jak pamiętam, zachwycały mnie jej bućki, zawsze na wysokich obcasach.

Historii uczyła nas pani J. Barszczewska; biologii chyba dr Janina Orska, ale poza ich sylwetkami niewiele może mi o nich moja pamięć podyktować. Natomiast bardzo żywą postacią, nie tylko w pamięci, ale i sercu pozostała ucząca nas tzw. robót ręcznych i zajęć technicznych – p. Zofia Breitowa, osobka niesłychanie kobieca i pełna wewnętrznej ciepła. Mówiła zawsze ściszo-nym, aksamitnym głosem, a kiedy jej jakby lekko zasmucone spojrzenie padało na mnie spod firanki jej długich rzęs, topniało mi serce i tak strasznie było mi przykro, że z powodu

pełnego braku tzw. talentu manualnego byłam jej stałym utrapieniem. Rekompensowała jej to moja młodsza siostra, która zawsze była u niej prymuską. Pani Breitowa była jedyną z grona pedagogicznego mojej szkoły, z którą zetknęłam się po wojnie i w latach 60. spędziłam nawet u niej wraz z moją córeczką kilka wiosennych dni w jej ślicznym domu w Makowie Podhalańskim.

Dziwna sprawa z tą ludzką pamięcią. Pewne sprawy, nawet drobiazgi zupełne, pewne twarze, głosy, zdarzenia czasem najmniej ważne, wyostrza na swym ekranie i utrwała nieraz na zawsze, inne przysypuje jakby pyłem, oddala, wymazuje, pozostawiając luki lub bardzo nieostre zarysy, fragmenty, niewyraźne echa i milknące głosy, które nie sposób już uchwycić zmysłami. Może tylko sercem.

POST SCRIPTUM

Powyższy fragment wspomnień dotyczy lat 1928–1939. Pozostali zapamiętani przeze mnie pedagodzy Zakładu Nôtre Dame to: Maria Baczynska (wf.), Janina Dalborówna, zam. Żłab (polonistka), Władysław Żłab (łacinnik), dr Ewa Malczyńska (historyk), dr Fortunat Stroński (przyrodnik) – lata wcześniejsze, dwudzieste.

* Patrz CL4/01 – założenie domu we Lwowie

Na 25-lecie Zakładu Wychowawczego SS. de Nôtre Dame

Ćwierćwiecze pracy święci dziś „Nôtre Dame”
Pod hasłem: Polska, wiara i nauka.

Więc do zakładu zawsze cichych bram
Niechaj dziś radość rozgłośnie zapuka.

Trudno jest oczy otwierać na świat
I dobrze życiem pokierować młodem.
Dusza dziewczęcia jest jak piękny kwiat,
A dla tych kwiatów zakład był ogrodem.

A więc zakwitło tutaj wiele dusz
W słońcu opieki i miłości czułej,
Bo ogrodnikiem był tu Anioł Stróż
I dobre siostry zakonnej reguły.

Bo zawsze miękka była ręka ta,
Która młodziutkie prostowała pędy,
Bo tylko serca tak czyste jak łąza
Na świat daleki wychodziły tędy.

Słońce jest dzisiaj! Niech ustąpi w cień
Wszelaki smutek przed chwilą wesołą.
Ażeby uczcić ten słoneczny dzień,
Sztandar wam daje rodzicielskie koło.

Niech on dla dziewcząt zakładu „Nôtre Dame”
Będzie tak czysty, jak pióropusz biały,
I niech ten sztandar przypomina wam
Wszystkie najświętsze Polki ideały.

Henryk Zbierzchowski

JEDNODNIÓWKA wydana z okazji 25-lecia Zakładu Naukowo-Wychowawczego SS. de Nôtre Dame we Lwowie, przy ul. Ochronek L. 8.

Marta Walczewska

STULECIE SZKOŁY SS. NÔTRE DAME WE LWOWIE

Pierwsze Siostry Szkolne de Nôtre Dame przybyły do Lwowa z Wrocławia, na prośbę abpa Józefa Bilczewskiego, dla prowadzenia prywatnej 9-klasowej szkoły dla dziewcząt. Szkołę otwarto w 1904 roku. Siostry zamieszkały u ss. Boromeuszek, a szkoła – pierwotnie 5-klasowa – mieściła się w budynku Banku Wiedeńskiego przy ul. Jagiellońskiej. Początkowo było 56 uczennic. Pierwszym dyrektorem został ks. Józef Handl. Szkoła rozrastała się, zakupiono więc dwuskrzydłowy gmach przy ul. Ochronek 8. Od lipca 1905 r. mieściła się tu 9-klasowa szkoła powszechna.

W 1912 r., po śmierci przełożonej s. Akwinaty Mierzwy, jej następczynią została s. Stanisława Kostka Blancard, paryżanka, wykształcona w Anglii i Włoszech. Dyrektorką została s. Leopoldyna Pilarska. Szkoła była ultrakwistyczna (dwujęzyczna) – uczono równolegle w języku polskim i niemieckim. Wybuch I wojny światowej przerwał na pewien czas działalność Sióstr Szkolnych de Nôtre Dame, ale w 1916 r. szkoła została znowu otwarta. Z Karwiny w Czechach przyjęto kilka sióstr.

Od 1919 r. funkcjonowała 9-klasowa szkoła z polskim językiem wykładowym. Po wojnie siostry uzyskały około 2 ha ziemi przy ul. Kadeckiej 2 i urządziły tam ogród i sad, a w latach późniejszych boisko i park szkolny. W budynku klasztorным kształciły się kandydatki do zakonu. Ich prefektką była bł. s. Maria Antonina Kratochwil. Były to ciężkie lata, we Lwowie panował głód. Abp Bilczewski wspomagał materialnie siostry. Kolejną przełożoną została S. Eufemia Kurzydym.

Od 1923 r. siostry prowadziły oprócz szkoły powszechnej – gimnazjum. Dyrektorem od początku, wg życzenia abpa Bilczewskiego, był ks. Rudolf Opacki, absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i Uniwersytetu Wiedeńskiego. Był on też kapłanem Harcerstwa Polskiego dla Chorągwi Lwowskiej,

oraz moderatorem diecezjalnym Sodalicii Mariańskiej dla uczennic szkół średnich. Równocześnie pełnił funkcję kapelana i kuratora SS Szkolnych de Nôtre Dame. Na stanowisku dyrektora szkoły wytrwał do grudnia 1939, kiedy to zwołnili go władze sowieckie. W latach 1941–44 działał w tajnym nauczaniu we Lwowie. W 1946 r. wyjechał do Gliwic. Umarł w 1964 r.

Grono nauczycielskie szkoły stanowiły w 1/3 Siostry Szkolne de Nôtre Dame, w 1/3 nauczyciele świeccy uczący stale, a 1/3 to wykładowcy dochodzący z innych gimnazjów i Uniwersytetu.

Nauczyciele świeccy to: Maria Baczyńska (1925–39) – uczyła gimnastyki i prowadziła harcerstwo, Anna Burzyńska (1934–39) – j. niemiecki i francuski, Anna Czeżowska (1928–34) – j. francuski, j. niemiecki i j. polski, Janina Dalbor-Żłabowa (1927–39) – j. polski, historia, Zofia Iwańkowa (1934–39) – j. polski, Zofia Jedlińska-Breitowa (matka autorki tego opracowania), 1934–39 – zajęcia praktyczne, dr Ewa Maleczyńska (1928–36) – historia, logika, j. polski, propedeutyka filozofii, Zofia Orliczowa (1928–39) – matematyka, fizyka, chemia, mgr Janina Orska (1935–39) – przyroda, geografia, Maria Terlecka (1928–33) – chór i śpiew, Maria Załęska (1928–34) – rysunki, roboty ręczne, Władysław Żłab (1925–37) – łacina. Religii uczył ks. dyr. Rudolf Opacki i księża: Jan Simoni, J. Gustkowin i Maurycy Turkowski.

We wrześniu 1929 r. Zgromadzenie oddało do użytku gimnazjum nowy, 3-piętrowy budynek przy ul. Ochronek 8a. Były tam sale szkolne, kancelaria, sala konferencyjna, sala gimnastyczna, aula, pracownia, biblioteka, izba harcerska i duża kaplica. Gimnazjum korzystało z parku i boiska szkolnego przy ul. Kadeckiej 2 w tzw. „Morskim Oku”.

Tak jak każda lwowska szkoła, gimnazjum miało odznakę szkolną na berecie i tarczę z numerem szkoły na rękawie płaszcza i bluzki. W szkole Nôtre Dame uczennice miały granatowe mundurki z marynarskim kołnierzem, z naszytymi czerwonymi tasiemkami.

Gimnazjum miało dać uczennicom podstawy rozwoju kulturalnego i przygotować je do studiów wyższych, a także do udziału w życiu społecznym. Klasy pod opieką wychowawczyń tworzyły gminy klasowe. Uczennice wybierały zarząd i patrona, wyznaczały sobie temat pracy. Celem było

samowychowanie, samopomoc koleżeńska w nauce, pomoc charytatywna, wyrobienie społeczne i obywatelskie.

Na spotkaniach gmin – 1 do 4 razy w miesiącu – omawiano bieżące sprawy, uczennice opracowywały tematy wg zainteresowań, np. dotyczące teatru, muzyki, wynalazków, zwyczajów, przeczytanych książek. Czytano pamiętniki, utwory uczennic, omawiano problemy życia politycznego, gospodarczego i społecznego. Była samopomoc koleżeńska i kasa udzielająca pożyczek. Zajmowano się też pomocą dla ochronek, biednych rodzin i chorych. Uczennice urządzały Gwiazdkę i Jasełka dla sierot. W 1930 r. zajęły się działalnością Związku Kresów Zachodnich, urządzając zbiórkę darów dla dzieci polskich w Niemczech. Pieniądze uzyskiwały przez przygotowywanie przedstawień teatralnych i wieczorów muzycznych. To dawało możliwość np. zakupu materiałów na sukienki, które same szyły dla biednych dzieci. Uczennice też przekazywały pieniądze ks. Rękasowi (który prowadził audycje dla chorych w Radiu Lwów) i Towarzystwu Popierania Budowy Szkół (TPBSz).

Uczennice szkoły brały udział w uroczystościach państwowych – 3 Maja i 11 Listopada. W dniu 22 listopada uczestniczyły we mszy św. dziękczynnej za oswobowienie miasta i odwiedzały Cmentarz Orląt.

W czerwcu 1929 r., w dniu jubileuszu 25-lecia szkoły, ks. abp Twardowski w czasie mszy św. w katedrze poświęcił sztandar szkoły. Sztandar przedstawiał wizerunek Najśw. Marii Panny, a z drugiej strony Godło Państwa i hasło „Bóg i Ojczyzna”. Wydano okolicznościową jednodniówkę.

Od września 1938 r. młodzież całej szkoły była zrzeszona w Szkolnym Kole Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej (LOPP). Opiekunem koła był prof. Żlab. Uczennice wspierały fundusz LOPP na budowę hydroplanu dla Marynarki Wojennej i fundusz stypendialny im. Żwirki i Wigury. Przez comiesięczną składkę młodzież szkół lwowskich fundowała samolot dla armii. We wrześniu 1933 r. szkoła włączyła się do akcji pożyczki narodowej, deklarując 250 zł na ten cel. W 1934 r. członkinie Koła LOPP oglądały pokazy szybowcowe i spadochronowe na lotnisku w Skniłowie, a w 1935 r. 20 uczennic wzięło udział w lotach. Przy kole LOPP zorganizowano sekcję konstruktorek modeli samolotów. W marcu 1934 r. w klasach V i VI gimnazjum założono Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”.

Godna uznania jest praca nauczycieli i uczniów w kółkach naukowych. Było kółko polonistyczne, francuskie, filologiczne, koło przyjaciół książki historycznej z sekcją Miłośników Ziemi Czerwieńskiej, kółko geograficzno-krajoznawcze z sekcją ochrony przyrody, koło fizyczne, artystyczne – przygotowujące przedstawienia teatralne, sportowe. Chór szkolny, prowadzony przez SM Cecylię Turek, wystąpił w programie Radia Lwów.

Od 1926 r. istniała w szkole Drużyna Harcerska im. Felicji Sulimirskiej, jako V Lwowska Drużyna Harcerska. Drużynową była prof. Maria Baczyńska. Przyrzeczenia i ślubowanie składały harcerki na Cmentarzu Obrońców Lwowa nad grobem Felicji Sulimirskiej. W szkole powszechnej były zastępy zachowawcze. Harcerki uczęszczały na kursy ratownicze, obrony przeciwgazowej, strzeleckie, narciarskie, przysposobienia wojskowego i dla obrony Kraju.

4 lutego 1931 r., w piątą rocznicę założenia harcerstwa w szkole, w radio nadano I Lwowski Kwadrans Harcerski, z gawędą inauguracyjną drużyny Marii Baczyńskiej i z występem chóru V Drużyny Harcerskiej.

W r. 1933/34 V Drużyna została wyróżniona kategorią A. Otrzymały ją trzy drużyny na 15 starających się. W marcu 1936 wydano jednodniówkę na X-lecie Harcerstwa, z tekstem Marii Baczyńskiej. W 1929 r. M. Baczyńska zawiązała Koło Przyjaciół Harcerstwa przy V Drużynie. Stwarzało to dobry kontakt z domem. Szkoła organizowała liczne wycieczki. Uczennice wyjeżdżały



na „zieloną szkołę” do domu sióstr w Mikuliczynie. Od 1924 r. pracowało Koło Rodzicielskie. Składało się z rodziców, członków wspierających z grona nauczycielskiego, byłych uczniów i przyjaciół szkoły. Miano- wano Członków Honorowych.

Jeden lub dwa razy w roku odbywały się wizytacje z ramienia władz państwowych. Podkreślano wysokie kwalifikacje nauczycieli, ich samokształcenie, współpracę i koleżeń- skość wśród grona. Poziom nauczania okre- ślano jako wysoki, metody nowoczesne, wy- rabiające samodzielność i aktywność mło- dzieży. Te wyniki w pracy naukowo-bada- wczej zapewniały szkole prawa gimnazjów państwowych, nadawane każdego roku przez Ministra Wyznań Religijnych i Oświe- cenia Publicznego. W roku szkolnym 1937/ /38 zakład otrzymał prawa publiczne dla gim- nazjum na stałe.

We wrześniu 1939 r. zaczęła się we Lwowie okupacja sowiecka. Zajęcia w szko- łach rozpoczęto 1 października. Prywatna szkoła Nôtre Dame została przemianowana na Szkołę Średnią nr 21. Zwolniono księdza dyrektora, jego miejsce zajął świecki nauczy- ciel. Siostry zakonne – nauczycielki zmu- szono do przebrania się w stroje cywilne, co było dla nich ciężkim przeżyciem, a szkolem

dla uczennic. W dalszym etapie, w 1940 r., etaty w szkole zajęli nowi nauczyciele. Przy- były nowe przedmioty: języki rosyjski i ukra- iński, historia Związku Radzieckiego. Sio- stry musiały opuścić swój dom. Zamieszka- ły w rodzinach i podjęły pracę jako pielę- gniarki w szpitalach.

Obecnie w budynku sióstr na ul. Ochro- nek nadal mieści się szkoła. Uczą się w niej dzieci ukraińskie. Dyrekcja szkoły miała obchodzić 100-lecie jej istnienia w maju 2005 roku. Czy uroczystość się odbyła? Zapro- szenie nie przyszło.

* * *

Absolwentkami przedwojennej szkoły SS Nôtre Dame jest wiele wybitnych osób, za- służonych dla kultury. Po wojnie Siostry Szkol- ne Nôtre Dame organizowały zjazdy nauczy- cieli i uczniów dawnej szkoły. Zjazdy te odby- wały się w domu Sióstr w Opolu. Kilkakrotnie uczestniczyła w nich moja Matka.

W opracowaniu tym korzystałam z wiadomo- ści uzyskanych od Matki Janiny Wizor z Domu Sióstr w Bielsku-Białej i z pracy magisterskiej Siostry Elżbiety Kupki pt. *Zgromadzenie Sióstr Szkolnych de Nôtre Dame w Polsce (1904–1939)*, opracowanej na Papieskim Fakultecie Teologicz- nym we Wrocławiu w 1982 roku.

List do redakcji



Miło nam, że numery naszego kwartal- nika przez lata krążą między ludźmi – co pewien czas otrzymujemy tego dowody zarówno z różnych stron RP i ze Lwowa, jak i z zagranicy. Oto sympatyczny list, który niedawno nadszedł ze Lwowa.

Szanowna Redakcjo! Przypadkiem wpadł mi w ręce kwartalnik „Cracovia–Leopolis” 1/1999 – Pokłosie Konkursu „Moja ulica, moja wieś”. Prze- czytałam artykuł p. Konrada Sury „Moja ulica Gródecka”, byłam bardzo, bardzo wzruszona i była to dla mnie nadzwyczajnie przyjemna niespod- zianka, że p. Konrad pisze o moim mieście, mojej ulicy i moim domu, w którym mieszkałam od dzie- ciństwa i nadal mieszkam. Otóż państwo Suro- wie byli naszymi sąsiadami, mieszkali w miesz-

kaniu nr 42, a ja z rodzicami początkowo w m. 45, później w m. 40, gdzie mieszkam dotychczas. Ciekawe są losy tego bloku, który tak często zmieniał swój numer. Obecnie nosi numer 171.

Urodziłam się w r. 1935, a więc w czasie wojny byłam jeszcze dzieckiem. Pamiętam matkę p. Konrada, która uczyła mnie robót na drutach. Wspólnie z nią zrobiłam pierwszy mój sweter. Rodzina Surów była liczna, żyli w czasie wojny bardzo biednie. Pana Konrada nie bardzo sobie przypominam, ale pamiętam Jego siostry, dor- stające panienki, z których jedna, o ile się nie mylę, nazywała się Iza.

Szanowna Redakcjo! Czy coś Wam wiado- mo obecnie o p. Konradzie lub Jego Rodzinie; gdzie mieszka, czy ma kontakty z kimś we Lwo- wie. Byłoby mi bardzo miło, gdyby p. Konrad lub ktoś z Jego Rodziny napisał do mnie. Obecnie moje nazwisko brzmi Antoniewicz, w czasie woj- ny było Janina Kretter. [...]

Droga Pani Janino, dziękujemy. List prze- kazujemy p. Konrowi, który bardzo się ucieszył i na pewno skontaktuje się z Panią.

Kobylec (2)

Monika Agopsowicz
Elżbieta Łysakowska

Pierwszą część zamieściliśmy w CL 2/05.

Oranżeria

We wspomnieniach dzisiejszych mieszkańców Kobylca stale powtarzał się ten sam wątek – ładnych i rzadko spotykanych roślin, które hodowane były w przydomowym ogrodzie i wokół grobowca. Wydaje się, że to Maria przejęła po ojcu zamiłowanie do oryginalnych kwiatów, pnączy, krzewów i drzew. Dzisiaj nie ma po nich śladu. Chyba, że te dwie sosny koło cerkwi zechciałyby coś powiedzieć... Czy prawdą jest to, że w przydomowej oranżerii rosły *tropikalne kwiaty i nawet banany*?

Dożynki

Jakubowi i jego rodzinie, a i chyba całej wsi powodziło się wyjątkowo dobrze przez ponad dwadzieścia lat. Jakub pozwalał sobie w tych czasach na nie lada ekstrawagancję – jego stangret ubrany był na czarno, a zamiast zwykłej, płóciennej miał lnianą koszulę i... firkę w zębach. Wtedy to zapewne co roku przed Bożym Narodzeniem z dworu odjeżdżał wóz wypełniony wszelkimi dobrami dla zakonu Albertynów.

O tych czasach wspomina Roman: *Dziadek był również jednym z głównych założycieli tzw. banku chłopskiego, w którym chłopcy mogli zaciągać pożyczki hipoteczne, a bank ten uczestniczył też w różnych przedsięwzięciach inwestycyjnych. Dziadek jeździł do Gwoźdźca [gdzie mieściła się siedziba Banku] co tygodnia (polnymi drogami było do tego miasteczka nie dalej jak 6–7 km). Wolno nam było towarzyszyć w tych podróżach.*

Pan Wasyl Doliński opowiada, co słyszał o dworze. Po żniwach Jakub zwoływał chłopów, błogosławił im i zawsze prosił o to samo: by dokładnie orali ziemię i by o nią dbali. Częstoował winem i pieczywym. Wiele lat później, bo latem 1936 roku, Mieczysław Agopsowicz, właściciel dużo większego majątku w Kułaczkowcach, przeczuwając chyba swoją rychłą śmierć, wyszedł przed wyjazdem do wiedeńskiego szpitala na pole, zdjął kapelusze i klaniał się wspaniałym urodzajom.

Warto w tym miejscu przytoczyć słowa Romana o chlebie babci kobyleckiej: *W pieczeniu (a nawet wyrabianiu ciasta na chleb) babcia nie pozwalała się nikomu wyręczać – ale w tym czasie nie należało się do niej zbliżać (jak gdyby była naładowana prochem). Chleb ten był słynny w całym województwie: okrągły, o prawie czarnej skórce, z żytnej białej pyłkowej mąki, dla tzw. „ludzi” też razowy.*

Do tej pory we wdzięcznej pamięci ludzkiej przechowało się i to, że Jakub wybronił kogoś przed powołaniem do armii austriackiej perswadując, że potrzebuje ludzi do pracy w polu. W czasie I wojny we dworze zatrzymywało się wojsko, w tym i umierający żołnierze austriaccy. Na cmentarzu są jeszcze ślady ich grobów.

„Krampampuli”

Okolo roku 1910, jak wspomina Roman Łysakowski, Jakub zainwestował w chybiony interes i pograżył ten niewielki majątek w kłopotach finansowych. „Znikły piękne gazony, na miejscu których ukazały się kartofle, w stajni na miejsce dwóch par koni «cugowych» stała już tylko jedna, a na nasze zapytania o [przysmak] «krampampuli» odpowiadano nam, że rum bardzo drogi”. Wiemy, że w czasie I wojny światowej w tych okolicach przetaczał się front, a kozacy dawali się mieszkańcom bardzo we znaki.

Znowu oddajemy głos Romanowi: „Jedną inwazję wojsk rosyjskich (carskich) przeżyłem na wsi u dziadków. Najczęściej widywaliśmy tam wtedy patroli kozackie, zabierające konie i pieniądze (dziadkowi przykładali do szyi długi cienki nóż od chleba) – zresztą wszystko, co im wpadło w ręce – np. podczas Świąt Wielkanocnych wleźli po wybiciu szyby od strony werandy w nocy do pokoju i m.in. zgarnęli całe „święcone” do worków, zabrali też parę koni (mojego ojca ewakuowano przedtem do Cieszyna, a potem do Wiednia).

Po odparciu tej inwazji (ojciec był już wtedy z nami) nastąpiła druga, która dotarła tylko do Prutu. Nie przyzwyczajony do kozackich zwyczajów ojciec częstoował jednego z nich papierosami ze srebrnej papieroś-

nicy, która natychmiast zniknęła w kieszeni Kozaka – zaś „barankowa” czapka, jaką wtedy nosiłem, mimo schowania jej pod łóżko, zmieniła się w kozacką (z czerwono-zielonym denkiem) z mały, w której przez resztę zimy paradowałem. Ze wzgórza za Prutem strzelali w naszym kierunku Austriacy – mieli już nawet samolot! – rzucający jakieś śmieszne bombki na kopiących rowy strzeleckie o kilkaset metrów od nas, spędzonych przez nich chłopów. Wreszcie zainstalował się u nas rosyjski sztab z generałem, który lekko ranną rękę w oknie grzał na słońcu, zaś jego adiutant (syn naczelnika Moskwy) fikał koziołki na trawniku. Były tam też dwa pułki z Polaków (normalnie – stacjonujących w Mandżurii) na małych konikach (jeden siwych, a drugi bułanych) pod wodzą płk. Karnickiego (później polskiego generała), na których rosłe chłopcy wyglądały dość śmiesznie, sięgając niemal stopami do ziemi. Koniki były jednak złe i dość dzikie i nie dawały się kuć. Pułkownik ostrzegał nas przed złodziejskimi zamiarami rosyjskich kolegów. Pytali ogrodnika, gdzie „orużie”, na co odpowiedział im, dobroduszenie, że „zakopane” – myśląc o różach przysypanych ziemią na zimę. Po tych dwóch inwazjach nastąpiła trzecia (gdy już uczyłem się we Lwowie) – kiedy dziadek zmarł, a dom został spalony przez zapalone na podłogach ogniska”.

Wspomnienia po rosyjskim wojsku są jak najgorsze – w sąsiedniej Trofanówce zniszczony dom nigdy nie został odbudowany, a w Kułaczkowcach Mieczysław, bratanek Marii Agopsowiczowej, musiał włożyć nie lada wysiłek w remont całego domu i zerwanego dachu, a straty zniszczonej biblioteki i domowych sprzętów były nie do naprawienia. Smutną pamiątką tamtych czasów było pudło fortepianu stojące jeszcze do II wojny na strychu, które Moskale wypełnili sianem i z niego karmili swoje konie.

W styczniu 1917 zmarł Jakub i podupadłym gospodarstwem zajęła się wdowa po nim wraz z córką Marią. W piśmie urzędowym z 30 sierpnia 1919 czytamy: „Dyrekcja okręgu skarbowego w Kołomyi rozporządzeniem z dnia 9 sierpnia 1919 L.637/19 zgadza się na wydanie należących do masy spadkowej po śp. Jakóbie Agopsowiczu walorów i intabulację wynikających z wydanego już dekretu dziedzictwa po tymże

zmarłym praw własności przed [podkreśl. M.A.] wymiarem i zapłatą należności spadkowej, która znajdzie pokrycie w złożonej na jej zabezpieczenie przez dziedziców do art. 10 depozytu skarbowego kwocie 6000K.” Z lektury innego zachowanego dokumentu – „Kontraktu działu”, który napisany jest trudnym dla mnie do pojęcia językiem prawniczym, wynika chyba, że majątek był zadłużony. Kłopoty te miały się nigdy nie skończyć. Nieżyjąca już dzisiaj Paraska Sawiak, która pracowała we dworze od 1919 roku, opowiadała, że gospodarstwo przynosiło niewielki dochód. Jeszcze w 1938 roku Maria Łysakowska składała prośbę do zarządu gminnego w Gwoźdźcu o „umorzenie podatku wyrównawczego i świadczeń w naturze za 1937 r. z powodu poniesionych klęsk elementarnych”, ale prośba jej została pod koniec kwietnia 1939 roku odrzucona. Leopold nie żył już osiem lat, babcia Kobylecka miała 91 lat i mieszkała wtedy u syna w Tułukowie, a Marii pozostał niecały rok życia. Zmarła 24 stycznia 1940 roku we Lwowie. Jej młodszy brat Ludwik zmarł w 1937 roku, a starszy, aresztowany przez NKWD – na wiosnę 1940 roku w czasie transportu na Syberię. Wszystkie swoje dzieci przeżyła Maria Agopsowiczowa, która z synową Rynią i wnuczką Ewą znalazła się w Zabłotowie pod opieką Leosi Szyszlakowej, klucznicy z Tuhikowa, i jej męża i tam zmarła 5 listopada 1941 roku w 93 roku życia. Przed II wojną światową majątkiem zarządzał podobno Żyd Szmister (Schmister?) czy Szpilman. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej we dworze stacjonowali Niemcy. Od nich synowa Jakuba, a wdowa po Ludwiku dostała chyba ziemniaki w czasach największego głodu. Po wojnie, gdy cała pozostająca przy życiu rodzina rozproszyła się po Polsce, we dworze znajdującym się wówczas w *Ukraińskiej Republice Związku Radzieckiego, w Iwano-Frankiwskiej oblasti*, zorganizowano szkołę, a potem wiejski klub. Dopiero w połowie lat pięćdziesiątych dom, podobnie jak i część wsi, został doszczętnie spalony.

* * *

Jest we mnie ogromna wdzięczność. Dla moich przodków za to, że dobrze zapisali się w ludzkiej pamięci. Dla pradziadka, że z szacunkiem odnosił się do ludzi i ziemi.

Dla obu Marii za podarowaną pannie młodej krowę, za dobre rady i pomoc w chorobie, za odkupioną porwaną chustkę, pożyczony budzik, za drobne prezenty i... cukierki dla dzieci. Romanowi jestem wdzięczna za to, że pozostawił tych kilka bezcennych zapisków i szkiców, i wszystkim krewnym, którzy cierpliwie odpowiadają na moje pytania i opowiadają, co zapamiętali z czasów swojego dzieciństwa i młodości.

Niczego bym nie zrozumiała, gdybym nie zobaczyła własnymi oczami tego malowniczego krajobrazu i nie doznała serdeczno-

ści mieszkających tam ludzi, którzy chcieli opowiadać o tym, co słyszeli od swoich rodziców i krewnych, i co sami zapamiętali. Wdzięczna jestem panu, panie Wasylu Dołiński, że posłuchał pan prośby swojej mamy i poszedł z kolegami pokolędować samotnej Marii Agopsowiczowej. Cieszę się panie Wołodimirze z tego, że interesuje się pan historią swojej wsi i wdzięczna jestem panu niezmiernie za to, że zebrał pan i spisał tyle cytowanych tutaj przeze mnie relacji i artykułów. Boże, pomahaj Wam

sierpień 2001 r.

Archiwum

KIM SĄ ŁEMKOWIE

Przed prawie ćwierć wiekiem ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” (47/81) krótki artykuł pod powyższym tytułem (list do redakcji TP) znanego etnografa i sławisty, nowosądeckanina, Antoniego Kroha. Autor przyznaje, że nie prowadził badań nad świadomością Łemków, jednak swój pogląd oparł na własnych obserwacjach i wynikających z nich wnioskach.

Autor nie porusza zagadnienia pochodzenia Łemków, które – tak jak Hucułów i Bojków – wiąże się z migracjami w ołockich pasterzy. Wszystkie trzy grupy etniczne, na skutek wspólnoty religijnej z Rusinami, uległy w ciągu kilku wieków językowej rutenizacji. Dzisiaj Łemkowie znaleźli się w całkiem innej sytuacji niż Bojkowie i Huculi, którzy od czasu II wojny ulegają kompleksowej rutenizacji. Łemkowie w RP nie muszą...

Poniższy tekst nawiązuje do wcześniejszego artykułu w TP (43/81) niejakiego Michała Łesiowa, który lansuje ukraińskość Łemków. List A. Kroha przytaczamy w skrócie.

1. Słowo „Rusin” nie jest po prostu dawniejszym odpowiednikiem słowa „Ukrainiec”, jak tego chce pan Łesiów. Zakres pojęcia „Rusin” jest znacznie szerszy, obejmuje bowiem także Białorusinów, a także niektóre grupy pomniejszych, np. starowie-

rów, małe grupy wschodniosłowiańskie na terenie Rumunii i in. A więc słowa „Rusin” i „Ukrainiec” nie oznaczają tego samego.

2. Jeszcze na początku XX wieku spora część ludności chłopskiej, m.in. w Galicji, nie miała wykrystalizowanego poczucia narodowościowego, była po prostu „tutejsza”, lub też myliła świadomość narodową z przynależnością państwową. „Urodziłem się Austriakiem, moja baba była Węgierką, bo z Jurgowa, po roku osiemnastym byliśmy Polakami, potem nastąpiła Generalna Gubernia, tośmy byli gubernatorzy, a teraz znowu jesteście Polacy, tylko że ludowi” – tak określał żartobliwie swoją narodowość pewien Podhalanin. Wracając do Łemków: wydaje mi się, że tylko część z nich uważa się za Ukraińców (zwłaszcza wykształceni, świadomi działacze), inna zaś część ma świadomość „negatywną” (nie jestem Ukraińcem ani Polakiem). Przykład Ślązaków, który podaje p. Łesiów, jest bardzo fortunny: otóż Ślązacy mają silne poczucie odrębności regionalnej, zaś mimo to część z nich uważa się za Niemców, część za Polaków, część za Czechów, a jeszcze pewna część twierdzi: „...jestem Ślązakiem i tyle”. Jest to stwierdzenie oczywiste i nie powinno chyba Ślązaków obrazić. Nie obrazi więc chyba Łemków stwierdzenie, że są oni rozdarci między narody ukraiński, polski i słowacki, a pewna część z nich ma wyłącznie świadomość łemkowską, negatywną do wymienionych wyżej trzech narodów. [...]

Irena Suchanek

Koncerty na Zadwórzeńskiej

W czasie okupacji niemieckiej we Lwowie, w Domu Dziecka przy ul. Zadwórzeńskiej, odbywały się konspiracyjne koncerty. Organizował je dyrektor Domu – muzyk, absolwent konserwatorium, były pracownik opery i filharmonii lwowskiej – Józef Swatoń (1989–1975). Miał on wielu przyjaciół i znajomych w środowisku artystycznym Lwowa. Proponował im odtwarzanie w trakcie tych koncertów fragmentów ich przedwojennego repertuaru w sali posiadającej oświetloną scenę i 200 krzeseł dla gości.

Gromadzenie się w tej sali na koncercie pozorowano jako odwiedziny dzieci tam mieszkających. Gdyby podczas koncertu pojawił się jakiś przedstawiciel władzy okupacyjnej, aktorzy i widzowie mieli przejść na wyższe piętra do pokoiw dzieci. To miało zapewnić bezpieczeństwo wszystkim osobom. Z tego też powodu nie wykonywano dekoracji i nie ubierano strojów teatralnych, bo szybkie ich usunięcie nie byłoby możliwe. Bilety na koncerty były sprzedawane z ręki do ręki osobom, o których wiadano, że dostosują się do warunków konspiracji.

Wśród wielu artystów w tych koncertach występowała: Celina Nahlik – była spikerka Polskiego Radia, Tadeusz Machl – pianista i kompozytor, Roman Mackiewicz, a także Andrzej Hiolski.

Pod koniec 1943 roku ukazały się teksty satyryczne o Hitlerze – malarzu pokojowym, a na początku 1944 r. wystawiono rewię, której głównym bohaterem było Miasto Lwów. Lwowski batiar śpiewał: *Kto raz cię poznał Lwowie nasz, twe złote serce, które masz, ten wie, że przesnił cudowny czas, przy tobie Lwowie nasz.* Całkowite zaprzestanie koncertów spowodowane zostało przez męża jednej z występujących artystek, który śle dził swoją żonę, podejrzewając ją o zdradę. Zauważył, że wchodzi ona do Domu Dziecka, i zagroził, że zawiadomi władze okupacyjne. Żona nie przyznała mu się, że bierze udział w konspiracyjnych koncertach.

Autorka powyższego wspomnienia sprzed ponad sześćdziesięciu lat zmarła przed rokiem, we wrześniu 2004 r. Poniżej opowieść o trudnych latach wczesnej młodości Ireny.

WSPOMNIENIE IRENY Irena Suchanek (1926–2004)

Nasza niedawno zmarła koleżanka redakcyjna – Irena Suchanek – opowiedziała mi swoje wspomnienia z dzieciństwa. Wcześniej została sierotą i zamieszkała w Domu Dziecka przy ul. Zadwórzeńskiej we Lwowie. W 1944 roku postanowiła odwiedzić swoją kuzynkę w Krakowie. W realizacji tego planu pomógł jej lwowski Oddział Rady Głównej Opiekuńczej. Dostała miejsce w wagonie zarezerwowanym przez RGO dla dzieci-sierot, których rodziny zostały wymordowane przez Ukraińców z OUN-UPA. W czasie tej podróży Irena słuchała tra-



gicznych opowieści tych straszliwie skrzywdzonych dzieci. W Krakowie była świadkiem zorganizowanej przez Krakowski Oddział RGO akcji przekazywania dzieci nowym opiekunom.

Irena znalazła się w trudnej sytuacji, bo nie udało się jej znaleźć swojej krewnej. Zwróciła się o pomoc do RGO. Od razu załatwiono jej miejsce w internacie i szkołę w Krakowie. Ukończyła szkołę, potem studia, realizowała się w pracy zawodowej. Mówiła: *Miałam szczęśliwe życie!*

Marta Walczewska

Informacje o życiu zawodowym i społecznym Ireny Suchanek podane są w nekrologu, zamieszczonym w CL 4/04, s.13.

Marian Hemar

Rozmowa z księżycem

Księżyc w Londynie na niebie

Zagląda w okno me.

W milczeniu patrzymy na siebie

Przez chwilę albo dwie.

I nagle dreszcz wyobraźni

Przenika mnie na wskroś –

Bo słyszę – słyszę wyraźni –

Że on do mnie szeptem coś:

Ta ludzie kochane! Ta Matko Królewska!

Taż oczom nie wierzę – to panna Majewska!

A pani się patrzy, jak obca na obcego,

Jakby pani nie spoznała księżycza

lwowskiego!

A jak pani na Corsie chodziła spacerem

I na ławce w Stryjskim Parku siedziała

z kawalerem –

I w bramie na dobranoc, jak on panią całował–

To kto wtedy w chmurach dyskretnie się

chowal?

Czy ja tak się zmienił czy tak się postarzał,

Żeby „dziwczuk” ze Lwowa mnie nie

zauważał?

Czy ja się tak posunął, posiwiiał i zbrzydł?

Ach, pani Majewska – faktyczni, że to wstyd!

Wstyd chwycił mnie niewymowny,

Połknęłam w gardle łzy

I mówię – Księżycu szanowny –

Ta joj – to pan? To ty?

Powiedz mi – niech mi pan powie,

Co słyhać? Czy pan zdrów?

Pan teraz tu? Nie we Lwowie?

Pan też już opuścił Lwów?

Ta co pani gada? Ta pani Majewska!

Ta szczęście, że ja panią znam od oseska!

Ta ja tam we Lwowie co nocy spaceruję,

Od bramy do bramy, jak pies tak waruję,

Od Kopca do Corsa, od Corsa do Dworca,

Bez chwili urlopu, jak nocny dozorca.

Po rynnach się ślizgam, po dachach się

posuwam,

I srebrzę i złoce, uważam i czuвам,

I w każdym zaułku i na każdym zakręcie

Pilnuję tego Lwowa – na twoje przyjęcie!

Ja tylko tu na chwilę – bo tam teraz świt –

A pani mnie posądza! ... Faktycznie, że to

wstyd!

Więc ja wyciągam ramiona –

A on na górze Iśni –

I wołam jak jakaś szalona!

Księżycu! Powiedz mi!

Powiedz mi tylko dwa słowa,

Ty mi to wyjaw sam –

Kiedy ja wrócę do Lwowa?

Czy w ogóle wrócić mam?

Ta co za pytanie? Ta pani Majewska –

Ta jasne – a wtem jakaś chmurka niebieska

zasnuła go z boku i mrokiem go zawlokła.

I próżno się patrzę – wychylam się z okna.

I deszcz zaczął siać i błyszczący się ulica

I niebo jest czarne i nie ma księżycza.

A ja myślę: tem lepiej. A ja myślę – nie

szkodzi!

On teraz we Lwowie po Łyczakowskiej

chodzi!

I w każdym zaułku i na każdym zakręcie

Pilnuje – sam powiedział – na moje przyjęcie.

I już w oknie londyńskim zieleni się świt.

A ja płaczę i śmieję się. Faktycznie, aż

mnie wstyd!

Piosenka dla Władysław Majewskiej, słowa i muzyka: Marian Hemar, napisana dla Radia Wolna Europa, grudzień 1956. W wykonaniu Władysław Majewskiej w Teatrze Hemara i w programach RWE.

Gorące podziękowanie dla Pani Władysław Majewskiej, która nadesłała nam tekst i nuty piosenki ROZMOWA Z KSIĘŻYCEM, napisanej specjalnie dla Niej przez Mariana Hemara. Przed laty słyszeliśmy ją nieraz w wykonaniu Pani Władysław w Radiu Wolna Europa. Wtedy był to głos z innego świata...

ROZMOWA Z KSIĘŻYCEM

Piosenka dla Władysław Majewskiej
Słowa i muzyka: Marian Hemar

Andante espressivo

The musical score is written for a single melodic line in treble clef. It begins in 3/8 time with a key signature of one flat (B-flat). The tempo is marked *Andante espressivo*. The score consists of 12 staves. The first staff contains the initial notes and a repeat sign. The second and third staves feature eighth-note patterns with slurs and accents. The fourth staff includes the tempo change to *Tempo di marcia* and the instruction *molto rit.* (rushing). The fifth and sixth staves continue the melodic line with some rests. The seventh and eighth staves show a change in key signature to two flats (B-flat and E-flat). The ninth and tenth staves continue in this key. The eleventh and twelfth staves conclude the piece with a final cadence.

Przed trzydziestu laty ukazały się w edycji Państwowego Instytutu Wydawniczego (Warszawa 1975) Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie, zebrane przez zapomnianego dziś pisarza Lucjana Siemieńskiego. Z książeczki tej wybraliśmy kilka podań, związanych z naszymi polskimi ziemiami południowo-wschodnimi.

ORŁY HERBURTÓW

W bliskości Dobromila, na wyniosłej górze, widne po dziś dzień rozwaliny dawnego zamku Herburtów. Jest tam podanie gminne, opowiadające przyczynę wygaśnięcia tej sławnej i możnej rodziny. Każdy umierający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obierał na skałach zamkowi przyległych mieszkanie, gdzie gnieźdząc się, młode swe wywodził pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty sprzyjało szczęście Herburtom. Lecz naraz zniszczył wszystką pomyślność jeden niebaczny potomek tego rodu, który niepomny na oddawaną cześć tym orłom, ośmielił się ubić jednego z rusznicy. Powróciwszy z polowania do domu dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła skonał jego mały synek, którego całkiem zdrowego jeszcze w domu był zostawił.

Od tego czasu orły przestały się gnieździć na skale; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina z powodu zabicia orła wygasła na owym osieroconym ojcu.

Przypomnijmy, że matka Mikołaja Reja, urodzonego w Żurawnie przed 500 laty, była z domu Herburtówna i pochodziła z tego zamku koło Dobromila.

STÓŁ MARMUROWY W OLESKU

W czasie przyścia na świat Jana III, który się urodził wtórego czerwca 1624 roku, w wigilię Przenajświętszej Trójcy, zdarzyła się dziwna przygoda zrządzeniem niepojętej w swych cudach Opatrzności. Skoro bowiem odebrano niemowlę, a po obmyciu położono na stole marmurowym*, który w tej chwili jak gdyby zrysowany po-

runem, na dwoje przepęktł się. Rzecz przytomnych zasepiła, a wielebny ojciec Siemaszko z monastyrku bazylikańskiego, znajdujący się przy tym milczeniu, rozerwał je tymi słowy: „Snadź, że niemowlę to z poręki wszechmocności chwataę odebrało, która w całym chrześcijaństwie walor mieć będzie; świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się i polskiemu narodowi szkodliwą się stanie”.

* Stół ten jest czarny; długości najmniej trzech łokci; wzdłuż idzie rysa; później, nie wiadomo dlaczego, kazano go przeciąć na dwoje i teraz tworzy dwa stoły znajdujące się w Podhorcach.

ZAMEK JAZŁOWIECKI

Rozwaliny spaniałego niegdyś grodu Jazłowieckich na Podolu świadczą o karze niebios, jaka dotknęła ród Jazłowieckich za to, iż jeden z nich nielitościwie wypędził osiadłych tamże Ormian; z ustąpieniem tych pracowitych i przemysłnych ludzi wszystkie nieszczęścia zwały się i na miasto, i na onego dziedziców. Rodzina Jazłowieckich zgasła, a gród przeszedł na własność Konięcpolskich. I tej rodziny nie lepszy był koniec. Gdy bowiem razu pewnego z chłopięciem jednym, tego imienia dziedzicem, piastunka przyszła igrać na brzeg studni zamkowej, nastraszona przez kogoś upuściła dziecię, z którego śmiercią miała się zacząć kolej nieszczęść Polski.

Dzisiaj okoliczni wieśniacy w chwilach gdy słońce zachodzi, widują jak promień jego tworzy niekiedy w obłokach złotą przepaskę, potem złotowłose dziecię na głowie mające wianek, w prawej ręce krzyż, a w lewej kwiaty. Zjawisko to dopóty ma się pojawiać, póki świetniejsze losy dla kraju nie wrócą.

Trzeba by teraz patrzeć, czy owe zjawisko się nie pojawia. A w ogóle – czy nie ma weselszych legend?

LUCJAN SIEMIEŃSKI, ur. 1807 w Kamiennej Górze k. Magierowa (na terenie Rostocza, między Rawą Ruską a Żółkwią), pisarz, tłumacz, krytyk literacki i artystyczny. Uczestnik Powstania Listopadowego, współorganizator Stowarzyszenia Ludu Polskiego, emigrant we Francji. Zmarł w Krakowie 1877, pochowany w krypcie zasłużonych na Skałce.

NASZE MIASTA

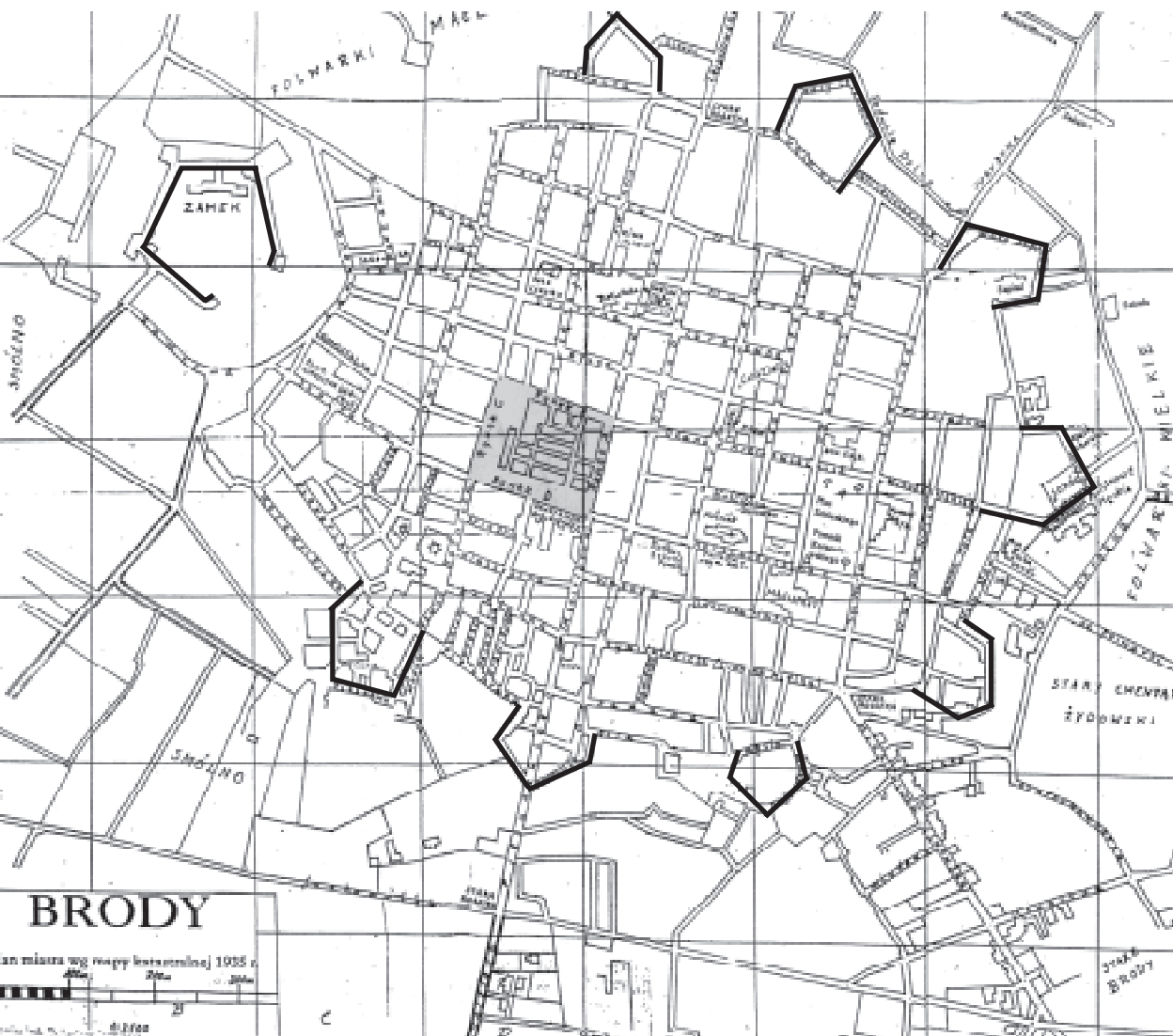
Brody

Plan wg mapy katastralnej z 1935 r. Plan miasta – założonego na prawie magdeburskim przez S. Żółkiewskiego z końcem XVI w. – oparty na tradycyjnym układzie szachownicowym z kwadratowym rynkiem* po środku (160 x 130 m). Murowane, jednopiętrowe kamienice powstawały od poł. XVII w., środek był zabudowany kramami i sklepikami, tzw. Kramami Żydowskimi (zburzo-

nymi przez Niemców w czasie II wojny światowej). Kościół parafialny przy jednej z ulic, wybiegających z narożników rynku. Na planie widać ślady twierdzy, założonej w 1. połowie XVII w.: zamek oraz zarysy bastionów fortyfikacji miejskich**.

* Rynek oznaczono szarym kolorem

** Ślady bastionów oznaczono grubą kreską



NA RZECZ POLAKÓW I POLSKOŚCI (2)

FEDERACJA ORGANIZACJI KRESOWYCH

Prezentujemy dalszy ciąg – w skrócie – Sprawozdania Rady Naczelnej FOK, którego prezentację rozpoczęliśmy w CL 1/05. Poniżej kolejny rozdział.

III. POPULARYZACJA NA FORUM PUBLICZNYM AKTUALNEJ PROBLEMATYKI KRESOWEJ: PRASA, UDZIAŁ W KONFERENCJACH, SYMPOZJACH, UROCZYSTOŚCIACH I WAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH

Za przykładem urzędowej *poprawności politycznej*, także środki masowego przekazu na ogół niechętnie zabierały głos w sprawach polskiej mniejszości narodowej w krajach ościennych. Niewiele można było napotkać uczciwych publikacji na temat niszczonego i zawłaszczanego polskiego dziedzictwa kulturalnego na ziemiach Polsce odebranych. Podobnie dzieje się w kwestii powszechnie obowiązujących we współczesnym świecie praw – jednak nie respektowanych wobec Kresowian, zarówno na Wschodzie, jak i w samej III RP. Jedynie wyjątkowe i tylko spektakularne okoliczności i wydarzenia, których już nie sposób było nie dostrzec i pominąć, torowały sobie drogę na łamy prasy, do programów informacyjnych TVP i Polskiego Radia (najczęściej zresztą wskutek zabiegów, osobistych stosunków czy wręcz presji środowisk kresowych). Znacznie chętniej – zwłaszcza w TVP – prezentowano natomiast fałszywy, krzywdzący i obraźliwy obraz życia na Kresach, rzekomą ciemnogrodzką zaściankowość tamtejszych Polaków. Apogeum takiej prezentacji kresowej rzeczywistości stał się skandaliczny serial *Boża podszewka* Izabeli Cywińskiej, z uporem kilkakrotnie powtarzany – wbrew protestom naszych środowisk i interwencjom ze strony Federacji. O innych „sukcesach” TVP, zwłaszcza o zawłaszczanym przez nią (naszego pomysłu) Festiwalu Kultury Kresowej w Mrą-

gowie – piszemy w dalszej części sprawozdania, poświęconej naszej działalności kulturalnej [rozdział VI]. Trzeba tylko odnotować w tym miejscu, że wygłoszone na festiwalu wystąpienia przewodniczącego Federacji – przypominające publiczności ducha wierności Kresów Polsce – zostały ocenzone i cenzurowane tak skutecznie, że poza obecnymi w amfiteatrze nie usłyszeli ich nigdy widzowie oglądający program telewizyjny.

Z interesującej nas tematyki kresowej pokazuje się stosunkowo często *folklor batorów* z lwowskich przedmieść, czasem sielisko ludowych piosenek, np. *o Kasi pasającej wołki na bagnach* – w znanym nam i zawsze miłym wschodnim zaśpiewie. Jednak do rzadkości należą prezentacje poważniejszej kultury związanej z Kresami, atmosfera naszych narodowych wieszczów; niemal zupełnie poza ekranem znajduje się twórczość tak licznej, kresowej inteligencji: plejady pisarzy, poetów, ludzi muzyki i sztuki. O życiowych problemach współczesnych środowisk polskich na Wschodzie telewizyjna publicystyka najczęściej milczy. [...]

W marcu 1997 r. ukazał się 150. numer „Kresów”, wydawanych od listopada 1992 jako w miarę regularny dodatek do „Słowa Powszechnego”, później „Słowa – Dziennika Katolickiego” [o piśmie tym i jego losach piszemy osobno, w rubryce Jest co czytać]. „Kresy” przestały istnieć wraz z zamknięciem „Słowa”. Mimo wysiłków nie udało się znaleźć równie sprzyjającej redakcji, a przy tym oddanego sprawie dziennikarza-lwowiainina, jakim był red. Janusz Olejnik.

Pod koniec roku 1996 nawiązaliśmy jeszcze współpracę z tygodnikiem „Nasza Polska”. W rezultacie zaczął się i tam ukazywać dodatek zatytułowany „Nasza Polska – Kresy”, prowadzony przez red. Jerzego Narbutta, pisarza o wielkiej wrażliwości i poetę. Jego felietony w „Naszej Polsce” stawały się zawsze szerokim otwarciem okien na świat kultury. Choć zawsze interesujący i cieszący się uznaniem, dodatek „Nasza Polska – Kresy” – w zestawieniu ze swym odpowiednikiem w „Słowie Powszechnym” – nie posiadał tak dalece posuniętej suwerenności. Skromniejszy objętościowo i ukazujący się nieregularnie – mimo dobrej woli Redakcji – był niejednokrotnie *wypychany na potem* przez inną tematykę. Nie-

mniej zawsze przez czytelników był oczekiwany, nadrabiając wszelkie mankamenty swoją starannością i – na ile to możliwe w ograniczonej objętości – także bogatą treścią. Pod redakcyjną opieką Jerzego Narbutta ukazało się 46 numerów dodatku.

Po dłuższej przerwie (Jerzy Narbutt opuścił redakcję NP) wznowiliśmy „Kresy” w marcu 2000 r. Wraz z red. Jerzym Biernackim, przyjacielem Polaków kresowych, wydaliśmy jeszcze kilka (6–7) numerów. Z redagowania dalszych musieliśmy zrezygnować, bo mimo usilnych starań nie mogliśmy znaleźć osób piszących, choć trochę znających problematykę kresową i skłonnych do współpracy.

Brak własnego pisma próbowaliśmy łagodzić na różne sposoby. Wszystkie ważniejsze dokumenty Federacji, kierowane do instytucji parlamentarnych i władz państwowych, przekazywaliśmy Polskiej Agencji Prasowej (PAP) i redakcjom wszystkich poważniejszych dzienników. Zwykle, choć nie zawsze, ukazywały się o tym bardziej lub mniej obszerne wzmianki i notatki prasowe, czasem publikowano nasze memoriały, protesty, oświadczenia – we fragmentach. Obok tego, w kwestiach związanych z problematyką kresową, zwłaszcza aktualnym położeniem polskiej społeczności za wschodnią granicą, organizowaliśmy lub byliśmy współorganizatorami konferencji prasowych.

Autor wymienia dalej niemal pół setki najważniejszych narad, konferencji prasowych, spotkań, wywiadów, konferencji o charakterze popularno-naukowym, uroczystości – z lat 1997–2003, organizowanych lub współorganizowanych przez FOK, gdzie prezentowano jej punkt widzenia, propozycje i inicjatywy, interwencje itd. Były między nimi takie jak udział w konferencjach Rady Ochrony Pamięci WiM (w tym w sprawie Cmentarza Orłąt, także we Lwowie), naradach w sprawie założeń ideowych i programowych Festiwalu Kultury Kresowej, sytuacji Polaków w Wilnie, w Senacie na temat przywrócenia ciągłości prawnej między II i III RP oraz likwidacji skutków umowy Hitler–Stalin, w sprawie ochrony mniejszości narodowych. Wymienił również udział w licznych uroczystościach, na których nie mogło zabraknąć oficjalnej obecności przedstawicieli środowisk kresowych.

Kolejny odcinek w następnym numerze.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

JEZUPOL

Niewielkie miasteczko w powiecie i wojew. stanisławowskim, położone na pld.wsch. od Halicza, u ujścia Bystrzycy do Dniestru.

Historia. Pierwotnie miejscowość nazywała się Czesybiesy. Pierwsza o nich wzmianka pochodzi z 1435 r., kiedy to Jan Rozumek z Klezowa sprzedał je Marcinowi z Wrocimowic h. Półkozic, uczestnikowi bitwy pod Grunwaldem. Ten z kolei w 1437 r. odsprzedał majątek Michałowi z Buczacza, kasztelanowi halickiemu. W 1485 r., po śmierci ostatniego z tej linii Buczackich, Czesybiesy przeszły na jego córkę zamężną za Janem Kamienieckim h. Piława. W 1550 r. były własnością Stanisława Marcina Zborowskiego, kasztelana krakowskiego, który wybudował tu drewniany zameczek. Po nim odziedziczył je najmłodszy z jego synów, Krzysztof, skazany na banicję za wicherzenie przeciwko królowi. Skonfiskowany banicie majątek, król Zygmunt III nadał Jakubowi Potockiemu. W 1594 r. podczas oblężenia przez Tatarów doszło na zamku do wybuchu prochu, czego następstwem był pożar, który ogarnął także całe miasto. Potocki z załogą zdołali ująć pożarowi i Tatarom. Te dramatyczne wydarzenia miały spowodować konwersję kalwinisty Potockiego na katolicyzm. Jako wotum za ocalenie ufundował kościół pw. Wniebowzięcia NPM i klasztor oo. dominikanów. Wtedy też została zmieniona nazwa miasta na Jezupol, co etymologia ludowa łączy z okrzykiem uchodzących z płonącego zamku: *Jezu daj pole!* Potocki rozpoczął też budowę nowego zamku z kamienia i cegły. Obie rozpoczęte przez niego budowy doprowadził do końca jego syn Mikołaj. Miasto wraz z klasztorem niszczone było dwukrotnie: w latach 1648–49 i 1676. Zniszczony zamek wyremontowała wdowa po ostatnim właścicielu z rodziny Potockich, która w 1692 r. sprzedała dobra jezupolskie Stanisławowi Janowi Jabłonowskiemu. W posiadaniu jego rodziny pozostał Jezupol przez przeszło sto lat. Dopiero w 1817 r. drogą rodzinnych koligacji dostał się Kajetanowi Dzie duszyckiemu, który ok. 1840 r. w sąsiedztwie ruin zamkowych wybudował nowy dwór, a w 1843 r. nowy murowany kościół oo. dominikanom. Dwór

Czytelnicy krakowscy na pewno zwrócili uwagę na informacje podawane od czasu do czasu przez media o zamierzonej likwidacji podkarpackiej linii kolejowej, przebiegającej z zachodu na wschód przez miasta i miasteczka położone u stóp łańcucha karpackiego. Jadąc z Krakowa do Zakopanego przecinamy ją w Chabówce. Linia ta obsługuje dziś w RP (czy raczej obsługiwała) takie znaczne miasta, jak Nowy Sącz, Jasło, Krosno, Sanok.

Nadeszły dla tej linii złe czasy, bo TIR-y i autobusy, a także wielki rozwój prywatnej motoryzacji ograniczyły drastycznie opłacalność przewozów towarów i ludzi na tej linii. O ile jej wschodnia część (wschodnia w obrębie RP, na terenie województwa podkarpackiego – Małopolski Środkowej) jeszcze się broni, bo łączy tamtejsze, oddalone od centrum kraju miasta i region „ze światem”, o tyle części zachodnie – w Krakowskiem i Śląskiem – kapituluje. Na odcinku Rabka–Limanowa, a więc najładniejszym krajobrazowo, komunikację kolejową już zamknięto, szyny zarosły trawą, mosty rdzewieją.

Problemem tym zajęło się powołane Krakowie w 2004 r. „Towarzystwo Kolei Transwersalnej” (tzn. *poprzecznej*), która miała – w interesie Austrii – połączyć z Wiedniem południową część Galicji i utworzyć nowy węzeł dla handlu międzynarodowego z Rosją (wcześniej istniała już tzw. linia Karola Ludwika – od Zebrzydowic, przez Kraków, Tarnów, Lwów i Tarnopol – do granicznych Podwołoczysk). Nowa linia pobie-

gła od granicy z Węgrami w Zwardoniu do Żywca, a dalej przez Suchą, Chabówkę, Limanową i wszystkie wymienione wyżej miasta. Potem z Sanoka przez Chyrów, Sambor, Drohobycz, Stryj, Dolinę, Stanisławów, Buczacz, Czortków, Kopyczyńce – do granicznego Husiatyna.

Towarzystwo Kolei Transwersalnej promuje turystykę na całej tej linii – aż po Husiatyn. Działacze TKT już taką podróż odbyli i podpowiadają wzorowanie się na kolejkach szwajcarskich. No cóż, pomysł piękny, jednak trudno porównywać niedłgie przejażdżki wśród alpejskich krajobrazów z 830-kilometrową trasą, biegnącą przez tereny „zwykłe”, nawet nie karpacko-górskie. Może trzeba by znaleźć jakąś inną formułę dla takiej eskapady, żeby pozyskiwać na nią chętnych? W tej chwili entuzjaści z TKT opracowują nakręcone taśmy filmowe i opisują stacją po stacji całą linię. Trzeba temu przyklasnąć.

W krakowskim „Dzienniku Polskim” 174/04 znalazło się omówienie tego przedsięwzięcia, opisane przez Hannę Krupińską (*Na ratunek Kolei*). Mielibyśmy dwie uwagi do części jednego zdania w tym tekście. Pani Hanna napisała: ...do Husiatynia na Ukrainie. Otóż nie do *Husiatynia*, lecz *Husiatyna*, a co do Ukrainy, to piszmy raczej – w państwie *Ukraina*, bo ta geograficzna Ukraina zaczyna się dopiero paręnaście metrów za Husiatynem, za wążutkim tutaj Zbruczem. Husiatyn to jeszcze Małopolska Wschodnia.

Korzystaliśmy też z artykułu „110 lat Kolei Transwersalnej” Pawła Terczyńskiego w czasopiśmie „Parowozik” 3–4/92.

PIONOWO I POZIOMO raz jeszcze

W CL S/03 przedrukowaliśmy antysowiecki wiersz „Pionowo i poziomo”, który miał być napisany we Lwowie w 1952 r. przez Zbigniewa Turka, późniejszego znanego dziennikarza krakowskiego o.

Okazuje się, że oparty na podobnej zasadzie wiersz powstał także kilkadziesiąt lat wcześniej (może był wzorem dla tamtego?) – w 1900 r. w Krakowie. Z uwagi na antyrosyjski i antycarski wydźwięk, można jednak podejrzewać, że napisał go ktoś z zaboru rosyjskiego.

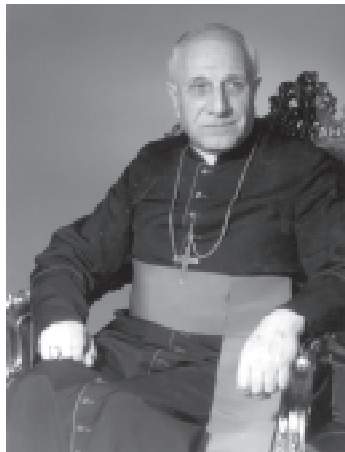
Należy więc najpierw przeczytać obie zwrotki osobno, pionowo, a potem łącznie, poziomo. Zachowaliśmy oryginalną pisownię.

Niechaj głośno słynie
Męstwo rosyanów
Niechaj szczęście spleynie
Na moskiewskich panów
Niech się w górę wznosi
Aleksandra sława
Cały świat niech głosi
Petersburskie prawa

Sława polskiej broni
Niech zaginie w toni
Na polskie wskreszenie
Niech padnie zniszczenie
Rząd polski, korona
Niech na wieki skona
Walki polskie znane
Niech będą wyśmiane.

SYLWETKI

BISKUP NA WYGNANIU



W tym roku mija 95. rocznica urodzin śp. ks. biskupa Mariana Rechowicza, „administratora apostołskiego archidiecezji w Lubaczowie”, czyli ordynariusza lwowskiego, który w czasie sowieckiej okupacji przebywał poza swoją stolicą, na niezajętym skrawku naszej archidiecezji – w Lubaczowie, a do Lwowa dostępu nie miał.

Czterech kolejnych biskupów rezydowało przez 45 lat w Lubaczowie: abp. Eugeniusz Baziak (1946–62), bp Jan Nowicki (1964–73), bp Marian Rechowicz (1973–83) oraz bp Marian Jaworski (1983–91), potem już we Lwowie, arcybiskup i kardynał).

Marian Rechowicz urodził się w Husiatynie w 1910 r. Studiował teologię na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w 1933 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Najpierw pracował jako wikary przy kościele św. Elżbiety, potem został mianowany prefektem w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie. Doktoryzował się w zakresie historii Kościoła na UJK w 1939 r. Po wojnie znalazł się czasowo w Krakowie, tu habilitował się, a w 1950 r. objął Katedrę Historii Kościoła w Średniowieczu i Historii Teologii na KUL. Przez 10 lat był rektorem KUL. W r. 1973, po śmierci bpa Nowickiego, został wybrany na administratora apostołskiego w Lubaczowie, od 1974 jako biskup. Zmarł w 1983 r., spoczął na cmentarzu lubaczowskim.

Ks. bp M. Rechowicz był autorem kilku dzieł historycznych i ponad 100 artykułów naukowych. Był redaktorem głównym dzieł zbiorowych, w tym monumentalnej *Księgi 1000-lecia chrześcijaństwa w Polsce*.

był skromnym, piętrowym budynkiem na rzucie wydłużonego prostokąta. Ponieważ syn Kajetana był zapalonym hodowcą koni rasy arabskiej, część południowa dworu przeznaczona była na łączącą się bezpośrednio z pokojami mieszkalnymi stajnię ogierów, a część północna na stajnię klaczy. W 1849 r. Wojciech Dzieduszycki przebudował dwór na okazały pałac, przy czym zlikwidował stajnię ogierów, dobudowując w jej miejsce pomieszczenia mieszkalne, i urządził wnętrza kolekcjonowanymi przez siebie dziełami sztuki. W r. 1914, w czasie ofensywy rosyjskiej, pałac został spalony, a część dzieł sztuki zrabowana. Najcenniejsze okazy zdołano jednak ukryć. W 1925 r. pałac odbudowano, ale już bez północnej części stajennej. Ostatnim właścicielem Jezupola był Władysław Jakub Dzieduszycki, który w 1940 r. zginął w sowieckim więzieniu we Lwowie.

Z Jezupola wywodzili się:

Wojciech Dzieduszycki (1848–1909), polityk, filozof i eseista, austriacki minister dla Galicji, profesor filozofii i estetyki na Uniwersytecie Lwowskim, znany z dowcipu;

Wojciech Dzieduszycki (wnuk poprz., ur. 1912), śpiewak, aktor, twórca lwowskiego kabaretu we Wrocławiu.

MARIAMPOL

Położenie. Miasteczko w powiecie i wojew. stanisławowskim, oddalone 18 km na pld. wsch. od Stanisławowa i 15 km na pld. wsch. od Halicza. Położone nad Dniestrem, przecięte potokiem Zabłocie (zwanym w dalszym biegu potokiem Zgnitym, dopływem Dniestru). Parafie obu obrządków w miejscu. W XIX w. w okolicy Mariampola uprawiano tytoń, eksploatowano też pobliskie złoża krzemienia i alabastru.

Historia. Z wczesnego okresu dziejów Mariampola wiadomo tylko, że przez długi czas należał do parafii rzym.kat. w Delejowie (ufundowanej w 1401 r. przez Jana Rolę). W 2. połowie XVII w. należał do Stanisława Jana Jabłonowskiego h. Prus III, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Wybudował on w Mariampolu zamek, który należał do łańcucha fortec rozmieszczonych wzdłuż Dniestru i broniących kraj od południowego wschodu. Miejscem stałego zamieszkania właścicieli stał się Mariampol dopiero za czasów Jana Kajetana Jabłonowskiego w XVIII w. Przebudował on zamek, nadając mu charakter rezydencji pałacowej. Ufundował także oo. kapucynom klasztor i kościół, w którym został pochowany. Ostatnim dziedzicem z rodu Jabłonowskich był Karol (zmarły

GRZEGORZ LWOWSKO-DUNAJOWSKI

Pojęcia *renesans*, *odrodzenie* są nam dobrze znane, jednak przeciętny zjadacz chleba wiąże je głównie z architekturą i sztuką, które odchodząc od średniowiecznego gotyku, zwróciły się ku wzorcom z antyku. Wszystko to, a także literatura i poezja, szło w parze z – a ściślej k r o k z a – odrodzeniem w filozofii i podejściu do nauk w ogóle, które – odrzucając średniowieczną scholastykę – oparły się na wzorcach grecko-rzymskiej starożytności, zyskując miano *humanizmu*.

Humanizm w sferze filozofii i nauki, tak jak renesans w dziedzinie architektury i sztuki, wiążemy w Polsce z wiekiem XVI. Jednak w Europie południowo-zachodniej objawia się to już w wieku XV, i w tym właśnie stuleciu (raczej w jego drugiej połowie) zaczyna płynąć do nas strumień humanizmu z Italii, a także z Niemiec i Francji. Dzieje się to nie tylko za sprawą zagranicznych uczonych i artystów, także dzięki Polakom, peregrynującym do źródeł humanizmu.

Do największych polskich humanistów należał Grzegorz z Sanoka. Urodził się ok. 1407 r. w Ziemi Przemyskiej, w okolicy Sanoka, jako syn zubożałego szlachcica. Ojciec miał twardą rękę, więc dwunastoletni syn uciekł z domu, a około 1421 r. rozpoczął naukę w Krakowie.

Kolejne prawie 20 lat to nauka i studia w Krakowie, praca bakałarza to tu, to tam, a następnie wyjazd na paroletnie studia do Italii, i znowu powrót do Krakowa. Pracę na tutejszej Akademii

łączył z probostwem w pobliskiej Wieliczce, gdzie na plebanii złożył swoją zasobną, przywiezioną z Włoch bibliotekę oraz założył pierwszą w Polsce akademię humanistyczną, skupiając szerokie grono przyjaciół humanistów.

W roku 1440 Grzegorz wyjechał z królem Polski i Węgier Władysławem (zwanym później Warneńczykiem) nad Dunaj. Pozostał na Węgrzech po śmierci króla w bitwie pod Warną, a do kraju powrócił dopiero po 10 latach.

Teraz zaczyna się najdłuższy i najważniejszy okres życia i działalności naszego humanisty, prozaika i poety: w 1451 r. otrzymał od króla Kazimierza Jagiellończyka – wbrew opozycji biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego – *lwowskie arcybiskupstwo łańciskie*. Przypomnijmy, że w Polsce istniały wtedy tylko dwie metropolie: gnieźnieńska, której podlegał także Kraków*, oraz *lwowska*. We Lwowie pozostał Grzegorz przez lat 26, aż do śmierci w 1477 r.

Arcybiskup Grzegorz zasłużył się ogromnie jako administrator swej archidiecezji. Założył szereg wsi, do których ściągali osadników, poprawił gospodarkę w dobrach kapituły i zapewnił jej dochody, porządkował sprawy archidiecezji, dbał o karność i poziom kleru. Trószczył się o szkolnictwo i odrestaurował lwowską katedrę.

Równocześnie stworzył wokół siebie humanistyczny dwór – na wzór renesansowych dworów włoskich. Jego letnia rezydencja w miasteczku Dunajów, wzorowo urządzonym i rządzonej, stała się ośrodkiem życia umysłowego lwowskiej archidiecezji. W zamku dunajowskim toczono z gośćmi krajowymi i zagranicznymi dyskusje światopoglądowe i artystyczne.

Najważniejszym przybyszem, który gościł tam przez dwa lata, był słynny Kallimach, wybitny humanista włoski, który naraził się ówczesnemu papieżowi. Chronił się w wielu krajach, a w końcu znalazł azyl w Polsce, gdzie – poczynając od Dunajowa – pozostał do końca życia***.

Grzegorz z Sanoka zmarł w nieodległym od Dunajowa Rohatynie. Nie wiemy, czy tam właśnie znalazł wieczny spoczynek, w źródłach takiej informacji nie znaleźliśmy****.

Katedra lwowska przed dobudową kaplic.
Rys. F. Kowalszyn, wg Lwów na dawnej rycinie...



Maksymilian Jamnicki

- * Arcybiskupem-metropolitą krakowskim został dopiero Adam Stefan Sapieha w 1925 r.
- ** Powiat przemyślański, ok. 60 km od Lwowa.
- *** Filippo Buonaccorsi, zwany Kallimachem (1437–1496), Włoch, poeta, humanista, polityk, dyplomata, dworzanin królewski, pisarz historyczny. Po pobyciu w Dunajowie napisał biografie Grzegorza z Sanoka: *Vita ed mores Gregorii Sanocei*. Zmarł w Krakowie.
- **** Powyższy tekst oparliśmy na Polskim Słowniku Biograficznym t. X oraz artykule Michała Rożka *Krąg Grzegorza z Sanoka* („Dziennik Polski” 58/02, Kraków). Nb. jako ilustrację artykułu zamieścił M. Rożek XV-wieczną panoramę Krakowa, jednak bardziej stosowny byłby średniowieczny widok Lwowa, ponieważ to miasto, a nie Kraków, było w życiu i działalności Grzegorza najważniejsze. Stary widok Lwowa wg panoramy Hogenberga (pocz. XVII w.) już pokazywaliśmy w CL, tutaj więc przedstawiamy katedrę lwowską z widoku panoramicznego z pocz. XVIII w. Należy sądzić, że świątynia ta wyglądała podobnie w czasach abpa Grzegorza z Sanoka.

ZAPOMNIANY LWOWSKI WYNAŁAZCA

Niedawno obejrzelśmy w TV Polonia film Małgorzaty Uberty p.t. *Dzieje jednego wynalazku – telefon*. Zaskakujące, że w filmie, przedstawiającym historię telefonu, całkowicie pominięto osobę polskiego wynalazcy – inżyniera kolejowego ze Lwowa, Henryka Machalskiego (1835–1919).

Inżynier Henryk Machalski, ożeniony z Marią z Gorazdowskich (siostrą św. ks. Zygmunta Gorazdowskiego) skonstruował telefon z ulepszonym mikrofonem węglowym w tym samym czasie, co Amerykanin Aleksander Graham Bell. Z powodu utrudnień, jakie spotykały Polaków w zaborze austriackim, spóźnił się o 3 lata z opatentowaniem wynalazku.

Córka wynalazcy Jadwiga z Machalskich Breitowa, ekspatriowana z rodzinnego Lwowa w 1945 r., przechowywała pamiątki po swoim ojcu i postanowiła utrwalić historię jego wynalazku. Posiadając dokumentację

w 1864 r.). Po Jabłonowskich pozostał w Mariampolu kościół parafialny pw. Trójcy św., wzniesiony po przeniesieniu tu parafii, konsekrowany w 1825 r., oraz fundacje dobroczynne, prowadzone przez ss. miłosierdzia (zakład dla sierot, zakład dla ubogich chorych). Sierociniec mieścił się w zabudowaniach powstałych po zlikwidowaniu w 1. połowie XIX w. klasztoru kapucynów. Około 1880 r. Mariampol został nabył Franciszek Torosiewicz dla swej córki Marii, która poślubiła Mariana Błażowskiego. W początkach XX w. Błażowscy sprzedali dobra mariampolskie i ostatecznie zostały one rozparcelowane. Pałac, opuszczony już w 1. poł. XIX w., służył do celów gospodarczych i popadał w ruinę. Spalony podczas I wojny światowej został w okresie międzywojennym rozebrany do fundamentów.

PODHORCE

Położenie. Wieś w powiecie złoczowskim, wojew. tarnopolskim, w odległości 27 km na płn. od Złoczowa. Położona na skraju pasma Worośniaków, na wys. 399 m npm. Przez wieś przechodzi dział wodny: płn. część leży w dorzeczu Dniestru za pośrednictwem Łahodówki, dopływu Styru, płd. część w dorzeczu Wisły za pośrednictwem jednego z ramion Bużka Oleskiego, dopływu Bugu.

Historia. We wczesnym średniowieczu był tu gród Pleśniko, wzmiankowany w 1188 r., w XIV w. włączony do Polski. Od r. 1400 Podhorce stanowiły własność Podhoreckich. W 1633 r. zakupił je wraz z sąsiednimi wioskami hetman Stanisław Koniecpolski, który wybudował tu nową rezydencję. Po nim dziedziczył jego syn Aleksander, a następnie wnuk Stanisław, który w 1682 r. zapisał swoje dobra wraz z Podhorcami Jakubowi Sobieskiemu. Ostatecznie trafiły Podhorce w ręce młodszego syna Jana III, królewicza Konstantego. Ten w 1720 r. odsprzedał je z okolicznymi wsiami hetmanowi Stanisławowi Mateuszowi Rzewuskiemu. Syn tegoż, Wacław, szczególnie zapisał się w historii Podhorzec rozbudową pałacu i fundacją kościoła pałacowego. W rękach tej rodziny pozostały Podhorce do 1865 r., kiedy to sprzedano tamtejsze dobra wraz z pałacem Władysławowi Sanguszce. W posiadaniu Sanguszków pozostały Podhorce do II wojny światowej. Ostatnim właścicielem był Roman Sanguszko.

Zabytki. Pałac. Budowa rozpoczęta ok. 1635 r. na polecenie Stanisława Koniecpolskiego, prowadzona prawdopodobnie przez Andrea dell’Aqua, budowniczego zamku w Brodach. Piętrowy budynek pałacowy, otoczony fortyfikacjami



przekazała do opracowania profesorowi Politechniki Warszawskiej Feliksowi Błockiemu, zajmującemu się problemami telekomunikacji. Profesor Błocki był absolwentem i pracownikiem Politechniki Lwowskiej, po ekspatriacji osiedlił się w Warszawie. Cała zachowana dokumentacja wynalazku znajduje się w Muzeum Techniki w Warszawie, a portret Henryka Machalskiego wisi tam wśród portretów wybitnych polskich wynalazców.

Zapewne na tych materiałach opierał się Bolesław Orłowski, autor książek pt. *1000 lat polskiej techniki* (wyd. Nasza Księgarnia, 1963) i *Poczet polskich pionierów techniki* (wyd. Nasza Księgarnia, 1974), w książkach tych bowiem znajdujemy wiele informacji o dziele twórcy polskiego telefonu. Henryk Machalski pracował w latach 1856–70 na linii kolejowej Kraków–Wiedeń, a do 1893 na linii Lwów–Czerniowce–Jassy. W 1879 roku uzyskał patent na mikrofon węglowy prozkowy, jeden z pierwszych na świecie. Wynalazek ten został opatentowany przez brata Henryka – Maurycego Machalskiego, na jego nazwisko, w Petersburgu.

Opracowany przez Machalskiego system telefonu, dzięki zastosowaniu mikrofonu prozkowego, dawał bardzo czysty odbiór.

30 kwietnia 1881 r. Machalski zademonstrował publicznie jego działanie. Odbyła się transmisja koncertu z Żółkwi do odległego o 30 km Lwowa. Audycji patronowało Towarzystwo Politechniczne. Jego prezes, inżynier Roman Gostkowski, objaśnił zasadę działania ulepszonego telefonu. Następnie połączono się z Żółkwią, skąd przemawiał konstruktor, potem nadano koncert. Sprawozdawca „Gazety Narodowej” tak relacjonuje przebieg imprezy: *Rozpoczęła się rozmowa. Z Żółkwi przemawiał pan Machalski. Każde jego słowo za pomocą tuby rozpraszającej głos było jak najdokładniej słyszane nawet w końcu obszernej sali. Następnie dał się słyszeć śpiew kobiety „Gdyby ranym słońkiem...”, dźwięczny, czysty i donośny. Publiczność zachwycona wybuchła w rześiste oklaski, o czym za pomocą telefonu audytorium żółkiewskie zostało zawiadomione. Po śpiewie kobiecym usłyszeliśmy sympatyczny tenor p. Myszugi, który odśpiewał romans z „Halki” – „Szumią jodły na gór szczytynie...” i na żądanie dumkę ruską. Bez próby wykonano następnie duet na dwa głosy męskie, który także wypadł wybornie. Głos ludzi przenosi telefon pana Machalskiego dokładnie. Produkcje wykonane w Żółkwi były słyszane w sali Frohsinnu tak, jak gdyby artyści śpiewali w przybocznym pokoju. Na zakończenie robiono doświadczenie z fletem i trąbką. Artysta grał na flecie aryę z „Purytanów”; każdy ton był słyszany pełno i czysto. W ogóle trzeba przyznać, że aparat pana Machalskiego funkcjonował znakomicie.*

Dotąd stosowano telefony działające na odległość kilkuset metrów, a i tak jakość odbioru była słaba. Dlatego transmisja na dystans 30 kilometrów była sensacją. Telefon zainstalowano na linii kolejowej Lwów–Czerniowce. Z inicjatywy konstruktora wynalazku zaczęto we Lwowie instalować prywatne telefony. Wynalazek był pokazany na Międzynarodowej Wystawie Elektryczności w Paryżu w 1881 roku i otrzymał tam srebrny medal. Pamiątka ta jest w posiadaniu rodziny. Mikrofon prozkowy znalazł szerokie zastosowanie i korzysta się z niego do dziś, natomiast wynalazca został zapomniany, choć zasłużył sobie na miejsce w historii techniki.

Marta Walczewska
(prawnuczka Henryka Machalskiego)

Z GRZYMAŁOWA W ŚWIAT ANTYKU

dokończenie ze s. 5

- wińska. Łódzkie Towarzystwo Naukowe, zeszyt 71, Łódź 2003, s. 20–21.
- 6 Jerzy Danielewicz, *Profesor Anna Maria Komornicka – Redaktor „Meandra”* [w:] *Sylwetki łódzkich uczonych, Profesor Anna Maria Komornicka*, red. serii Edward Krasiński, red. zesz. Jadwiga Czerwińska. Łódzkie Towarzystwo Naukowe, zeszyt 71, Łódź 2003, s. 17.
- 7 Profesor Annie Marii Komornickiej w uznaniu jej zasług poświęcony został II tom *Collectanea Philologica in honorem Annae Mariae Komornicka*, Wydawnictwo UŁ, Łódź 1995. Konferencja ku jej czci odbyła się w Katedrze Filologii Klasycznej UŁ 7 marca 1996 roku, z której materiały ukazały się w „Meandrze” LII, zeszyt 1 w roku 1997. W 80 rocznicę urodzin dedykowana Jej została konferencja *Hymn antyczny i jego recepcja*, która odbyła się w Łodzi 24–26 września 2000 roku.

Redakcja przeprosza za dokonane skróty, niezbędne z uwagi na jego obszerność. Tytuł pochodzi od Redakcji.

Z TAMTEJ STRONY

KOLEJNY HORROR WE LWOWIE

Z prasy dowiedzieliśmy się („Dziennik Polski” 157/05 z 7 lipca), że w lwowskim *Muzeum Narodowym* (przy ul. Hetmańskiej, w gmachu naszego Muzeum Przemysłu Artystycznego) spadła – mimo przymocowania (!) do ściany – i uległa częściowemu zniszczeniu rzeźba mistrza Jana Pinsla *Ukrzyżowanie*. Oderwaniu uległy końce rąk i nóg postaci Chrystusa.

Główny konserwator muzeum Danuta Posacka wyjaśniła, że winne są wibracje spowodowane przez ciężarówki przejeżdżające obok. Czy o tym jednak nie wiedziano

typu bastionowego, był gotów w 1641 r., ale prace przy nim prowadzono jeszcze ponad 20 lat. Pałac miał być pomnikiem chwały rodu, a szczególnie hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Jego militarne i dyplomatyczne zasługi sławiły malowidła na stropach sal I piętra. Twórcą malowideł, a przynajmniej ich części, był malarz holenderski Jan de Baan. W latach 1752–63, gdy właścicielem Podhorzec był Wacław Rzewuski, nadbudowano drugie piętro pałacu, a we wnętrzach urządzono galerię malarstwa europejskiego, złożoną jednakże w większości z kopii. Część galerii stanowiły portrety monarchów europejskich oraz wybitnych postaci Rzeczypospolitej. Nadwornym malarzem Rzewuskiego był w latach 1762–67 Szymon Czechowicz, który dla podhoreckiego pałacu wykonał ponad 100 obrazów.

Po I rozbiórce Polski pałac, opuszczony przez Rzewuskich, popadał w zaniebanie. Dopiero w 1832 r. powrócił tu Leon Rzewuski, który w 1865 r. sprzedał dobra Sanguszkom. Nowi właściciele wyremontowali pałac i we wnętrzach urządzili ekspozycję uzbrojenia i pamiątek po Janie III. Podczas I wojny światowej właściciele starali się wyewakuować najcenniejsze zbiory do swej rezydencji w Gumniskach k. Tarnowa. W okresie międzywojennym pałac odnowiono i na początku lat 30. urządzono nową ekspozycję obrazów i pamiątek w związku z rocznicą wiktorii wiedeńskiej. We wrześniu 1939 r. Roman Sanguszek przewiózł najcenniejsze zabytki z Podhorzec i Gumnisk przez Rumunię na zachód, a ostatecznie do Brazylii. Po II wojnie światowej w pałacu urządzono szpital dla chorych na płuca, adaptując do tego celu wnętrza przez podzielenie ich na mniejsze pomieszczenia. W 1956 r. w pałacu wybuchł pożar, który zniszczył malowidła stropów I piętra. W 1997 r. pałac przejęła i podjęła remont Lwowska Galeria Obrazów, która posiada obecnie sporą część dawnych zbiorów Rzewuskich.

Kościół pałacowy, fundowany przez hetmana Wacława Rzewuskiego, wybudowany według projektu Karola Romanusa w latach 1752–66, od 1861 r. siedziba parafii pw. św. Józefa. Rotunda nakryta kopułą, poprzedzona szerszym od niej klasycznym portykiem kolumnowym. Na szczycie portyku figury świętych autorstwa Sebastiana Fesingera. We wnętrzu polichromia (w obramieniu iluzjonistycznej architektury postaci ze Starego Testamentu i personifikacje cnót), której część przy ołtarzu jest dziełem Łukasza Smuglewicza i jego syna Antoniego. Wyposażenie stolarskie i snycerkę wykonał Marcin Twardowski z Mikuliniec. Około r. 1860, zapewne w związku

i nie doglądano okresowo? W dodatku przy okazji odkryto, że drewniana rzeźba jest poważnie nadwyreżona przez korniki. Czy i tego nie sprawdzano?

Przed paroma miesiącami spadła podobno jakaś zabytkowa ikona. Wtedy tłumaczono to skokami temperatury, a muzeum nie stać na aparaturę regulującą ciepłość i wilgotność, bo kosztuje ona jakoby ponad 2000 dolarów. A cóż to za kwota dla oligarchów, którzy każde święta spędzają z rodzinami we Francji, Włoszech czy Szwajcarii (nie wspominając o Zakopanem!). W jednej z sal oderwała się też sztukateria i uszkodziła ekspozycję.

Przypomnijmy – pisaliśmy o tym – że z fasad zabytkowych kamienic we Lwowie skuwano detale ozdób i gzymsów, zagrażające przechodniom.

Przypomnijmy także, że przed parunastu laty dwaj bandyci w biały dzień zrabowali z Lwowskiej Galerii Obrazów trzy cenne obrazy (Matejki i Grottgera), a przy okazji zabilili wicedyrektora, kierownika gospodarczego i milicjanta. Ten ostatni nie miał w kaburze pistoletu, ponieważ... pożyczzył go krewnemu!

NOWY ZAMEK?

Na niezrównany pomysł wpadły ostatnio obecne władze Lwowa: odbudować Wysoki Zamek. Decyzja podobno formalnie zapadła, a m e r miasta gorąco projekt poparł, uważając to za „gest patriotyczny” Lwówian z okazji 750. rocznicy założenia Lwowa (?). Odbudowa miałaby się zacząć od wystawienia jednej z wież zamkowych, która służyłaby jako punkt widokowy. W budowlu tej (przecież nie zamku!) miałyby się znaleźć zbiory muzealne i biblioteczne oraz część dla obsługi turystów. Szczęściem pomysł został podobno wyśmiany przez rozsądniejszych mieszkańców Lwowa.

Ale zastanówmy się, *co by było, gdyby...* Na miejscu kazimierzowskiego zrujnowanego zamku usypiano w XIX w. kopiec Unii Lubelskiej, więc odbudowę musiałaby poprzedzić jego likwidacja. Kopiec jest po pierwsze zabytkiem, po drugie od półtora wieku wpisał się w krajobraz Lwowa, po trzecie jest wspaniałym punktem widokowym. Zwróćmy też uwagę, że ilość pomieszczeń

użytkowych, jakie znajdowały się w zamku, była bardzo szczupła, jedynie dla straży (nie był bowiem rezydencją mieszkalną, do tego celu służył Niski Zamek). Czy miałyby więc powstać tam dodatkowe budowle, skryte za atrapą murów obronnych? A szansa zniszczenia kopca była chyba jednym z istotnych ukrytych motywów tego głupkowatego pomysłu, który musiałby się spotkać z protestem władz RP i UNESCO (rysunek rekonstrukcyjny dawnego zamku pokazaliśmy w CL S/99).

Pomysł został więc oprotestowany przez ludzi kultury, a także... przez nacjonalistów, którzy wysunęli niezwykle przekonujący argument: *rekonstruowanie zamku zbudowanego przez polskiego króla po to, by ułatwić Polakom panowanie nad zdobytym miastem, jest hańbą dla Ukraińców*. Zarzucają również nacjonałiści (a my za nimi), że zamierza się wydawać pieniądze na rzecz niepotrzebną, gdy brak środków na rewaloryzację lwowskich kamienic. I jeszcze – że mer chce ubić prywatny interes. Tu zapewne trafili w sedno.

Liczmy się jednak z tym, że podobne pomysły ze strony prymitywnych działaczy mogą powstawać jeszcze niejednokrotnie.

Wydarzenia

◆ W piśmie „Radość Wiary” (Lwów, 4/04) przeczytaliśmy, że w Jabłonicy k. Jaremcza poświęcono kościół pw. błogosławionego (niebawem już świętego) **Zygmunta Gorazdowskiego**. Poświęcenia dokonał we wrześniu 2004 r. ks. kardynał Marian Jaworski w obecności nuncjusza I. Jurkowicza oraz biskupów episkopatu metropolii lwowskiej. Kardynał w serdecznych słowach przybliżył wiernym postać Błogosławionego, który swoje życie poświęcił służbie Bogu i ludziom ubogim, dlatego nazywano Go *księdzem dziadów*. Pobłogosławił też obraz ks. Gorazdowskiego, przywieziony przez ss. Józefitki z Krakowa.

W Jabłonicy nie ma parafii, lecz ośrodek rekolekcyjno-wypoczynkowy archidiecezji lwowskiej dla dzieci i młodzieży Caritas-Spes, a duszpasterzem został tam ks. Andrzej Ziober, poprzednio administrator w Gwoźdźcu i Horodence.

Ucrainica

◆ Zapowiadane od paru lat **przenosiny głównej siedziby władz ukraińskiej Cerkwi greckokatolickiej ze Lwowa do Kijowa** dochodzą do skutku. Kardynał Huzar upatruje zapewne kilka korzyści: podniesienie znaczenia Cerkwi unickiej na Ukrainie do pozycji ogólnopństwowej (dotychczas związanej w istocie z zachodnią prowincją, duchowo mało związaną z prawosławną Ukrainą właściwą), a to dałoby szansę podniesienia jej do rangi patriarchatu w ramach Kościoła Powszechnego (o co starają się bez skutku od dziesięcioleci). Były to zresztą niespełnione marzenia Szeptyckiego, ale w tamtych czasach całkowicie nierealne. Budowa katedry w Kijowie trwa podobno od kilku lat. Idea ta wzbudza wściekłość moskiewskiej Cerkwi prawosławnej, która uważa szeroko pojętą Ruś za swój teren kanoniczny, a przeniesienie Cerkwi unickiej do Kijowa za kolejny przejaw prozelityzmu ze strony Watykanu.

Z ostatniej chwili: Media doniosły, że uroczystość przeniesienia siedziby zwierzchnika ukraińskiej Cerkwi greckokatolickiej do Kijowa odbyła się 20 sierpnia '05, przy nieprzyjemnej manifestacji wiernych i duchownych Cerkwi patriarchatu moskiewskiego, a także zwolenników opozycyjnych ugrupowań politycznych. Wykrzykiwano: *Katolicy do Polski!, Zdrajcy!* Blokowano dostęp na teren greckokatolickiej świątyni. Uroczystość ochraniały setki milicjantów.

No proszę, tak im było źle w Polsce.

ze zmianą statusu kościoła na parafialny, dodano od strony płd. piętrową przybudówkę. W roku 1944 podczas ostrzału artyleryjskiego uszkodzona została kopuła, a wnętrze splądrowane przez sowieckich żołnierzy. W 1945 r. kościół zamknięto, a w 1991 r. przejęła go Lwowska Galeria Obrazów i podjęła w nim remont.

Przed kościołem figura MB Niepokalanej, dłuta Grzegorza Zielińskiego z 1754 r.

Cerkiew bazylianów z 1726 r. oraz klasztor z końca XVIII w. Architektura cerkwi i wyposażenia jej wnętrza przypominają barokowy kościół rzym.kat. Po II wojnie światowej cerkiew została zamknięta, a klasztor obrócony na sanatorium dla chorych z otwartą gruźlicą. W 1989 r. bazylianie odzyskali swoją własność.

Cerkiew pw. św. Michała, drewniana, na planie krzyża z kopułą, początek XVIII w. Na pocz. XX w. wybudowano nową cerkiew pod takim samym wezwaniem i do niej przeniesiono część wyposażenia. Po II wojnie cerkiew zamieniono na prawosławną.

Zajazd tzw. hetmański, przerobiony z dawnej stajni pałacowej z XVIII w.

Teksty opracowała dr Maria Taszycka

◆ Przed konsulem RP we Lwowie ustawiają się podobno nawet **1000-osobowe kolejki** chętnych do otrzymania polskiej wizy. Jedna z gazet ukraińskich doniosła, że za 40 dolarów można taką kolejkę ominąć. Konsul generalny W. Osuchowski powiedział, że jego placówka nie ma wpływu na proceder handlowania miejscami w kolejce oczekujących.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Ze Lwowa nadeszła pomyślna wiadomość: nowym prezesem w IV kadencji Federacji Organizacji Polskich nU została p. EMILIA CHMIEŁOWA, prezeska w dotychczasowych trzech kadencjach. Jej kandydatura przeszła miazdzącą przewagą głosów w stosunku do kontrkandydata.

Wyrażamy wielką radość i składamy Pani Emilii serdeczne gratulacje.

Szerzej w następnym numerze.

POLACY z POLAKAMI

STRZELCZYSKA

Mijają właśnie dwa lata (wrzesień '03) od otwarcia nowej szkoły polskiej w Strzelczyskach k. Mościsk, wsi całkowicie polskiej. Relacji, którą poniżej przedstawiamy nie wydrukowaliśmy niestety we właściwym czasie – przeszkodził temu nawet materiał i mniejsza objętość kwartalnika, ale zawarte tam wiadomości są nadal w pełni aktualne. Prezesom Oddziału w Gnieźnie dziękujemy i prosimy o wybaczenie, także za niewielkie skrót.

Gnieźnieński Oddział TMLiKPW już od 1994 roku otacza swoją opieką wieś Strzelczyska i zamieszkujących ją naszych rodaków. Kiedy proboszczem tamtejszej parafii był ks. Andrzej Rams*, współpraca układała się nadzwyczaj dobrze. Za jego pośrednictwem staraliśmy się w różnej formie nieść pomoc tamtejszej ludności, a Ksiądz zawsze witał nas z otwartymi rękoma. Niestety jego brak daje się wyraźnie odczuć nie tylko tamtejszym mieszkańcom, dla których starał się być opiekunem i ojcem, ale również my ten brak także odczuwamy. [...]

Dotychczasowe nasze kontakty były prawdopodobnie powodem zaproszenia nas na otwarcie Polskiej Szkoły. Uroczystość ta poprzedzona została mszą św., której przewodniczył biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej ks. Marian Buczek. Następnie przed szkołą odbyły się oficjalne uroczystości jej otwarcia i poświęcenia. Kompletnym zaskoczeniem była dla nas forma, w jakiej uroczystość została przeprowadzona. Nie dość, że otwarcie

polskiej szkoły [podkr. red.] prowadzono w języku ukraińskim, to dodatkowo popełniono kilka gaf podczas powitania zaproszonych gości (w powitaniu pominięto ks. Biskupa i prof. A. Stelmachowskiego). Największym aplauzem tamtejsza młodzież i ludność powitała ks. Andrzeja Ramsa, co nie wszystkim było w smak.

Uwaga pani prowadzącej uroczystość skupiła się głównie na przedstawicielach władz ukraińskich; podnosiła ich szczególne zasługi, jakie poniosły w budowie szkoły. Powszechnie wiadomo jednak, że szkoła ta wybudowana została dzięki staraniom ks. Andrzeja Ramsa i „Wspólnoty Polskiej” z p. prof. A. Stelmachowskim – ze środków Senatu RP, a więc z naszych podatków. Natomiast strona ukraińska robiła wszystko, żeby opóźnić jej wybudowanie, a na koniec nie wyraziła zgody na nadanie jej imienia Jana Pawła II. Nawet za przesłane dwa tiry wyposażenia szkolnego przez „Wspólnotę Polską” zażądały opłacenia cła**. Ponieważ tamtejszego społeczeństwa nie stać było na jego zapłacenie, członkowie naszego Oddziału przeprowadzili wśród siebie zbiórkę, a zebrane środki na opłacenie cła przekazali Towarzystwu Przyjaciół Szkoły w Strzelczyskach. Podczas uroczystości delegacja nasza przekazała także artykuły szkolne w postaci kredy, zeszytów, pisaków, kredek oraz kilka kartonów słodyczy dla tamtejszych dzieci.

Dalsze jednak wysłuchiwanie pochwał i zachwyty pod adresem przedstawicieli władz ukraińskich przekroczyły naszą cier-



pliwość. Dlatego zrezygnowaliśmy z udziału w zakończeniu, ponieważ odnieśliśmy wrażenie, że uczestniczymy w otwarciu niepolskiej szkoły.

mgr Janusz Sekulski, prezes Oddziału
mgr Grzegorz Wieruszewski, sekretarz

Bylibyśmy wdzięczni za wiadomości o dalszym rozwoju sytuacji w Strzelczy-skach. Czy kontakt został utrzymany? Z góry dziękujemy i pozdrawiamy.

* Niezapomniany ks. A. Rams pracuje obecnie w Chorzelowie k. Tarnobrzega – pisaliśmy o nim w CL 2/2000 Obecny proboszczem jest ks. Janusz Potok.

** O przeszkodach, jakie stwarzały władze ukraińskie przy staraniach o budowę tej szkoły, pisaliśmy w CL kilkakrotnie. Np. jedną z przyczyn odrzucenia projektu w 2001 r. był brak... schronu przeciwbombowego (patrz CL 2/02, s.40; o otwarciu CL 4/03).

W Krakowie i dalej

JUBILEUSZ KRAKOWSKIEGO „SOKOŁA”

W dniach 4–5 czerwca 2005 obchodziliśmy w Krakowie piękną rocznicę 120-lecia założenia tutejszego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, powstałego w roku 1885 na fali szerokiej ekspansji sportowej, a zarazem patriotycznej organizacji, zapoczątkowanej we Lwowie w 1867 r.* Współtwórcą i pierwszym prezesem tutejszego gniazda był Michał Bałucki, znakomity pisarz. Pierwotnym miejscem ćwiczeń sokołów był prywatny ogród koło klasztoru Kapucynów (już od stu lat jest to intensywnie zabudowana część miasta!), potem w szopie browaru, a sokołnię przy ówczesnej ul. Wolskiej (dziś Piłsudskiego) wzniesiono w 1889 r. W parę lat później ją rozbudowano i w takim stanie znamy ten obiekt obecnie. W 1897 r. wszczęto wydawanie własnego czasopisma fachowego, które w 1909 r. przyjęło nazwę „Przegląd Sokoli” (do tego tytułu nawiązuje wydawane dziś – od r. 1998** – współczesne pismo krakowskiego „Sokoła”).

Krakowskie gniazdo było niezwykle aktywne, zarówno przed I wojną, jak i w międzywojennym 20-leciu. Stąd wywodziło się szereg wybitnych gimnastyków i sportowców różnych

dyscyplin. Przed I wojną krakowski „Sokół” stał na czele I Okręgu (wśród 8, ale jedynie na terenie Galicji), zaś między wojnami na czele Dzielnicy Krakowskiej (wśród 6 na terenie całego kraju).

W 1947 r. „Sokół” został przez władze komunistyczne zlikwidowany, a do reaktywowania doszło po półwiekowym niebycie – w 1989 r. Powstała wtedy w Krakowie Rada Odrodzenia „Sokoła”, z którą związało się 14 krajowych gniazd. Odzyskano zabytkowy już budynek sokołni (w stanie daleko posuniętej dewastacji) i w ciągu paru lat pięknie odnowiono.

Prezesem „Sokoła” w Krakowie i Rady Odrodzonego „Sokoła” jest od początku druha Konrad Firlej, naczelnikiem druha Andrzej Pawłowski***. Krakowski „Sokół” ma dziś bliskie kontakty z polskimi organizacjami sokolimi w Wielkiej Brytanii, Francji, Kanadzie. Z okazji 130-lecia polskiego „Sokoła” (1867–1997) krakowski „Sokół” zorganizował uroczystości, które rozpoczęły się we Lwowie, druga część w Krakowie.

Dziś krakowska sokołnia tętni życiem. Na ćwiczenia zapisują się dzieci, młodzież,



Krakowscy sokoli wchodzą do Bazyliki Mariackiej. Na czele druhowie K. Firlej i A. Pawłowski

dorośli i seniorzy – Zwarta Brać Sokola. Oprócz ćwiczeń odbywają się tu imprezy artystyczne, naukowe, kulturalno-towarzystwie. Szczególnym gestem Zarządu „Sokoła” w Krakowie jest udzielenie (nieodpłatnie!) krakowskiemu oddziałowi Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW miejsca na siedzibę, w której działa on od 1991 r. Drugim godnym uznania dowodem patriotyczno-społecznej postawy jest przyjęcie „Sokoła-Macierzy Lwów”, który również działa w krakowskiej sokolnii.

Z okazji jubileuszu odbyło się sympozjum naukowe (omówione w tym numerze w rubryce *Wertując wydawnictwa*), o którym piszemy w rubryce *Kultura*, ponadto ukazało się kilka wydawnictw. Pierwsze to piękny album historycznych i współczesnych zdjęć pt. *Jubileusz 120-lecia*, z wieloma tekstami i objaśnieniami, drugie: książka pt. *120 lat Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Krakowie. Sympozjum naukowe*. Warto zwrócić szczególną uwagę na zawarty tam *Zarys historii PTG „Sokół” w Krakowie*, autorstwa A. Pawłowskiego oraz *Historiografię polskiego ruchu sokolskiego* prof. Z. Pawluczuka (AWF Gdańsk).

* Równoległe z krakowskim w 1885 r. powstały gniazda w Kołomyi, Przemyślu i Tarnopolu, a rok wcześniej w Stanisławowie i Tarnowie.

** Pierwszy numer obecnego „Przeglądu Sokolego” (jako *zwiastun*) ukazał się w formie specjalnego numeru „Cracovia-Leopolis”.

*** Andrzej Pawłowski jest naczelnikiem w „Sokole” krakowskim, prezesem „Sokoła-Macierzy Lwów” z siedzibą w Krakowie, a także naszym wielokrotnym autorem.

XIII ZJAZD BRODZIAN

W dniach 30–31 maja odbył się tradycyjnie w Wiśle doroczny Zjazd Brodzian, już XIII. O kolejnych spotkaniach zamieszczamy każdorazowo relacje w naszym kwartalniku, nadsyłane do ub. roku przez śp. dr Stanisławę Valis-Schyleny, założycielkę oraz wieloletnią, niestrudzoną prezeskę i organizatorkę działalności Koła Ekspatriantów z Brodów. Tegoroczny zjazd był pierwszym po odejściu Doktor Stasi. Poniżej zamieszczamy (ze skrótami) sprawozdanie, nadesłane nam przez pp. J. Nasiek, K. Milerską i D. Bazielich.

W przeddzień otwarcia Zjazdu odbyło się powitanie uczestników przez D. Bazielich-Sirko, która poświęciła wspomnienie zmarłym ostatnio członkom Koła, w szczególności zmarłej St. Valis-Schyleny. Jej życiorys, napisany przez W. Fastnachta (Kraków) był drukowany w CL 1/05. Życzenia i bukiet kwiatów wręczono 97-letniej Eugenii Wawrzyckiej-Dąbrowskiej.

Pierwszy dzień Zjazdu rozpoczęła w miejscowym kościele msza św. odprawiona przez ks. Proboszcza oraz księdza z Pogorza, gdzie odbywają się kolonie dla dzieci z Brodów.

Jako pierwszy głos zabrał inż. Andrzej Chlipalski – członek Zarządu Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, który w bardzo interesujący sposób nakreślił szkic dziejów Kresów Wschodnich i zwrócił uwagę na unicestwiony dorobek życia wielu pokoleń Polaków, zmuszonych do opuszczenia tych ziem, sprofanowane kościoły i cmentarze, zniszczone zabytki. Zaapelował do dokumentowania obecności, życia i działalności Polaków na naszych Kresach Wschodnich.

Następnie odczytano wiele listów od brodzian, którzy obecni byli na Zjeździe tylko sercem i duchem. D. Bazielich przedstawiła sprawozdanie finansowe za okres 29 V '04 – 25 V '05. Przychody Koła (saldo z ub. roku, wolne datki, odsetki) wyniosły 6477 zł, rozchody 5296 zł. Sprawozdanie ze zbiórki funduszy na budowę kościoła w Brodach przedstawił W. Fastnacht: w ciągu roku wpłynęło na konto Koła w Lubaczowie 3885 zł, śp. ks. B. Gwóźdź wpłacił ze



swoich środków 3000 USD, przeznaczone na kontynuację prac przy sklepieniu kościoła. W sumie na budowę kościoła w ciągu 7,5 lat wpłacono 29 829 dolarów.

Po odczytaniu sprawozdania W. Fastnacht zgłosił wniosek, żeby pieniądze wpływające obecnie na konto w Lubaczowie przeznaczyć na ufundowanie trzech tablic upamiętniających zasłużonych brodzian: Józefa Korzeniowskiego, Feliksa Westa i ks. bpa Jana Olszańskiego. Tablice te – za zgodą Kurii Metropolitalnej – zostałyby umieszczone na ścianach kościoła i stanowiłyby dla parafian trwałe dowód czci i pamięci o nich.

W dalszym ciągu W. Fastnacht opowiedział o kontaktach z Muzeum Historyczno-Krajoznawczym w Brodach, które mieści się w budynku przedwojennego starostwa przy Rojekówce, a część jego ekspozycji znajduje się w pałacu zamkowym. Pracownicy muzeum zwrócili się o materiały dotyczące J. Korzeniowskiego, F. Westa i innych zasłużonych brodzian. W odpowiedzi F. Fastnacht wysłał *Dzieła wybrane* J. Korzeniowskiego (w 8 tomach), książkę o ks. bp. J. Olszańskim *Pasterz i twierdza* i inne materiały. W otrzymanym w rewanżu z Brodów przewodniku turystycznym *widzi się uporczywe zakłamywanie, zmierzające do ukrycia polskiej historii tego kraju, tak jak gdyby nie było polskiego wkładu w życie i rozwój tych ziem.*

Zbigniew Grata przedstawił stan zaawansowania zbiórki pieniędzy na projektowany pomnik J. Korzeniowskiego w Brzegu. Pomnik ma kosztować ok. 120 tys. zł, a ze zbiorów jest aktualnie 1370 zł, Rada Ochrony Pamięci WiM przyznała zaś 10 tys. zł. Spodziewana jest dotacja z Ministerstwa Kultury w wysokości 25 tys. zł.

Drugi dzień Zjazdu wypełniła dyskusja nad dalszą działalnością Koła, wybrano nowy Zarząd, przyjęty jednogłośnie. Prezesem została Joanna Nasiek-Karpacka, a do Zarządu weszli ponadto: Jolanta Grata-Wróblewska, Zygmunt Huzarski i Wacław Fastnacht. Swoją pomoc w organizacji zjazdów obiecała Renata Valis-Majewska, córka zmarłej Doktor Stasi. Dotychczasowym członkom Zarządu złożono serdeczne podziękowanie

W folderku zjazdowym wydrukowano taką oto Pieśń do Madonny Brodzkiej:



*Matko Najświętsza z kościoła brodzkiego,
Uproś nam łaski Syna Swojego,
Bądź z nami zawsze, w każdej potrzebie –
Madonno nasza, błagamy Ciebie!
Pamiętaj o tych, którzy Cię czczą w Brodach
I tych rozsianych hen po świata grodach.
Daj nam brodzianom spotkać Cię w niebie
Madonno nasza, błagamy Ciebie.*

(melodia Zdrowaś Maryja, Boga Rodzico! Błagamy Ciebie...)

Notatki

◆ Zarząd Krajowy **Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”** w Warszawie ma (w części) nowe władze. Prezesem został ponownie prof. Andrzej Stelmachowski.

Z Krakowa do Zarządu Krajowego weszli dr Kazimierz Jurczak i dr Józef Wróbel, a do Rady Krajowej dr Krystyna Gąsowska (dyrektor w Zarządzie Oddziału Krakowskiego), prof. Zygmunt Kolenda (prezes ZO-Krak.) i dyr. Jerzy Petrus. Przewodniczącą Komisji Rewizyjnej została mgr Krystyna Borzemska (dotychczas skarbnik ZK).

◆ W połowie kwietnia obchodzono w Krakowie uroczystości **dwie rocznice o r m i a ń s k i e**. Bliższa to 90. rocznica rozpoczęcia przez Turków ludobójstwa Ormian w 1915 r. (trwało do 1923 r. i pochłonęło około 1,5 miliona ofiar). Druga to 1600. rocznica powstania alfabetu ormiańskiego, ułożonego przez św. Mesropa Masztoca.

Uroczystość odbyła się w kościele św. Mikołaja (przy ul. Kopernika), obok którego ustawiono w ub. roku *chaczkar* – ormiański kamień krzyżowy. Organizatorem i celebrazem mszy św. – Surb Patarak – był, jak zwykle, energiczny duszpasterz

polskich Ormian, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. W uroczystości wzięły udział ks. kard. Fr. Macharski i dr Aszot Hovakimian, ambasador Armenii w Polsce.

Krakowski chaczkar upamiętnia Ormian, którzy od XIV wieku mieszkają w Polsce i położyli wiele zasług dla Rzeczypospolitej. Monument poświęcony jest również – obok ofiar ludobójstwa dokonanego przez Turków na Ormianach w 1915 roku – Ormianom i Polakom zamordowanym przez ukraińskich nacjonalistów z UPA: 19–21 IV 1944 w Kutach nad Czeremoszem, 15–20 I 1945 w Baniłowie Ruskim na Bukowinie oraz w innych miejscowościach kresowych, a także księżom ormiańskokatolickim, aresztowanym, zabitym lub wywiezionym na Sybir przez sowieckie władze okupacyjne w latach II wojny światowej.

◆ W Krakowie w kwietniu zmarła nieoczekiwanie i przedwcześnie **Alana Puchalska**. Urodzona we Lwowie, była córką lekarza, dra Branko Groo i Wandy z Sołtyśników (ulica Kampiana 4). Z zawodu była plastyczką. Przez kilkadziesiąt lat towarzyszyła swemu mężowi, znakomitemu fotografikowi Włodzimierzowi Puchalskiemu, w legendarnych już wyprawach na *bezkrawe łowy*. Jego spuściznę twórczą i pamiątki przekazała w roku 1996 do Muzeum w Niepołomicach, gdzie w tym celu urządzono osobny dział (patrz CL 3/96).

◆ Również w kwietniu zmarł w Krakowie prof. dr Leszek Dzięgiel, etnograf, kierownik Katedry Etnologii na UJ. Urodził się we Lwowie w 1931 r., jednak w rodzinie o nielwowskich korzeniach. Napisał książkę wspomnieniową pt. **Lwów nie każdemu zdrów** (patrz *Nowe książki* w tym numerze).

◆ Z prasy dowiedzieliśmy się, że wyszły już przepisy pozwalające osobom należącym do mniejszości narodowych i etnicznych na używanie i pisanie imion oraz nazwisk **zgodnie z zasadami ich języków**, w urzędach gmin, a także na wprowadzenie dodatkowych nazw ulic i miejscowości w językach tych mniejszości.

Wypada więc zapytać, czy analogiczne przepisy ukazały się już lub ukążą w państwach litewskim dla Wileńszczyzny (co łatwiejsze, bo to też Unia Europejska, kultura mimo wszystko łańskie i pismo to samo) oraz w państwie ukraińskim dla Małopolski Wschodniej? W tym drugim przypadku kul-

tura i pismo nieco odmienne, ale starania do UE podobno trwają. A więc?

Przy okazji warto zauważyć, że np. na lwowskich *a p t e k a c h* widnieje to słowo we wszystkich językach europejskich z wyjątkiem polskiego. Tak wygląda praktyka wzajemności w ramach „pojednania”, a słowo *pojednanie* odmieniane we wszystkich przypadkach słyszeliśmy w czasie otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa co chwilę. Niestety zła giedrojciowsko-kuroniowska robota ciągle góruje nad szansą prawdziwego pojednania, rozpoczętego otwarciem naszej orłowej nakropolii.

◆ W Krakowie – jak wiadomo – zmiana na stanowisku arcybiskupa-matropolity. Odchodzi ks. kardynał Franciszek Macharski (co już dawno się zanosilo w związku z przekroczonym 75. rokiem życia, ale na życzenie Jana Pawła II kadencja uległa przedłużeniu), zaś archidiecezję i metropolię krakowską obejmuje ks. abp. Stanisław Dziwisz. Do ustępującego Kardynała wystosowaliśmy taki oto list:

Eminencjo, Księżę Kardynale!

Zakończenie misji przez Księdza Kardynała przyjmujemy z żalem. Jako mieszkańcom tego miasta postać Eminencji, naszego Biskupa, złączyła się z ważnymi latami osobistego życia każdego z nas, ale również – dla naszej ekspatrianckiej społeczności – z okresem zawiązywania się na nowo, po latach zniewolenia, naszego środowiska wygnańców ze Lwowa i Ziemi Południowo-Wschodnich. Pierwsze nasze spotkania katakumbowe odbywały się wszak przy krakowskich kościołach – św. Józefa na Podgórzu, a od wielu lat u oo. Dominikanów; doroczne uroczyste msze św. u św. Idziego, św. Marka, a potem – do dziś – w Bazylice Mariackiej.

Z wielkim wzruszeniem wspominamy udział Ks. Kardynała w naszej pierwszej Mszy św. w intencji beatyfikacji SB Józefa Bilczewskiego w kościele św. Anny i wezwanie: spotykajmy się co roku – do skutku! Rzeczywiście, przez szereg lat zbieraliśmy się w kolejnych świątyniach krakowskich, głównie takich, gdzie przechowywane są lwowskie pamiątki – prosząc Boga o Łaskę wyniesienia na ołtarze Sługi Bożej Arcybiskupa Józefa i Księdza Zygmunta Gorzdzewskiego, aż do wielkiego roku ich beaty-

fikacji przez Ojca Świętego Jana Pawła II we Lwowie. Teraz oczekujemy Ich kanonizacji.

Za to wszystko jesteście wdzięczni Eminencji, mając nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie nam dane spotkać się przy godnej okazji z Księdzem Kardynałem. Pięknym momentem byłoby poświęcenie tablicy pamięci Kardynała Adama Stefana Sapiehy na Jego lwowskim domu rodzinnym. Nasz list w tej sprawie zechciał Eminencja przekazać ks. Kardynałowi Marianowi Jaworskiemu – wiemy to z nadesłanej nam odpowiedzi, za co również gorąco dziękujemy.

Życząc Waszej Eminencji zdrowia i sił oraz wszelkich łask Bożych, pozostajemy z uszanowaniem i odaniem.

Szczęść Boże!

KULTURA NAUKA

TEATR LWOWSKI W KRAKOWIE

W połowie maja – po paroletniej nieobecności – zawitał do Krakowa Polski Teatr Ludowy ze Lwowa. Grał w teatrze „Bagatela”, a salę wypełnili nie tylko expatrianci. Zainteresowanie było ogromne.

Teatr Zbigniewa Chrzanowskiego przedstawił *Wieczór Galowy* – dobrze skomponowany zestaw całego szeregu przedstawień ostatnich lat. Zaczęło się „wysoko” – od Kochanowskiego, Norwida, Mrożka, Różewicza. Potem nastąpiły najbardziej – z tej okazji – oczekiwane prezentacje: Hemara „Fraszkopis” i stara lwowska piosenka.

Dobrze rozumiemy, że Dyrektor-reżyser i jego Zespół chcą i powinni przedstawić na gościnnych występach pełny przegląd swego dorobku, a mają się czym pochwalić. W ciągu blisko półwiecza pokazywali wszak nie tylko Fredrę i Zapolską, ale i wielkich klasyków polskiej i światowej dramaturgii. Przyszedł w końcu czas na Mrożka, Różewicza, Wojtyłę... Dobrze jednak, że przyjeżdżając

do Krakowa, Warszawy czy Wrocławia, dają coś nam najbliższego – trochę lwowskości, którą całkiem inaczej u nich odbieramy, niż gdy ją produkuje któryś z zespołów z Wrocławia czy Bytomia. I wcale nie poziom artystyczny je dzieli, bo jedne i drugie są niezawodne, ale autentyzm. To co przywożą dzisiejsi lwowiacy, odbieramy jako Lwów prawdziwy, a nie – choćby wykonany najdoskonalej – lecz odtwarzany na innym bruku, w innym powietrzu.

W holu teatru można było nabyć kolejną edycję broszury „Polski Teatr Ludowy we Lwowie”, zawsze z tą samą fotografią pałacu hr. Bielskich przy ul. Kopernika 42 – której od lat jest jego siedzibą – na okładce. O wydawnictwie tym piszemy w innym miejscu tego numeru.

Polski Teatr we Lwowie wydaje corocznie **kalendarzyki kieszonkowe** (o formacie większej wizytówki), przeważnie z zakomponowaną scenką z któregoś spektaklu – w tym roku mamy *Zemstę*.

Nieznanym nam autorom i pomysłodawcom gratulujemy, bo są zawsze świetne.

Kalendarzyk 2005



SOKOLSKIE SYMPOZJUM

W ramach obchodów 120-lecia założenia krakowskiego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” (o którym piszemy w dziale *W Krakowie i dalej*) odbyło się również **symposium naukowe** z kilkunastoma referatami. Tematy były związane z problematyką historyczną i dotyczyły gniazd należących do dawnego okręgu I krakowskiego, gniazd obecnie związanych z PTG „Sokół”

w Krakowie na terenie Małopolski zachodniej i środkowej oraz poza nią (Racibórz), a nawet polskiego „Sokoła” we Francji. Omawiano ponadto różne aspekty działania „Sokoła” – jazda konna, narciarstwo, ratownictwo wodne, aspekty kulturotwórcze.

Nas szczególnie zainteresował referat mgr Iwony Pezdan (Rzeszów) o działalności TG „Sokół” w Brodach w latach 1891–1912. Znalazł się on już w wydanym pamiętniku sympozjum. Wedle zapewnienia prelegentki, dalszy okres – do 1939 r. – jest w opracowaniu.

Kronika

◆ **Lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych** zorganizowało w kwietniu '05 w swojej galerii „Własna Strzecha” przy ul. Badenich wystawę pt. *Kwiaty dla Jana Pawła II*. Wystawa została objęta patronatem Konsula Generalnego RP we Lwowie.

Udział wzięło – jak można sądzić z ładnie wydanej folderki – 22 twórców. Pokazano, zgodnie z intencją wystawy, cztery portrety Papieża (Walentyna Gibała, Mieczysław i Władysław Maławscy, płaskorzeźbę z katedry łac. – Jarosław Skakun) i kwiaty (Ihor Hawryszkiewicz, Jadwiga Pechaty, Jarosław Sosnowski, Wiktor Szkurynskij, Dmytro Tkanko). Były obrazy o treści religijnej (Roksolana Pryjma-Tamiola, Piotr Sypniak); lwowskie krajozrazy (Walery Bortiakow i Aleksander Krochmaluk); poza tym obrazy całkiem nie związane z tytułem ekspozycji (Olha Benediuk, Ihor Danczenko, Zołtan Iłku, Renata Laszczuk, Jurij Kamysznyj, Bogdan Pikulicki, Sergiusz Szachwerdow, Michaj Tymoszenko, Inna Wetyczko).

◆ W drugiej połowie kwietnia otwarto w krakowskim Muzeum Historycznym – w kamienicy Hipolitów przy ul. Mikołajskiej – wystawę twórczości wybitnego architekta lwowsko-krakowskiego przełomu XIX/XX w. **Jana Sas Zubrzyckiego**, a także współpracują-

cego z nim rzeźbiarza z Krosna – Andrzeja Lenika. Wystawa została przygotowana we Wrocławiu i tam eksponowana przed rokiem – pisaliśmy o niej i o obu twórcach w CL 3/04.

◆ Z końcem kwietnia odbył się w siedzibie LPR w Krakowie **wieczór autorski Aleksandra Szumańskiego**, poety lwowsko-krakowskiego. Autor czytał swoje wiersze – pełne patriotycznej i historycznej refleksji, w dużej części związanej ze Lwowem, z dramatem jego polskości – z tomiku pt. *Fotografie polskie*, wydanego w latach 90. W jednym z krakowskich pism Jerzy Adamski napisał: – *Jest Szumański lirykiem. Urodzony we Lwowie, tam mieszkał do 1941 roku. [...] pierwszy wiersz napisał w 1941 r., wygłoszony w polskim radiu przez znanego aktora... W sumie napisał ponad 1100 utworów, z których 380 znalazło się w tomie „Odlatujące ptaki”. Utworami tymi, dzięki ich prostocie prześiąkniętej głęboką refleksją i liryzmem, zdobył liczne rzesze czytelników. Wydaje się, że Szumański jest jedynym, który dzisiaj tak pisze. W utworach swoich nawiązuje do całej znanej nam klasyki. –* Cytujemy jeden z wierszy z tomiku A. Szumańskiego:

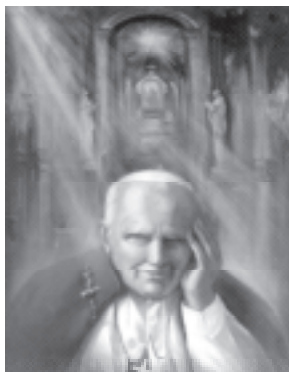
*ONI TRÓJKAMI MŁODEJ KRWI
Wpatrzeni tylko w gród swój stary
Szli bez okopów w wolność dni
Bo zbrojni byli w łez sztandary.*

*Oni trójkami w niebo szli,
Bo taki trwał Ojczyzny los,
Historię wbarwił ból tych dni
Wrażę potęgi czarci głos.*

*Szlakami ulic szli nieznani,
Nad nimi zaś granatów mowa,
Podle zbrojeni, ukochani,
Broniący piękna swego Lwowa.*

*W polskości grodu zadumani,
Nad nimi trwała wraża zmowa,
A byli chciani, choć niechciani
Orłęta, dzieci swego Lwowa.*

*I w chwale swej wkraczali dumnie
Pieśni nutami Kleparowa,
Gołymi pięści walcząc szumnie
Szły Orły, dzieci swego Lwowa.*



*I sztandarami bój wygrały,
W dym już rozwiana siła wroga,
Bo te Orleża tak śpiewały,
Orleża, dzieci swego Lwowa.*

*I w łyczakowskim gruzu wale
Spoczęły ich dziecięce słowa,
A w twardej ziemi, lwowskiej skale
Trwają do dziś obrońcy Lwowa.*

◆ W Tarnowie odbyła się w maju br. sesja naukowa na temat: **Prawna ochrona dziedzictwa kulturowego Krakowa, Lwowa i Tarnowa**, zorganizowana przez tarnowską Państwową Wyższą Szkołę Zawodową, z udziałem tamtejszych naukowców i studentów oraz krakowskich naukowców (m.in. prof. Tadeusza Chrzanowskiego). Stwierdzono, że w jednoczącej się Europie nie mogą mieć miejsca przejawy ksenofobii czy nacjonalizmu. Dążenie do ochrony dziedzictwa kulturowego powinno pozostać ponad jakimikolwiek podziałami.

W konferencji wzięła udział doc. dr Galina Tkacz, Ukrainka, która mówiła m.in. o 2 tysiącach zabytków Lwowa, wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Z naszej strony chcielibyśmy przypomnieć o bezcennym zabytku, jakim jest Cmentarz Łyczakowski we Lwowie, systematycznie niszczonego za wiedzą (a może i poparciem?) jego dyrektora, mimo że nekropolia posiada status c m e n t a r z a - m u z e u m. Grobowce są raz po raz zawłaszczane przez nowych „likatorów”, a tablice z nazwiskami tam pochowanych – skuwane. Niektóre kamienne, ozdobne grobowce są pokrywane... lastrikiem, żeby wyglądały „jak nowe”, efekt estetyczny jest jednak wręcz odwrótny, nie mówiąc o zniszczeniu zabytku.

Wypada też przypomnieć bliskie o s t a t e c z - n e j k a t a s t r o f y zabytki poza Lwowem, przykładowo: kościół zamkowy w Brzeżanach, kościoły w Podhajcach i Hodowicy, renesansowy pałac w Pomorzanach i wiele innych. Pani Tkacz powinna o nich wiedzieć.

◆ Na lipcowe spotkanie w Klubie „Zaułek” przybyły dwie Panie z daleka. Z Kaliforni przyjechała pani **Teresa Siedlar-Kołyško**, krakowianka, dziennikarka i pisarka (dobrze już znana naszym Czytelnikom, i nie tylko naszym, bo pisuje stale *Kronikę Kresową* dla polskiego „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku – donosiliśmy o tym w poprzednim numerze), a do nas przyszła – jak tra-

dycyjnie każdego lata – z prelekcją związaną z Jej corocznymi podróżami na ziemię kresowe. Lwowianka, pani **Krystyna Kierska-Rucińska**, plastyczka, mieszka bliżej – w Orleanie, i zajmuje się tam odtwarzaniem pisanek wszystkich folklorów świata i epok, od starożytności. Ma wystawy w wielu krajach Europy.



Na zdjęciu z „Zaułka” – (od lewej) p. Krystyna Kierska i p. Teresa Siedlar w pogawędce po zakończonym spotkaniu.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Jeżdżąc w ostatnich parunastu latach przez Małopolskę Wschodnią, zauważamy niezwykle liczne, wznoszone lub świeżo wzniesione cerkwie, sytuowane zazwyczaj blisko ważnych dróg, na pobliskich wzgórzach i w centrach miast, miasteczek i wsi, gdzie – gwałcąc odwieczną harmonię ich urbanistycznych sylwet, nierzadko średnio-wiecznych – zaczynają dominować swoją wielkością i całkiem obcą formą, niewspasowaną w miejscowy krajobraz kulturowy.

Potrzeba budowania nowych świątyń jest zrozumiała – tak jest też w naszym dzisiejszym kraju – jednak narzuca się nieodparte podejrzenie, że tam chodzi o coś więcej. Nie ulega wątpliwości, że wprowadzając nowe budowle cerkiewne, ogromne ponad



miarę (a więc kosztowne – w państwie, gdzie się nie przelewa), z wyraźnym nawiązaniem do rosyjskiego klasycyzmu (?), dąży się do „zgaszenia” tradycyjnych dominant o formach zachodnich na rzecz silnych akcentów związanych z nietutejszą tradycją prawosławia. Słowem: zamieniając smukłe wieże kościołów i charakterystyczne potrójne kopułki drewnianych cerkiewek na obłe, lecz potężne kopuły, zmienia krajobraz zachodni na wschodni. Trzeba bowiem zauważyć, że stare cerkwie, drewniane czy murowane – zwłaszcza na wsi i w małych miasteczkach, poza pewnymi wyjątkami – były raczej budowlami niewielkimi i w krajobrazie nie dominowały.

Jednak kopuła to nie wszystko – jest ona tylko zewnętrznym wyrazem różnic w pojmowaniu przestrzeni modlitwy na wschodzie i zachodzie. Obrządku zachodnie preferowały rozwiązania podłużne, do perfekcji doprowadzone w gotyku. Klasyczna świątynia bizantyńska (a za nią prawosławna ruska cerkiew) to budowla *centralna*¹, zwieńczona – co wynika z konstrukcji budowli – kopułą. Takie rozwiązania odpowiadały też Kościołowi zachodniemu w czasach kontroformacji – stąd liczne kopuły w epoce baroku. Po baroku jednak powrócono na ogół do tradycyjnych układów podłużnych.

Z ciekawością sięgamy więc do niedawno wydanej, monumentalnego dzieła dra **Piotra Krasnego** z Uniwersytetu Jagiellońskiego pt. **Architektura cerkiewna na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej, 1596–1914** (wyd. Universitas, Kraków 2003). Praca obejmuje obszary, gdzie żyła ludność obrządków wschodnich (stąd nazwa *ziemie ruskie*, używana zdaje się, zbyt uogólniająco przez polskich historyków), a więc au-

tochtoniczna na ziemiach ukraińskich i Białej Rusi, oraz ta, która stanowiła wielowiekowy co prawda, lecz napływowy element etniczny.

Ten ostatni to zarówno Rusini uchodzący od średniowiecza przed mongolskim uciskiem, zasiedlający słabo zaludnione rubieże prapolskich Łędzian (Zbrucz, Smotrycz już wtedy znaczyły rozgraniczenie zachodu i wschodu, które – paradoksalnie – powróciło po upadku I Rzeczypospolitej), jak i Wołosi, którzy migrowali wzdłuż łańcucha karpaccyjskiego w poszukiwaniu pastwisk, dochodząc nb. aż do zachodniej Małopolski. Wspólnota religijna z Rusinami (obsługa przez ruskich popów) doprowadziła z czasem do rutenizacji Hucułów, Bojków i Łemków.

Chodzi więc przede wszystkim o obszar Małopolski Wschodniej² (nazywanej w książce Galicją) w mniejszym zakresie Wołynia, Podlasia i Ukrainy, z odniesieniami do ziem Przemyskiej, Chełmskiej, Lubelszczyzny, Wileńszczyzny i Białej Rusi, a nawet Rosji. Pod względem czasowym – rok 1596 oznacza powstanie Cerkwi greckokatolickiej (Unia Brzeska), a więc zbliżenie jej do łacińskiego Zachodu, na niekorzyść powiązań z rosyjską Cerkwią prawosławną i – choć niepełne – zerwanie z prawosławiem (pozostała wspólna liturgia). Warto pamiętać, że w naszej części Europy grekokatolicyzm istniał tam, gdzie była Polska. Nową sytuację stworzyły dopiero czasy najnowsze, gdy przed kilkunastu laty powstało państwo ukraińskie.

Kiedy więc na wstępie przegląda się zdjęcia w książce P. Krasnego, na pierwszy rzut oka zauważa się – z grubsza rzecz biorąc – historycznie dwa typy budowli cerkiewnych: starsze, XVII- i XVIII-wieczne i mniej więcej do połowy XIX w., oraz nowsze, szczególnie z przełomu wieków XIX/XX. Te pierwsze to obiekty w większości o architekturze nam bliskiej, niewiele różniące się od kościołów renesansowych, barokowych, aż po rokoko. Czasami nawet podejrzewa się, że chodzi o kościoły zaadaptowane na cerkwie³ – podobnie jak dawny kościół trynitarzy przy ul. Krakowskiej we Lwowie, przerobiony w ostatnich latach XIX w. na cerkiew Przemienienia, któremu przydano cały system niepięknego kopuły; i jak głośny przed paru laty barokowy kościół Karmelitów w Przemyśle – przez kilkadziesiąt lat katedra grekokatolicka – z którego wresz-

cie zdjęto nasadzoną w podobnym czasie drewnianą, zrębową atrapę kopuły.

I jeszcze inne zróżnicowanie: cerkwie murowane i drewniane. Autor omawia głównie te pierwsze – jako bardziej reprezentatywne dla podjętego tematu. O cerkwiach drewnianych wspomina w książce drugoplanowo, pokazuje też nieliczne ich zdjęcia, mimo że, jak pisze, cerkwie murowane w Polsce stanowiły w XVIII wieku zaledwie 1,5–2% cerkwi prawosławnych i unickich, a dopiero w XIX w. (tzn. w okresie zaborów) proporcja zwiększyła się do 1/3 na korzyść murowanych⁴.

Po *Wprowadzeniu* – dzieli autor swą książkę na cztery części: I. *Architektura cerkiewna na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej w XVII w.*; II. *iw.* – w XVIII w.; III. *Architektura cerkiewna w Galicji*; IV. *Architektura cerkiewna w zaborze rosyjskim*, przy czym dwie ostatnie części dotyczą chronologicznie XIX w. i początku XX w., czyli po pierwszej wojnę światową. W okresie tym przyjęto dość istotny podział czasowy, zwłaszcza dla Galicji: do i od połowy XIX w., kiedy to następuje szczególna zmiana orientacji i wzorców w budownictwie cerkiewnym.

Trudno tu streszczać niezwykle wielostronną i bogatą problematykę zawartą w pracy P. Krasnego, warto jednak zwrócić uwagę na koleje dziejów architektury cerkwi, specjalnie na najbardziej interesującym nas obszarze polskich południowo-wschodnich ziem koronnych, czyli wschodniej Małopolski/Galicji.

Ten właśnie obszar był miejscem napływu Rusinów i Wołochów, którzy z czasem stali się tu większością wiejską – rolniczą i pasterską. Miasta i miasteczka, zakładane w dużej części w średniowieczu i wczesnym okresie ery nowożytnej, skupiały mieszczaństwo zrazu polskie i żydowskie, a także – w dużych miastach niemieckie, które w epoce zaboru austriackiego przybierało na sile, zresztą dość szybko się polonizując. Ludność ruska stanowiła najmniejszy procent w dużych miejsowościach, nieco większy – w mniejszych, a w najmniejszych – była porównywalna z żywiołem polskim i żydowskim.

Nie sposób tu mówić o jakiejś generalnej konsekwencji rozwojowej w XVII–XVIII w. – z omawianej książki wynika to dość jasno. Nie było bowiem jednoznacznego powtarzania ani zachodnioeuropejskiej linii rozwoju architektury od romańszczyzny po kla-



Monaster Bazylianów w Buczaczu (lata 1750-te)

sycyzm, ani bizantyńsko-ruskiej. Architektura cerkiewna na tym terenie wydaje się być miotana faktami i tendencjami polityczno-ideologicznymi, choć elementy wszystkich zachodnich i wschodnich stylów w niej się w jakimś stopniu uzewnętrzniają, choćby z racji nie tylko założeń ideowych, ale i różnego stopnia wycucia tematu ze strony najrozmaitszych twórców.

Niniejsze omówienie książki dra Krasnego, z racji określonego zainteresowania terytorialnego naszego pisma, nie odnosi się do całego zakresu problematyki w niej zawartej – na to brak nam wystarczającej wiedzy w zakresie historii sztuki i historii w ogóle – chcemy jednak podkreślić to, co nas zainteresowało szczególnie. Jest to więc obraz cerkwi greckokatolickich – jak powiedziano wyżej na terenie wschodniej Małopolski w okresie staropolskim (przed rozbiorem), kiedy nie dały jeszcze o sobie znać na dobre w społeczności ruskiej i jej Cerkwi ani tendencje moskalofilskie, ani nacjonalistyczne.



Cerkiew Wołoska we Lwowie, rzut (przełom XVI/XVII w.)

Otóż zwraca uwagę fakt, że duża część cerkwi wschodniomałopolskich XVII i XVIII w. nawiązywała wyraźnie – o czym wspomniano wyżej – do form architektonicznych kościołów zachodnich. Wchodziły w grę zapewne dwa podstawowe motywy: obecność na terenie ziem polskich oraz celowego wówczas odcinania się unitów od rosyjskiej tradycji prawosławnej. Z pierwszym motywem wiążą się oczywiście wzorce architektury rzymskokatolickiej oraz działalność twórców-architektów polskich lub do Polski przybyłych z Zachodu (głównie Włochów), a w końcu niewątpliwie prozachodnia orientacja hierarchów Cerkwi. Efektem działania tych czynników były projekty i realizacje obiektów opartych w dużej mierze na rzucie krzyża łacińskiego, trójnawowe. Warto zwrócić uwagę na parę najważniejszych cerkwi z omawianego obszaru: cerkiew Wołoska we Lwowie (przełom XVI/XVII w., pod wpływem kościołów renesansowych w wydaniu weneckim) oraz katedra św. Jura we Lwowie⁴ i cerkiew Zaśnięcia MB w Ławrze Poczajowskiej (obie z 2. połowy. XVIII w.) – niewiele różnią się od kościołów barokowych czy rokokowych. Dopiero zbyt bogaty (jak na zachodnie gusty – zwłaszcza w Poczajowie) wystrój wewnętrzny zdradza wschodnią kulturę. Do innych ważniejszych obiektów opartych na zachodnich formach świątyń można zaliczyć cerkiew (i cały monaster) bazylianów w Buczaczu, cerkiew w Zbarażu i dziesiątki mniejszych, które na pierwszy rzut oka wydają się być kościołami obrządku łacińskiego.

Obok wymienionego typu cerkwi budowano również w tym okresie i takie, które nawiązywały do innych wzorców. Są to rozwiązania centralne, być może oparte na tradycji prawosławnej (bizantyńsko-ruskiej sprzed XVII w.) – przede wszystkim z czasów parowiekowej przynależności Ziemi Czerwieńskiej do Rusi⁵, jak również z czasów późniejszych – proveniencji greckiej czy wołosko-mołdawskiej.

Obraz zmienia się w wieku XIX, zwłaszcza w jego drugiej połowie, gdy pod wpływem zmiany orientacji polityczno-ideologicznej coraz częściej pojawiają się budowle rodem z carsko-im-



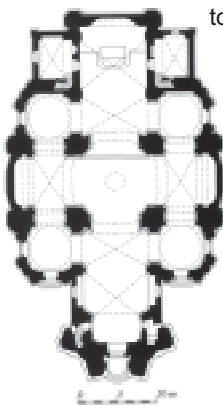
Cerkiew parafialna w Komarnie (1910)

perialnego prawosławia. Szczytem była implantacja rosyjskich neoklasycyźnych monumentów (przykład: Komarno), która stała się wzorcem dla licznych realizacji naszej doby za jałtańską granicą, o czym była mowa na początku tego omówienia.

Znakomita książka dra Piotra Krasnego daje ogromnie dużo materiału do poszerzenia i uporządkowania naszej wiedzy oraz zrozumienia historii i teraźniejszości.


- 1 Tzn. oparta w rzucie na tzw. *krzyżu greckim* – równoramiennym, w przeciwieństwie do świątyń zachodnich, opartych na *krzyżu łacińskim* – podłużnym.
- 2 Ta nazwa została przyjęta przy Unii Lubelskiej w 1569 r.
- 3 Przeważnie zabrane rzymskim katolikom w ramach tzw. *kasaty józefińskiej* z końcem XVIII w.
- 4 W tej kwestii trudno zgodzić się z autorem, że *konieczność korzystania niemal wyłącznie z cerkwi drewnianych była symbolem głębokiego poniżenia Kościoła Wschodniego w Rzeczypospolitej, ponieważ większość parafii była po prostu słabo uposażona i tak mizernie wspomagana przez kolatorów, że musiała sięgać po ów budulec jako znacznie tańszy od cegły i kamienia* (s. 25). Wypada więc zwrócić uwagę, że również większość wiejskich kościołów rzymskokatolickich była drewniana. Podobnie było nie tylko w Polsce, także w Niemczech, Szwecji... A co do kolatorów, to warto powołać się na omawianą w tym numerze książkę (niżej) Ł. Kaprałskiej *Pluralizm kulturowy i etniczny*... Sam autor parokrotnie pisze o hojnych kolatorach spośród spolonizowanej szlachty i magnaterii o korzeniach ruskich.
- 4 Cerkiew św. Jura posiada bardzo oryginalnie rozwiązany rzut poziomy: jego centrum stanowi układ oparty na krzyżu greckim z kopułą, jednak przez dodanie wydłużonej kruchty i prezbiterium odnosi się wrażenie rozwiąza-

Katedra św. Jura we Lwowie, rzut (lata 1740-te)




nia podłużnego, typowego dla kościołów łańcuchowych. Na zewnątrz nie wyeksponowano czterech kopulek narożnych, co świadczy o okcydentalizacji tej kompozycji architektonicznej.

- 5 Autor wymienia trzy typy takich budowli: krzyżowo-kopułowe, trójdziałne i trójkonchowe.

 Podkamień to znane sanktuarium maryjne we Wschodniej Małopolsce, podobnie jak Kochawina czy Łysiec. To także miejscowość, która miała w Polsce swoje wielowiekowe, chwalebne dzieje i nie mniej ważną historię obrony przed upowskimi rezanami.

Zbigniew i Stanisław Iłowscy napisali książeczkę **Podkamień. Apokaliptyczne wzgórze** (cz. I, drugiej nie mamy; Opole 1994). Opowieść składa się z 11 rozdziałów (i autorskiego wstępu). Z tych sześć omawia historię miasteczka oraz słynnego kościoła i klasztoru dominikanów. Kolejne trzy opisują dwie okupacje i apokalipsę ukraińskiego ludobójstwa. Rozdział XI poświęcony jest postaci dowódcy Samoobrony AK w Podkaminieniu, brodzianina Kazimierza Sołtysika (jego sylwetkę zamieścimy w następnym numerze); zawiera też listę osób pomordowanych przez banderowców (oczywiście niepełną). Ostatni rozdział omawia koniec wojny i exodus.

Bardzo ciekawy i ważny dokument.

 Książką ważną dla naszej – i nie tylko naszej – prywatnej i zbiorowej świadomości jest praca socjologiczna **Łucji Kapraleskiej: Pluralizm kulturowy i etniczny a odrębność regionalna Kresów południowo-wschodnich w latach 1918–1939** (Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2000). Książka dotyczy Małopolski Wschodniej (Galicji wchodniej, jak pisze autorka – po co?), nie dotyczy natomiast Wołynia, też zaliczanego wszak do Kresów południowo-wschodnich (co wynika z geografii), ponieważ całkiem różnie ułożyły się w tych regionach warunki historyczno-kulturowe (do ważniejszych przyczyn zróżnicowania przyczyniło się niewątpliwie „wychowanie” społeczeństwa w ciągu prawie półtora wieku – między rozbiorami a I wojną światową – pod wpływem Zachodu w Małopolsce i Wschodu na Wołyniu. Ale nie tylko).

Oczywiście najwięcej pisze autorka o wzajemnych relacjach polsko-ukraińskich – trzecią siłą byli dość liczni Żydzi (w niektó-

rych miastach stanowili 1/3, 2/5, a nawet połowę mieszkańców). Stosunkowo mało pisze o Niemcach, którzy po I wojnie stracili swoje znaczenie. Inne mniejszości narodowe – Ormianie i Karaimi byli na tyle nieliczni (lub jak Ormianie, całkowicie spolonizowani), że nie mogli wywierać większego wpływu na społeczno-polityczne życie regionu.

Ważne wydaje się wyodrębnienie przez autorkę od Rusinów-Ukraińców karpaccy górali: Huculów, Bojków i Łemków, których etniczne pochodzenie nie było ruskie, jednak wspólnota religii (najpierw prawosławie, później grekokatolicyzm) zawiązała ich z żywiołem ruskim, z przejęciem jego języka łącznie. Niemniej nie udało się całkowicie identyfikować tych górali z Rusinami-Ukraińcami (co zauważamy i dzisiaj na przykładzie Łemków w RP).

Autorka napisała we wstępie, że jej praca opiera się w głównej mierze na literaturze polskiej i pracach polskojęzycznych autorów, w niewielkim stopniu uwzględniając dorobek autorów ukraińskich i żydowskich, co z pewnością jest jej istotnym brakiem. Ależ nie! Całe szczęście, bo co sądzić o pracach tamtych uczonych podszytych nacjonalizmem – wiemy aż nadto dobrze.

Autorka omawia sprawę, którą w naszym kwartalniku często poruszamy: rutenizacji polskich chłopów, przeciwnie niż w warstwie szlacheckiej, gdzie szlachta o rodowdnie ruskim polonizowała się (dziś Ukraińcy nam to wytykają!). Przyczyny w obu warstwach są oczywiste: dla szlachty przyjęcie polskości stanowiło awans kulturowy, a w konsekwencji dostęp do udziału w życiu państwowym na jego wyżynach. Odwrotnie na wsi: polscy chłopcy wobec błędnej postawy szlachty i braku kościołów oraz analfabetyzmu siłą rzeczy wtapiali się w społeczeństwo ruskie. Bywało i tak, że polska szlachta – aby tym wyraźniej odgraniczyć się od chłopstwa, fundowała mu cerkwie, zmuszając Polaków-rzymskich katolików do przyjmowania obrządku wschodniego (przez chrzty, śluby itd.), co prowadziło do rutenizacji. O budowę kościołów nie dbali również łańcuchscy biskupi, a na katastrofalną sytuację religijno-narodową – z punktu widzenia katolicyzmu rzymskiego – zwrócili dopiero uwagę na przełomie XIX/XX w. sufragan lwowski bp Puzyra (późniejszy kardynał krakowski) oraz

abp Bilczewski, wszczynając na szeroką skalę budowę kościołów.

Opisuje też autorka próby repolonizacji szlachty zagrodowej (zruтиненizowanej w dużym stopniu), podjęte w latach trzydziestych XX wieku. W 1935 r. do utworzonego Związku Szlachty Zagrodowej należało 500 członków, a w 1939 – już 41 tysięcy. Akcja ta nie przebiegała bezkonfliktowo, budząc protesty i kontrakcje ze strony inteligencji ukraińskiej, nastrojonej nacjonalistycznie. Tej było na prowincji więcej niż polskiej, ponieważ młodzi Polacy, którzy zdobyli wykształcenie, przechodzili do miast, awansowali, wiązali się z Wojskiem Polskim. Inteligencja ruska pozostawała i w swoich okolicach podejmowała akcję *pracy organicznej* (zakładanie spółdzielni itp.). Pomagali w tym wydatnie księża unicy, a także organizacje typu OUN.

Takie i podobne problemy opisuje szeroko Ł. Kaprańska, jej książka więc otwiera nam oczy na sytuację ogromnych zaniedbań ze strony polskiej od XIX w., którym władze polskie próbowały się przeciwstawić dopiero w okresie międzywojennego 20-lecia. Nie wiemy, jak by się to skończyło, bo wszystko przekreśliły dwie tragiczne daty: 1 i 17 września 1939 roku.

📖 Dotarł do nas via Lwów dość obszerny I tom wydawnictwa naukowego o tytule **Ucrainica-Polonica**. Jest to zbiór kilkudziesięciu artykułów, napisanych przez naukowców polskich i ukraińskich z terenu Ukrainy oraz z RP, wydany w Żytomierzu (2004). Omawiany tom jest poświęcony prawie w całości Wołyniowi. Artykuły dotyczą historii politycznej starej i nowej, historii kultury, Kościoła, wybitnych postaci.

📖 Trzeba podziwiać aktywność naukową i wydawniczą pań **Barbary Maresz i Marioli Szydłowskiej**. W poprzednim numerze omawialiśmy świeżo wydany tom o *Bibliotece Teatru Lwowskiego* B. Maresz, a tu nadeszły z Katowic dwa kolejne tomy z serii **Repertuar teatru polskiego we Lwowie**, z dwóch okresów na samym przełomie wieków XIX/XX: **1894–1900 i 1900–1906**.

Pierwszy okres to 7-lecie kończące wiek XIX, a zarazem wiodącą we Lwowie rolę zasłużonego Teatru Skarbkowskiego* (działającego od 1842 r.) pod dyrekcjami Z. Przybylskiego, L. Hellera i J. Bandrowskiego. Drugi, rozpoczynający wiek XX i równocześnie działalność świeżo otwartego Teatru Wielkiego** (wtedy nazywano go Miejskim), to czasy bardzo ważnej w dziejach lwowskiego teatru dyrekcji T. Pawlikowskiego.

Repertuar przedstawiony w obu tomach uwzględnia wszystkie rodzaje przedstawień: dramatyczne, muzyczne (oper, operetki i koncerty) oraz inne rodzaje widowisk, odbywające się w pierwszym okresie nie tylko w Teatrze Skarbkowskim, lecz również w Teatrze Letnim oraz w teatrze na Wystawie Krajowej***, zaś w drugim okresie wyłącznie w Teatrze Wielkim. Odnotowano także występy gościnne obcych zespołów.

Wszystko to przedstawia niezwykle barwną mozaikę życia teatralnego. Przy każdym z przedstawień podano oczywiście obsadę: ile wspaniałych nazwisk! Np. *Makbet* (grudzień 1902): Modrzejewska, Feldman (tak, ojciec Krystyny Feldman – *Pani Nikifor*), Solski, Węgrzyn itd. Albo całkiem nam nieznaną sztukę *Wesele Sobeidy* (grudzień 1904), a w niej: Adwentowicz, Solska, Solski, Węgrzyn... Dowiadujemy się też, ile razy zagrano każdą ze sztuk: niestety, *Makbeta* trzy razy, tę drugą dwa razy. A grano przecież codziennie. W efekcie np. w grudniu 1904 r. było aż sześć premier. Trzeba się było napracować!

* Pożegnalne przedstawienie odbyło się 19 września 1900 r.

** Inauguracyjne przedstawienie 4 października 1900 r.

*** Pamiętamy: rok 1894 – w stulecie Raclawic (stąd Panorama Raclawicka wykonana dla Wystawy).

📖 Nasza biblioteka przewodników po Małopolsce Wschodniej wzbogaciła się wreszcie o opracowanie obejmujące – poza Lwowem i kilkoma ważniejszymi miastami – szeroki zakres miejscowości, czego dotąd, w latach powojennych nie mieliśmy poza reprintami Orłowicza sprzed wojny! Nową i satysfakcjonującą pozycją (jak na dzisiejszą sytuację) jest **Ilustrowany przewodnik po zabytkach Galicji Wschodniej Zbigniewa Hausera** (wyd. Burchard Edition, War-



szawa 2004). Jak z samego tytułu wynika, przewodnik nie obejmuje obiektów związanych z geografią, przyrodą czy zbiorami. Nie omawia ponadto całego obszaru Małopolski Wschodniej, a jedynie dwa województwa – lwowskie i stanisławowskie. Może dla Tarnopolszczyzny będzie osobne opracowanie?

Przewodnik obejmuje – poza Lwowem i Stanisławowem – ponad 300 miejscowości, co w takim zakresie, po kilkudziesięciu latach upadku, zdarza się po wojnie po raz pierwszy. W każdym haśle znajdujemy opis zabytkowych obiektów i ich krótką historię (dla rezydencji także nazwiska kolejnych właścicieli). Ważne – czego dotąd nie praktykowano: opisano każdorazowo miejscowy cmentarz.

Dostaliśmy więc niezwykle wartościową informację o zabranej nam Ziemi, pożyteczną nie tylko dla turystów.

Mamy zastrzeżenia do wstępu od Wydawcy. Po pierwsze – dziś już wiemy, że najpierw nie była to Ruś Czerwona, lecz ziemia prapolskich Łędzian (uzasadniają to m.in. profesorowie G. Labuda, J. Nalepa i inni). Łędzian-Lachów najechał w 981 r. książę kijowski Włodzimierz zwany Wielkim i wtedy nastąpiła tam na ponad 350 lat Ruś Czerwona. Po drugie: ani słowem nie wspomniano nazwy *Małopolska Wschodnia*, która istniała od XVI w., a stosowana była szczególnie w okresie 20-lecia międzywojennego – gdy austriacka nazwa *Galicja* zdezaktualizowała się po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Używana jest także dziś (wyjąwszy niektórych politycznie poprawnych historyków i publicystów). Przecież to kwestia naszej godności...

W Bibliotece „Wołania z Wołynia” ukazał się już 36. tom: **Krzemieniec** – reprint przedwojennego przewodnika (autor nie podany, Biały Dunajec–Ostróg 2005). Opiszano miasto i ciekawsze miejscowości w okolicy. Sporo zdjęć, wykonanych w tamtych czasach przez znakomitego fotografa Henryka Hermanowicza, pedagoga w Liceum Krzemienieckim.

W CL 2/02 omawialiśmy wspomnieniowe książki **Stanisława Klimpla** – *W Dolinie*

Wyrwy i *W dolinie Pełtwi*. Trzecią, *W dolinie Strwiąża*, pominęliśmy, ponieważ dotyczy ona miejsc, które nie należą do ścisłego obszaru geograficznego naszego zainteresowania (pozostały po zachodniej stronie jałtańskiej granicy).

Tymczasem do naszych rąk dotarła II część tej ostatniej: **W dolinie Strwiąża. Chyrów** (Gliwice 2001) – to już coś dla nas! Przypomnijmy dla wyjaśnienia, że rzeczka Strwiąż, płynąc spod Ustrzyk Dolnych przekracza kordon i uchodzi do Dniestru*. Po tamtej stronie leży właśnie Chyrów**.

Chyrów to przede wszystkim znany Zakład Naukowo-Wychowawczy oo. Jezuitów (potocznie zwany konwiktem jezuitckim). Tam właśnie autor pobierał naukę gimnazjalną w latach 1924–27, a kontynuował w IV Gimnazjum we Lwowie (tamże zdał maturę w 1934 r.).

Owe trzy lata spędzone w Chyrowie wspomina Klimpel z sentymentem. Opisuje tryb nauki, profesorów i kolegów. Do tekstu wspomnień dołączył biogramy 36 księży jezuitów, z którym zetknął się w konwikcie. Książkę kończy zestaw ok. 20 starych zdjęć z Chyrowa i Zakładu.

Ze wszystkich czterech tomów wspomnień S. Klimpla ten podoba nam się najbardziej.

* Strwiąż – patrz *Słownik* w CL 2/2000.

** Chyrów – patrz *Słownik* w CL 1/98 oraz omówienie innych książek o nim w CL 4/2000, 1/01

Skromność szaty wydawniczej tej niewielkiej książeczki jest odwrotnie proporcjonalna do jej uroczej zawartości. Uroczej podwójnie: bo jest zbiorkiem lwowskiej poetki przełomu wieków (tamtych wieków: XIX i XX!), ale także i z tego powodu, że wstęp, komentarze i przypisy są nie tylko kompetentne, lecz zarazem pełne ciepła wobec Poetki i jej Lwowa. Książeczka ta – to **Maryli Wolskiej** – *O tamym Lwowie* (Wydawnictwo T.P. Warszawa 1999 – nadal dostępna w warszawskich księgarniach).

Tomik nosi podtytuł: *Pamiętnik liryczny*, a wiersze w nim zawarte pochodzą z III części zbioru M. Wolskiej – *Dzbanek malin* z r. 1929 i dotyczą wybitnych postaci lwowskich, które poetka знаła osobiście lub z rodzinnych wspomnień: A. Grotgera, S. Goszczyńskiego, malarza F. Tepę, Brata

Alberta Chmielowskiego, aktorkę A. Aszpergerową, rodzinę Żulińskich. Między tymi przewijają się „cały Lwów” tamtej epoki: ludzie, miejsca, wydarzenia. Do tego wszystkiego Jan Zbigniew Plebanek dopisał doskonałe wyjaśnienia i zilustrował zdjęciami z owych czasów.

Tu przychodzi nam na myśl, by zorganizować kiedyś wycieczkę tematyczną (albo serię takich wycieczek), poświęconą takiej czy innej epoce dziejów Lwowa, jego nieżyjącym ludziom i istniejącym po nich pamiątkom. Byłaby to niby taka sama wycieczka, jak wszystkie inne, ale ze szczególnym wykorzystaniem wybranych dla tej opowieści miejsc, obiektów, grobów, innych miejscowości. Na przykład dla rodziny i otoczenia Maryli Wolskiej: Grottger, Wanda Monnee i Wolscy, willa „Zaświecie”, cmentarze Lyczakowski i Orląt, Storożka k. Skolego, Bubniszcze... Sądzimy, że chętni by się znaleźli.

📖 Ostatnio parokrotnie pojawiało się na naszych łamach nazwisko **Bogdana S. Kasprowicza** – w poprzednim numerze wydrukowaliśmy jego wiersz na śmierć Ojca św. Jana Pawła II. Teraz dotarł do naszych rąk tomik wierszy o zgoła innym charakterze: **Wypijmy za Lwów. Wiersze dla i od przyjaciół** (wyd. Instytut Lwowski, Warszawa 2005). Są to poetyckie zabawy, wymyślane *ad hoc* dla rozbawienia towarzystwa, które – jak pisze autor we wstępie – nawiązują do słownych improwizacji, uprawianych przez poetów i artystów, którzy spotykali się we Lwowie w knajpie „Atlas” przy Rynku 45 (jak niegdyś w Krakowie w Jamie Michalika). U pana Edzia Tarlarskiego bywali luminarze polskiej literatury od Leopolda Staffa i Jana Kasprowicza po Henryka Zbierzchowskiego i Jana Parandowskiego, a ich okolicznościowe utwory szybko stawały się w mieście ogólnie znane.

Tu cytujemy wierszyk-toast zadedykowany przez autora Januszowi Wasylkowskiemu: *10 tomów „Rocznika Lwowskiego”*. Z Panem Januszem rozmawialiśmy także w poprzednim numerze. Tak się wszystko zbiega...

*Łatwo się pisze
wiersze o miłości
szczególnie jeśli
to miłość jest do Lwowa
właściwie samo
to co w sercu*

*ubiera się
w najszczerze słowa*

*Trudniej prowadzić
HOCH INSTYTUT
szczególnie jeśli
człowiek sam jest
jak ten palec w...
bez biur bez ludzi bez budżetu
bez sekretarki i bez klozetu
ech cicho
lwowskie serce głupie...*


*Łatwo się wznosi toast
za Instytut Lwowski
sto lat niech żyje
Janusz Wasylkowski*

📖 Red. Tadeusz Olszański w swoim artykule (*Węgrzy w Stanisławowie*), zamieszczonym w poprzednim numerze, wspominał o książce **Stanisława Fudalego** (i zarazem wydawcy): **80 miesięcy w kleszczach sierpa i młota** (Szczecin 2004). S. Fudali, urodzony w Stanisławowie w 1929 r., został 12 kwietnia 1940 r. wraz z matką i bratem deportowany do północnego Kazachstanu. Do Polski udało mu się wrócić w maju 1946 r.

Książka (o 550 stronach) ma charakter wspomnieniowo-pamiętnikarski, pisana w oparciu o kopie autentycznych dokumentów, listów, druków, gazet, ale także dokonywanych niemal *na gorąco* notatek od momentu wywózki. Są to więc przeżycia i doznania paronastoletniego chłopca, pisane z perspektywy 70-letniego człowieka, z zachowaniem w większości chronologii wydarzeń. Autor wyznaje jednak, że z takiej perspektywy czasu nie da się w pełni przekazać autentyzmu odczuć 10–16-letniego chłopca, bowiem towarzyszy im nabyte w ciągu lat doświadczenie życiowe, refleksja i ogólniejsze spojrzenie na ówczesne wydarzenia. Dodaje też, że jako *świadek tamtych czasów i miejsc spełnił* swoją powinność, składając *relację z tamtych dni i przeżyć*.

Książka została wyróżniona I nagrodą w dziale pamiętnikarskim 34. edycji konkursu *Dzieje szczecińskich rodzin*. (KS)

Do nabycia u autora: Stanisław Fudali, ul. Seledynowa 3/6, 70-781 Szczecin. Tel. (91) 463-10-71, e-mail: fudalist@avanti.net.pl


 Pan **Emil Hlib** nadesłał nam z Wrocławia tomik swego autorstwa, pt. **Piosenki lwowskie i kresowe** (rok wydania?), za co bardzo dziękujemy. Jest to śpiewnik, który zostanie zapewne z aplauzem powitany przez nasze ekspatrianckie środowiska, a także w licznych szkołach, z tymi pod wezwaniem „Orląt Lwowskich” na czele.

Mieliśmy już kilka książek o lwowskich piosenkach – zjawisku w polskiej kulturze nieporównywalnym (może z Warszawą, ale to i tak nie to!), poczynając od 7 zeszytów opracowanych przez dra Stefana Uhmę i wydanych w Londynie, poprzez Wasylkowskiego, aż po Kurzową i Habelę. Te jednak albo dawno się wyczerpały, albo nie bardzo nadają się jako śpiewniki, nowe więc opracowanie jest bardzo na czasie.

To oczywiście nie jedyny powód do satysfakcji. Także i to, że zbiorek E. Hliba został skompletowany i opracowany w sposób kompetentny. Autor zna te piosenki od dzieciństwa – w jego domu zawsze je śpiewano, sam zaś ma wykształcenie muzyczne i – wielkie zamiłowanie. Do śpiewnika podchodzi z potrzeby serca, a nie profesji. Jednak, jak donosi, wiele tekstów zostało poprawionych i uzupełnionych, co świadczy o dobrej znajomości tematu. Do zbioru weszło kilka piosenek powstałych w londyńskim środowisku lwowian, przede wszystkim Hemara.

Zbiorek został poszerzony o różne piosenki, których nie da się podciągnąć ani pod lwowskie, ani kresowe (z tych ostatnich znalazły się także wileńskie). Nie mamy nic przeciwko sybirackim, które dobrze wpisują się w etos kresowy, powstają jednak wątpliwości, czy tu akurat potrzebne były znane skądinąd przeboje jak *Lili Marten* i polskie co prawda, lecz nie lwowskie – nawet jeśli były kiedyś we Lwowie śpiewane (jak w całej Polsce). Podobnie warszawskie, harcerskie, a już całkiem naszym zdaniem niepotrzebne – niepolskojęzyczne. O to byśmy się z autorem uroczego śpiewnika spierali.

W tym numerze przedstawimy mało u nas znaną piosenkę Mariana Hemara (słowa i muzyka!) *Rozmowa z księżycem*, dedykowaną Pani Władzie Majewskiej.


 Nie wszyscy wygnańcy z wschodniomałopolskich i wołyńskich wsi, których bezpośrednio dotknęły tragiczne wydarzenia z rąk ukraińskich zbrodniarzy, byli w stanie opisać to, co przeżyli w swych rodzinnych

miejsowościach, gdzie współżyli i wiązali się rodzinnie z sąsiadami Rusinami-Ukraińcami. Spisywanie takich relacji leżało przeważnie poza ich możliwościami; wszak przeważnie byli to ludzie prości. Ale nie tylko dlatego – na przeszkodzie stanęły głębokie urazy psychiczne doznane w tamtych dniach bezprzykładnej grozy. Można się więc tylko domyślać, że wiele straszliwych przeżyć pozostało tylko w pamięci ich ofiar.

Było jednak wielu, którzy opowiadali, a w jakiejś liczbie przypadków znaleźli się wykształceni młodzi ludzie – dzieci, wnuki – urodzeni już po tamtej hekatombie, którzy uważnie słuchali i notowali.

Do takich właśnie należy **Stanisława Stadher**, urodzona w 1945 r. na terenie Czech, gdzie znaleźli się jej rodzice, wygnani z rodzinnego domu i ziemi. Potem osiedli na Opolszczyźnie. Stanisława ukończyła polonistykę we Wrocławiu, mieszka w Słupsku, gdzie pracowała jako nauczycielka. Podjęła pracę literacką, a jej debiutem stał się zbiorek opowiadań pt. **Kresy nadziei** (Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne, Radom 2004).

Swoje opowiadania oparła na wspomnieniach rodziców i innych dawnych mieszkańców wsi Polikrowy k. Podkamienia w powiecie złoczowskim. Trudno te relacje czytać spokojnie, bo każda z czternastu przedstawia wydarzenia przerażające. Z lektury – zresztą nie tylko tej książeczki – potwierdza się istotna informacja: mordercami i wyjątkowo okrutnymi oprawcami bezbronnych Polaków byli nie tylko *dzielni żołnierze* OUN-UPA. Byli nimi ukraińscy sąsiedzi, nierzadko krewni – szwagrowie, siostrzeńcy... Nawet mężowie.


 Książka ukazała się przed kilkunastu laty, mamy ją nawet z dedykacją autora. Niestety tytuł tych wspomnień: **Lwów nie każdemu zdrow** nie zachęcił do czytania. Po co się denerwować?

Dopiero teraz, paręnaście dni po śmierci **Leszka Dziegla**, krakowskiego etnografa, wzięliśmy do rąk jego lwowskie wspomnienia (wyd. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1991). Podejrzenia okazały się bezpodstawne, wypadaloby więc przeprosić Autora, który – może bez szczególnego rozmyślenia, ale rzeczowo, nawet z sympatią, opowiada o mieście swego dzie-

ciństwa, nie będącym jednak jego miastem rodzinnym.

Rodzina Dzięglów znalazła się we Lwowie przed samym wybuchem II wojny, ojciec bowiem, profesor gimnazjalny w Katowicach, bał się coraz bardziej agresywnego niemieckiego nacjonalizmu. Zamieszkali na kolonii profesorskiej na górnym Łyczakowie przy ul. Ptaśnika 35. We Lwowie pozostali aż do „repatriacji” w 1945 r.

Autor opowiada o lwowskim życiu swojej rodziny, o szkole i kolegach, opisuje obie wojenne okupacje. Był bystrym obserwatorem, potem inteligentnym człowiekiem, więc narrację wzbogacił wieloma odniesieniami, dygresjami, cytatami. Po wyjeździe ze Lwowa znalazł się z rodzicami na powrót w Katowicach, ale studiował i ostatecznie osiadł w Krakowie i związał się z UJ. Jako etnograf wiele podróżował, aż we wrześniu 1990 r. przedsięwziął podróż sentymentalną do Lwowa. Spisał relację niby *na zimno*, ale wzruszenia nie dały się ukryć...

 Od p. **Joanny Sibigi** – wnuczki p. Jądwi Sibigi, b. prezeski TMLiKPW w Jarosławiu – otrzymaliśmy (za pośrednictwem Babci) ciekawą pracę magisterską pt. **Lwów w piśmiennictwie lat 1989–1997**. Praca została wykonana w r. 2001 w Instytucie Historii UJ w Krakowie pod kierunkiem prof. Juliana Dybca. W obszernej pracy (ponad 100 stron A4) autorka omówiła cztery typy wydawnictw książkowych, które ukazały się w ciągu ośmiu ważnych, bo pionierskich lat po upadku komunizmu. Są to: I. Dzieje Lwowa, II. Lwów we wspomnieniach, III. Architektura i sztuka Lwowa – przewodniki po mieście, IV. Lwowski humor i satyra.

Autorka oczywiście nie omawia poszczególnych pozycji wydawniczych – uwzględniła ich ok. 140 – lecz charakteryzuje poruszaną w nich tematykę. W części pierwszej (ok. 1/3 opracowania) skupia się raczej na problematyce historiograficznej i kulturowej (nauka, literatura, publicystyka, wydawnictwa), nie poruszając na ogół spraw konfliktowych, polsko-ukraińskich. Nie wchodzi też w tematykę społeczną i gospodarczą z prostej przyczyny: wydawnictw na te tematy nie ma. Warto przy okazji zwrócić uwagę, że przed kilku laty zespoły kierowane przez prof. H. Madurowicz-Urbańską i doc. K. Zamorskiego opracowały serię kilkunastu

tematów z zakresu demograficznych, urbanizacyjnych i cywilizacyjnych dziejów Lwowa, dotąd nie wydanych (patrz CL 2/99).

Jest takie zdanie w pracy J. Sibigi, z którym zgodzić się nie możemy, jest bowiem krzywdzącą nieprawdą wobec lwowskich Polaków, w szczególności naszej inteligencji. Brzmi ono następująco:

Specyficzna polityka sprawiała, iż Sowieci zyskali we Lwowie sojuszników wśród polskiej napływowej i miejscowej inteligencji. Sprzyjały temu silne przedwojenne sympatie lewicowe oraz reakcja społeczeństwa na klęskę wrześniową, przeżywaną w atmosferze pretensji wysuwanych pod adresem sanacyjnego rządu. Jednocześnie twórcy, zdecydowani gloryfikować nową rzeczywistość, stanowili warstwę uprzywilejowaną...

Otóż rzeczywiście przybyła do Lwowa – uciekając przed Niemcami – pewna liczba dość kontrowersyjnych politycznie postaci, głównie z Warszawy i Krakowa, by wymienić przykładowo Wandę Wasilewską, Polewkę, Wata, niestety Boya-Zeleńskiego itd., ze strony lwowskiej natomiast były to nieliczne osoby (trudno nam je tu bliżej określać – pozostawiamy to domyślności Czytelników), które można by policzyć *na palcach jednej ręki*.

Natomiast ustęp kończący część pierwszą, wydaje się godny zapamiętania:

Podsumowując dokonaną tutaj próbę omówienia piśmiennictwa dotyczącego zagadnień związanych z historią miasta Lwowa, zasadne wydaje się przypomnienie, iż jeszcze wiele tematów czeka na rzetelne naukowe opracowanie. [...] Dopiero poparte wszechstronnymi badaniami i opatrzone naukowym komentarzem pomogą nakreślić obraz dawnego Lwowa; niemożliwe jest to jednak bez spożytkowania innych dostępnych źródeł i archiwaliów. Najważniejszy wydaje się jednak fakt, iż zapoczątkowano intensywne studia nad historią Lwowa; dotychczasowe badania bowiem, przeprowadzone kilkadziesiąt lat temu, nie dorównują dzisiejszej historiografii innych polskich miast (podkr. red.).

Otóż to – mimo z pozoru licznych wydawnictw na temat Lwowa (i w ogóle Ziemi Wschodnich), ich ilość jest ułamkiem w stosunku do tego, co napisano o miastach i regionach, wydarzeniach i problemach oraz ludziach dawnej Polski. Są to rzeczy niepo-

równywalne. Stąd idea Instytutu Kresów Wschodnich*.

W drugiej części autorka omawia wspomnienia, które dotyczą głównie środowiska inteligencji lwowskiej oraz ludzi kultury z czasów przedwojennych, z czasu wojny, ekspatriacji, emigracji.


Trzecia część opisuje najpierw przetrzynany rozwój Lwowa – od czasów ruskich aż po wiek XX. Tutaj musimy zwrócić uwagę na fakt, że przed paroma laty, gdy powstawała omawiana praca, nie były jeszcze brane pod uwagę najnowsze badania – zawinił tu zapewne nasi historycy przełomu XIX/XX wieku, którzy w sposób bezkrytyczny przyjmowali praruskość tej ziemi. Dziś już wiemy, że jest to nieprawda; ziemię tę przed napływem Rusinów w X wieku zamieszkiwali Lędzianie – plemię prapolskie, jak Polanie, Wiślanie, Ślężanie i jeszcze parę innych (piszemy o tym dużo w ostatnich numerach). Tak więc książkę Daniel, uchodzący przed Tatarami z Halicza, nie wybrał miejsca w dzikiej okolicy, lecz musiał tu zastać osadę wcześniejszą, zlokalizowaną blisko skrzyżowania odwiecznych dróg z zachodu na wschód** i z południa na północ – od Dniestru do Bugu, przez naturalne obniżenie między Roztoczem a Gołogórami.

Część czwarta mówi o tym, co lwowiakom było najbliższe: o batiarach, Wesołej Fali, piosenkach...

Jesteśmy przekonani, że praca magisterska Joanny Sibigi mogłaby być – po pewnych zmianach i rozbudowie – wydana w formie książki. Gorąco do tego zachęcamy.

* W CL 1/05 omawialiśmy ideę utworzenia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Starania są prowadzone kilkoma torami.

** Dr Piotr Krasny obiecał nam opis historyczny *Wysokiej Drogi* z zachodu na wschód.

 Bardzo pochwalamy pracę **Władysława Szklarza** (i Oddział Buczaczy TMLiKPW we Wrocławiu, który jej wydanie sponsorował): **Ostatni spoczynek Buczaczan** (Wrocław 2004). Książka ta doskonale wpisuje się w propagowaną przez nas akcję, którą nazwaliśmy *Archiwum Wschodnich Małopolan*.

Autor (wraz z gronem współpracowników) zestawiał miejsca pochówku dawnych mieszkańców Buczacza i powiatu buczacz-

kiego zarówno na ich ziemi ojczystej (od przełomu XVIII/XIX w.), jak i tam, gdzie znaleźli się po wygnaniu – oczywiście tych, których udało się zidentyfikować wedle napisów na istniejących nagrobkach. Biorąc pod uwagę, że ogromna część grobów uległa zniszczeniu już to przez upływ czasu, już to na skutek celowego niszczenia w czasie i po II wojnie – jest oczywiste, że tylko jakaś część zmarłych została odczytana. Ważne jest jednak to, że występuje tu wiele nazwisk rodzin z tamtego terenu, a także miejsca ich osiedlenia po ekspatriacji.

Przy ogromnej wartości merytorycznej książki W. Szklarza trzeba z żalem stwierdzić jej niedostateczną czytelność. Pomógłby w tym jakiś klucz podany na początku książki – np. wedle nazw miejscowości, a także prostszy układ graficzny (np. nazwiska niepotrzebnie wytłuszczone i jeszcze podkreślane, a tytuły nie). Spis treści nie ułatwia takiej orientacji.

Wertując wydawnictwa

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” 130/05 ukazał się **artykuł red. Włodzimierza Knapa** (jak zawsze znakomity) pt. *Mentalność okupanta*. Pozwalamy sobie zacytować kilka najciekawszych zdań.

Eksperci wyliczają, że wartość utraconych przez Polskę dóbr kultury, które Sowieci wywieźli na początku II wojny światowej z samego Lwowa (podkr. red. CL) wynosi – według obecnych cen – około 11 mld dolarów. Moskwa do dzisiaj nie przyznała, że konfiskaty zabytków i dzieł sztuki wywiezionych z terytorium Rzeczypospolitej między 17 września 1939 r. a 21 czerwca 1941 r. oraz w latach 1944–1947 były bezprawne.

Z kolei straty kulturalne Polski spowodowane przez Niemców w okresie II wojny światowej wyniosły – jak szacują fachowcy – około 15 mld dolarów. [...] Autor monumentalnej pracy „Dziedzictwo kultury polskiej. Jego straty i ochrona prawna” [prof. Jan Pruszyński z Instytutu Nauk Prawnych PAN] podkreśla jednak, że rząd niemiecki nie neguje faktów grabieży i niszc-

czenia naszego dorobku kulturalnego przez swoją poprzedniczkę prawną, czyli III Rzeszę. [...]

Dr Dariusz Matelski z Uniwersytetu w Poznaniu, autor pracy „Problemy restytucji polskich dóbr kultury”, przyznaje, że polskie roszczenia wobec Rosji traktowane są w Moskwie jako przejawy antyrosyjskości, a nie jako naturalne prawo do odzyskania utraconej własności państwowej i prywatnej. [...]

Rosjanie uznali [w dokumencie z r. 2000], że nie może być mowy o zwrocie jakichkolwiek dóbr kultury, które trafiły do ZSRR po 17 września 1939 r., i wszelkie roszczenia w tej sprawie są bezpodstawne.

Rząd Mazowieckiego interesował się m.in. znaczącą częścią zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 2142 obrazami i rzeźbami z galerii Lwowa, prawie 800 dziełami sztuki, które znajdowały się w Muzeum Lubomirskich, oraz 216 obrazami i rzeźbami ze zbiorów Dzieduszyckich. [...]

I tak dalej. Oczywiście grabież sowiecka nie ograniczyła się do samego Lwowa. W sumie nasze straty po stronie sowieckiej w sposób istotny górują nad stratami po stronie niemieckiej.

➔ Zmarły Ojciec Święty miał – obok abpa S. Dziwisza – jeszcze drugiego sekretarza. Był nim **ks. Mieczysław Mokrzycki**, pochodzący ze Lwowa (obecnego). Prasa doniosła („Dziennik Polski” 84/05), że ks. Mokrzycki opuścił Pałac Apostolski i – wedle nieoficjalnych wiadomości – rozważa, czy powrócić do rodzinnego miasta, czy pozostać w Rzymie, np. w Kolegium Ukraińskim(?).

➔ Niezwykle **zainteresowanie papieżem**, które objawiło się w związku z wydarzeniami kwietniowymi w Watykanie, spowodowało – jak sądzimy – opublikowanie w „Gazecie Wyborczej” z 18 IV ‘05 ciekawego artykułu Krzysztofa Cwiklińskiego *Wolne weto Polaka*. Autor przypomniał tam wydarzenie na konklawe sprzed wieku, gdy w 1903 r. zmarł Leon XIII, a jednym z głównych kandydatów do tiary papieskiej stał się kard. Rampolla, związany z Francją i jej politycznymi interesami, a niechętny Polsce, podzielonej wtedy między trzech zaborców; rozbiory Polski uważał za akt pozytywny

i nieodwracalny. Natomiast Francja dążyła do bliskiego związania się z Rosją, a to wpłynęłoby negatywnie na dążenia Polaków do odzyskania niepodległości. Przeciwni Rampolli, z innych powodów oczywiście, byli też Austriacy.

Wybitni politycy polscy postanowili zapobiec wyborowi Rampolli i skłonili do zadziałania – przy okazji konklawe – kardynała krakowskiego Jana Puzyńkę, wcześniejszego sufragana lwowskiego (urodzonego w Gwoźdźcu k. Kołomyi). Na pomoc przyszło stare prawo weta, jakie mieli wobec Watykanu cesarze habsburscy, a także inni europejscy królowie katoliccy. Uważniony przez Franciszka Józefa, Puzyňa do wyboru Rampolli nie dopuścił. Nieznający prawdziwego tła postępków Puzyńki, uważali, że dał się wykorzystać dla interesów Austrii. Było jednak odwrotnie: weto wynikało z inicjatywy Puzyńki, a cesarz je oczywiście poparł.

Co do kardynała Puzyńki – trzeba dodać, że cieszył się we Lwowie wielką sympatią. To on pierwszy zauważył katastrofalny brak kościołów we wschodniej Galicji, co doprowadzało do rutenizacji Polaków, zmuszonych do uczęszczania do cerkwi. Zapoczątkowane przezeń wielkie dzieło naprawy tego stanu kontynuował abp Józef Bilczewski, dziś już święty. W 1894 r. Puzyňa został biskupem krakowskim, a w 1901 r. kardynałem. W Krakowie nie zyskał sympatii takiej, jak we Lwowie.

Zwróćmy uwagę na pewną analogię między tamtymi i dzisiejszymi czasami: ciągoty Francji (i Niemiec) do Rosji – dla nas i dziś równie niekorzystne. Tyle że nie mamy dziś takich polityków i działaczy jak ówczesni, którzy niebezpieczeństwo widzieli i umieli rozwiązać. A byli to: Ludwik Zyberk-Plater ze stron kurlandzko-wileńskich, Agenor Gołuchowski z Tarnopolskiego i kardynał Jan Puzyňa z Pokucia. Byli po prostu z Kresów...

Jeszcze jedna uwaga: Redakcja GW zamieściła po artykule K. Cwiklińskiego komentarz *Jonasza* (nie wiemy, kto to jest), który rozważa, czy słuszne było weto Puzyńki; czy dzięki Rampolli Sobór Watykański II nie odbyłby się wcześniej? Bo przecież Puzyňa od Rampolli *różnił się tylko stosunkiem do niepodległości Polski*. Bagatela! Zawsze można znaleźć coś, co mogłoby zdezauduować patriotyzm, działanie na rzecz interesów narodowych. Te p. Jonaszowi i jego gazecie są wszak obce... Podobne szpilki można znaleźć niemal codziennie (jeśli się tę gazetę w ogóle czyta).

➔ W krakowskich środowiskach niepodległościowych powstała koncepcja zorganizowania **Ogrodów Pamięci** – Parku II Rzeczypospolitej, którego przestrzenne zagospodarowanie ma się stać – poprzez elementy informacji, znaki i symbole – ilustracją historii naszego dwudziestolecia międzywojennego.

Inicjatorem projektu jest Andrzej Madej, przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Założycielskiego Ogrodów Pamięci Polskiego Państwa Podziemnego. Jego matka była żołnierzem AK i nauczycielką tajnego nauczania w Czortkowie. Jej przekonaniem było, iż Polska jest po Zbrucz, bo tam obowiązywały wartości uznane w polskiej kulturze.

Obecnie idea PPP została rozszerzona na całokształt II Rzeczypospolitej oraz upamiętnienie najważniejszych a zapomnianych wydarzeń historii 20-lecia.

Odbył się konkurs dla studentów architektury na koncepcję programowo-przestrzenną Parku. Wpłynęły 23 prace, a I miejsce zdobyła Anna Michałek, studentka IV roku Politechniki Krakowskiej. Istotą jej koncepcji jest zielona polana z zakreślonymi granicami Polski przedwrześniowej oraz głównymi rzekami. Na tym tle mają powstać odpowiednie elementy informacji, znaki i symbole.

➔ *Niezawodna* „Gazeta Wyborcza” (21 IV) wydrukowała list swego czytelnika, niezwykle dotkniętego krakowską **wystawą o ukraińskim ludobójstwie** (opisaną w CL 2/05, s. 47). Pan Kuglin (?) zapytuje w *czym interesie...* itd. itp., skoro – jak uważa – nawet sprawa Cmentarza Orłąt jest na finiszu (no, niewiele brakowało, żeby nie była na finiszu...).

Tak rozumując, warto by zapytać, dlaczego zajmujemy się ciągle Oświęcimiem, skoro mamy takie świetne stosunki z Niemcami, dlaczego Katyniem i innymi zbrodniami przeciw narodowi polskiemu, którym rzezie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej wcale nie ustępują? A nacjonalizm ukraiński jest ciągle żywy, nawet pomimo całego (czy nie przesadnego?) zaangażowania się niektórych Polaków i niektórych polskich środowisk w poparcie *pomarańczowej rewolucji*. Dlaczego Polska oraz inne państwa i narody nieustannie obchodzą rocznice

nawet dawno przebrzmiałych wydarzeń historycznych – tak zwycięstw, jak i klęsk? Już uczeń szkoły podstawowej ma wiedzieć, że wydarzenia przeszłości – dobre i złe – są nauką dla terażniejszości i przyszłości. Czy postawi pan zarzut Żydom, panie Kuglinie, że nieustannie, indywidualnie i zbiorowo – szczególnie młodzież – przyjeżdżają na krakowski Kazimierz i do Oświęcimia, przeżywając przez 60 lat wspomnienie *holocaustu*? A przecież z Niemcami też mają dziś doskonale stosunki. I Niemcy uznali, i przeprosili...

Pan Kuglin pyta, czy *istnieją obiektywne podręczniki czy opracowania historyczne*. Otóż nie ma (w tych sprawach), trzeba więc, panie Kuglinie, jak najprędzej opisać także ukraińskie ludobójstwo, bo dosyć już mamy wybiórczego ukrywania tej części zbrodni II wojny światowej.

Nie wiemy, kim jest p. Kuglin, zauważamy tylko, że ma problem z polszczyzną. Otóż w *Modlitwie Pańskiej* mówimy: ... i o d p u s z c z a m y naszym winowajcom..., a nie *przebacz, przebaczymy*. Mała różnica, ale o czymś mówi.

➔ Któż jest w stanie przewidzieć, że **nazwanie kogoś b r a t e m** może przynieść paranoiczne skutki? W kilku gazetach z pierwszych dni kwietnia przeczytaliśmy, że wśród Ukraińców panuje przekonanie, iż matka Jana Pawła II była... Ukrainką (z domu nazywała się Kaczorowska – to *typowo ukraińskie* nazwisko, prawda?). Przytaczają na tę okoliczność słowa Ojca Św. z 1988 r. (1000-lecie Chrztu Rusi, obchodzone eklezjologicznie w Rzymie): ...*obejmuję was wszystkich jak wasz brat i pierwszy papież słowiańskiego pochodzenia w historii Kościoła*... Przyznanie się więc do braterstwa i słowiańskości też może być niebezpieczne. Ale przecież i do mahometan zwracał się Papież w podobnie serdeczny sposób – czy i oni wyciągaliby z tego podobnie idiotyczne wnioski? Nie, bo są mądrzejsi (można by powiedzieć: nie są *stuknięci*).

➔ W marcu odbyło się w Krakowie spotkanie promocyjne książki historycznej Barbary Ziółkowskiej-Tarkowskiej pt. *Katyńczyk AM 487 – wspomnienie o księdzu kapelanie Ziółkowskim* (wyd. Barwa i Broń, Warszawa 2004) z udziałem autorki, bratanicy księdza.

Autorka dziejami swego wuja zainteresowała się przed 30-kilku laty, gdy po raz pierwszy zobaczyła fotografie z Katynia i przeczytała relację o tajnej działalności duszpasterskiej ks. majora Jana Leona Ziółkowskiego w obozie w Kozielsku. Książka jest finałem 30-letnich poszukiwań wszelkich informacji, wspomnień, dokumentów, fotografii, z życia i służby księdza. Jest to książka o duszpasterzu, patriotcie, który służył Bogu i ludziom w kościele i w koszarach – m.in. w Wilnie, Stanisławowie i Czortkowie, w czasie pokoju i wojny, w sowieckim obozie – gdy sytuacja jeńca wyzwoliła w nim silną potrzebę niesienia posługi kapłańskiej. **został zamordowany w Katyniu.** Ekshumowany w kwietniu 1943 r.

Książka stylem przypomina reportaż, przetykany wątkiem rodzinnym i dramatem katyńskim. Autorka podkreśla, że prócz pobudek osobistych, książkę pisała z myślą o rodzinach innych katyńczyków, niejako przecierając szlak i wskazując drogę dotarcia do dokumentów osób zaginionych na Wschodzie. (KS)

Książka została wydana nakładem autorki, u której też można ją nabyć: Barbara Tarkowska, ul. Łucka 16a/1, 00-845 Warszawa, tel. 0-22 / 845-56-88.

➔ W wywiadzie z reżyserem filmowym Andrzejem Żuławskim, przeprowadzonym przez E. Likowską w „Przeglądzie” 47/04:

[...] *Mam w pamięci jego [Mirostawa Żuławskiego, ojca*] rozmowę z Czesławem Miłoszem w Paryżu, kiedy Miłosz postanowił zostać. A byli na tym samym stanowisku, w tej samej ambasadzie, jeden przejmował pałeczkę od drugiego. Mój ojciec powiedział, że wraca do kraju, i Miłosz zapytał [...]: po co ma pan wracać, przecież może pan wspólnie żyć na Zachodzie. Ojciec odpowiedział: jeśli wszyscy się tak zachowamy, to Polska stanie się 17. republiką. [...]*

* Mirostawa Żuławski (1913–1995), pisarz, w późnych latach 50. (za czasów Gomółki) został, po Miłoszu, attache kulturalnym RP przy ambasadzie paryskiej. Po zakończeniu misji powrócił do kraju, zmarł w Warszawie. Rodzina Żuławskich pochodziła z Dobromila, Mirostawa był synem Jerzego Żuławskiego (1874–1915), autora głośnych niegdyś powieści, m.in. *Na srebrnym globie*. O Andrzeju Żuławskim pisaliśmy w CL 4/96.

➔ Co kilka lat powstaje nowa edycja broszury, prezentującej **Polski Teatr Ludowy we Lwowie** – zawsze z fotografią na okładce pałacu hr. Bielskich przy ul. Kopernika 42, który od lat jest jego siedzibą. Mamy już trzy kolejne wydania broszury – ta ostatnia prezentuje się najokazalej. W tekście cała seria ciekawych artykułów – otwiera ją krótki zarys historii teatru we Lwowie, który – jak pisze autorka A. Marszałek – był obok Warszawy i Krakowa najpoważniejszym polskim ośrodkiem teatralnym, sięgającym swymi *scenicznymi korzeniami* co najmniej XVI wieku (podobny tekst tej samej autorki znalazł się w CL 4/96). Dalej J. Tysson i Z. Chrzanowski przedstawiają powojenne, niemal półwiekowe, czasy teatru działającego w jakże odmiennych warunkach, zaś swoje relacje i odczucia z nim związane opisują J. Janicki i M. Olbromski. I wreszcie sylwetki ludzi tego teatru: Z. Chrzanowski przypomina niezapomnianego twórcę tego teatru, prof. Piotra Hausvatera, oraz ówczesnych aktorów, już niestety nie żyjących.

Na koniec główne postacie z ostatnich lat: sam dyrektor Chrzanowski; kompozytor Andrzej Nikodemowicz – z *doskoku*, bo od ćwierćwiecza w Lublinie; Walery Bortiakow; Jolanta Martynowicz – niestety odeszła w tym roku, jej nekrolog był w CL 1/05; Lidia Chrzanowska-Iłku; Luba Lewak; Krystyna Grzegocka – też z *doskoku*, bo w Krakowie; Jerzy Głybin – we Wrocławiu. Ale nic to, nowe pokolenie już weszło do teatru i działa!

Na końcu podano repertuar teatru z 45-lecia 1958–2003, doliczyliśmy się prawie 80 tytułów. Czy wiele teatrów w RP (poza tymi największymi, gdzie wszak pracują setki profesjonalistów – aktorów, technicznych i urzędników, i kosztują miliony) potrafi zdziałać tyle, co ta grupka zapaleńców, którzy teatrowi mogą oddać tylko wieczory i niedziele?

➔ Wpadł nam w ręce Biuletyn Okręgowej Rady Adwokackiej w Krakowie 2/04, w którym znalazła się relacja z polsko-ukraińskiej konferencji, poświęconej doświadczeniom **w stosowaniu Europejskiej Konwencji Praw Człowieka**. Odbyła się ona w listopadzie '04 we Lwowie, a uczestniczyli w niej sędziowie i adwokaci.

Bardzo dobrze, że prawnicy polscy przedstawiają Ukraińcom problematykę europejską w swojej dziedzinie, jednak parę

tematów tam omawianych wzbudziło nasze wątpliwości. Czy należało akurat poruszać sprawy *zabużańskie*? Czy to właściwe miejsce dla prezentowania problemu* związanego wszak w sposób oczywisty z wygnaniem nas m.in. ze Lwowa, a także z ukraińskim ludobójstwem, które w dużej mierze wywołało *sprawę zabużańską*? Jest to po prostu sprawa naszej ogólnopolskiej godności narodowej, a mówiąc prościej – sprawa dobrego smaku. Czy jednak dziś ma to jakiegokolwiek znaczenie dla współczesnych obywateli naszego kraju – także prawników, w których szeregi wchodzi np. Jan Widacki?

Przedstawiono także kilka innych zagadnień polsko-strasburskich**, nie zawsze dla Polski chlubnych. Ukraińcy podobnych spraw nie poruszali.

Uczestnicy ze strony polskiej mieli okazję być na uroczystości 11 Listopada w lwowskim Teatrze Wielkim, tak się bowiem złożyło, że omawiana konferencja wypadła właśnie w tym czasie (12–13 XI). Zwiedzali także stary Lwów, mamy więc nadzieję, że to i owo z historii Lwowa zauważyli...

Artykuł zilustrowano kilkoma zdjęciami z miasta, m.in. z Cmentarza Obrońców Lwowa.

* Tzw. *sprawa Broniowskiego* – wystąpienie ekspatrianta Jerzego Broniowskiego w 1994 r. do Trybunału Praw Człowieka o niespektowaniu należnych rekompensat, zaopiniowane tam korzystnie dla powoda.

** Trybunał Praw Człowieka mieści się w Strasburgu (Francja).

➔ **O sprawach *zabużańskich*** – raz w jedną, raz w drugą stronę. Swoje zdanie na ten temat napisaliśmy we wstępie do poprzedniego numeru.

Aż tu naraz w krakowskim „Dzienniku Polskim” 120/05 rzucił się w oczy taki tytuł: *Koszary dla Zabużan*. Wspaniała wiadomość, bo oto XIX-wieczny jeszcze, a nie mały, gmach koszar poaustriackich w Wadowicach, dziś nieczynny i na pół zdewastowany, miałby – po odnowieniu i adaptacji – posłużyć na mieszkania dla repatriantów z byłego ZSRR.

Niestety, nie wystarczy czytać tytułów. Okazuje się, że nieprzydatny miastu obiekt wystawiono na przetarg. Zgłosiło się czterech chętnych i piąty – pełnomocnik *rodziny wysiedlonej zza Buga*. Więcej informacji

NASZE ZABYTKI

ŚWIETNOŚĆ I ZMIERZCH PAŁACU
JABŁONOWSKICH

Poniższy artykuł, napisany przez naszego Seniora, dra Tadeusza Krzyżewskiego, znalazł się po raz pierwszy w „Gazecie Lwowskiej” z 13 (lub 19) grudnia 1942 r. Publikując teraz ponownie ten tekst, przypominamy trzy ważne sprawy: po pierwsze: nieistniejącą już lwowską siedzibę wielkiego rodu, mocno związanego z naszym miastem i Małopolską Wschodnią; po drugie: chwalebny działalność „Gazety Lwowskiej” w czasie okupacji niemieckiej, akcentującą polskość Lwowa i ziemi wschodniomałopolskiej; po trzecie: równie piękne, lwowsko-patriotyczne działanie – przez całe życie – Tadeusza Krzyżewskiego oraz Jego wiedzę i doskonale pióro.

Artykuł drukujemy z niewielkimi skrótami. Autor zaczyna od opisu balu sylwestrowego w pałacu w r. 1767 – tę część oraz zakończenie pomijamy.

[...] Komnaty pałacu Jabłonowskich były miejscem reprezentacyjnym Lwowa i okolicy. Opromieniał go jeszcze odblask sławy hetmańskiej Stanisława Jabłonowskiego¹, znakomitego wodza, co wschodu i zachodu, Lwowa oraz Wiednia bro-



brak. Dowiadujemy się tylko, że cena wywoławcza w przetargu wyniosła 1 milion zł. *Zabużanin* miał tu fory, bo – jak czytamy: *osoby, które po wojnie w wyniku zmiany granic utraciły nieruchomości, mają prawo do rekompensaty w formie mienia zastępczego, nie musiał więc płacić wadium. Czyżby i cały obiekt dostał jako rekompensatę?* To mało prawdopodobne, ale notatka jest dość mętnie napisana. Pełnomocnik *rodziny zabużan* poinformował, że są plany, by w tym miejscu otworzyć hotel. Ostateczną decyzję ma podjąć wojewoda.

To wspaniałe, prawda? Przyjechał *zabużanin* (niestety nie wiemy kiedy i skąd, ani kto to jest), wziął sobie pełnomocnika – i już prawie ma hotel. A przedtem go odbuduje. To świetny przykład dla wszystkich braci *zabużan*! Wyciągajmy te miliony z kieszeni i kupujmy koszyki.

Albo jeszcze chwilę poczekajmy...

➔ W najnowszym numerze (2/05) „**Na placówce**” (nieraz już wspomnianego na naszych łamach, pisma *obożu niepodległościowego* na Podhalu) ukazało się kilka artykułów dla nas szczególnych. Najważniejszy to artykuł samego redaktora Wojciecha Orawca: *Trzydniowa bitwa lotników polskich i amerykańskich z konnicą Budionnego o Lwów*. Ponadto: *Górale dla Kresowian* – o kweście przed kościołami kilku parafii podhalańskich – na pomoc dla Polaków na Wołyniu. I wreszcie: przedruk artykułu prof. Kazimierza Wiecha z naszego kwartalnika (CL 3/04); *Wędrówki po Czarnohorze*.

Ponadto sprawy regionalne, dobre i złe: o zakopiańskim starostwie i szkolnictwie, o życiu emigracyjnym w USA, o Janie Pawle II i 3 maja w Zakopanem, a nawet o fizyce. Wszystko ciekawe.

➔ Ukazało się już 2. wydanie ciekawych wspomnień **dra Kazimierza J. Nahlika**: *We Lwowie i na Pokuciu. Ścieżki mojej młodości* (wyd. Arcana, Kraków 2005). Bardzo polecamy: środowisko inteligencji lwowskiej lat trzydziestych.

➔ W „*Myśli Polskiej*” 4/05 ukazały się równoległe (i obok siebie) dwa obszernie, a przeciwnie artykuły **o sytuacji na Ukrainie** po grudniowych wyborach '04. Pierwszy z nich – to Wiktora Poliszczuka *Pomarań-*

czowa rewolucja, w którym autor dowodzi, że walka o prezydenturę nie toczyła się w istocie nigdy między Juszczenką a Janukowiczem, lecz była batalią Stanów Zjednoczonych o oderwanie Ukrainy od Rosji (na marginesie: autor zauważa, że żona Juszczenki jest obywatelką USA i zarazem zdecydowaną *banderówką*).

Poliszczuk zwraca uwagę, że *Polska* – tzn. Kwaśniewski i całe grono *polskich* polityków – popierając Juszczenkę, nie uwzględniła faktu, że ważnym czynnikiem wykonania *pomarańczowej* rewolucji były siły nacjonalizmu ukraińskiego z Ukrainy, Polski i Zachodu. Te siły dochodzą dziś do głosu i mogą kształtować politykę Ukrainy wobec Polski (na szczeblu centralnym, a przede wszystkim – co dla nas ważne – na szczeblu lokalnym w zachodniej prowincji tego państwa, czyli w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu).

Zważmy przy tym, że przewaga Juszczenki nad Janukowiczem nie była zasadnicza (różnica 2,2 miliona wobec 28 mln głosów łącznie) – a na taką perspektywę zwracało uwagę przed wyborami szereg publicystów w Polsce (relacjonowaliśmy to w poprzednich numerach). Efektem więc owego daleko idącego poparcia jest zepsucie stosunków Polski nie tylko z niemal połową Ukrainy – zwłaszcza jej bogatszej, uprzemysłowionej części – a może przede wszystkim z Rosją.

Drugi artykuł podnosi natomiast korzyści, jakie uzyskała Ukraina – sama dla siebie – wygrywając Juszczenkę: *Ukraina jest dziś państwem wolnym i demokratycznym* – pisze autor, Eugeniusz Tuzow-Lubański z Kijowa. Artykuł ten jednak nie daje żadnej odpowiedzi na problemy stawiane przez Poliszczuka, interesujące nas najbardziej. I wcale nie możemy wyciągnąć wniosku, że „nowe” w juszczenkowskiej Ukrainie stwarza dla nas korzystne perspektywy na przyszłość.

➔ Niezwykle gorliwa w swym szczególnie rozumianym *obiektywizmie* „*Gazeta Wyborcza*” 28/05 wydrukowała wypowiedź jakiegoś publicysty Askolda Jeromina pt. **Czy Cmentarz Orląt jeszcze napsuje krwi** (!?), a w niej znalazło się takie zdanie:

Napis „bohaterski” jest nie do przyjęcia, bo wojna Polaków w 1918 r. była niespra-

wiedliwa, a jej prawdziwymi bohaterami są Ukraińcy (!).

A potem jeszcze: *Lwów na zawsze pozostanie ukraiński, więc nawet jeśli Cmentarz Orłąt miałyby się stać „panteonem polskiej sławy wojskowej”, ukraińskiemu Lwowowi to już w żaden sposób nie zagraża.*

No więc po co ta histeria? Widać, że radni nie są całkiem tego pewni...

➔ Na półkach księgarń pojawiła się 3-tomowa (!) powieść niejakiej Marii Nurowskiej, której książki – jak czytamy w folderku – są dostępne w oprawie miękkiej, twardej oraz w wydaniu kieszonkowym. To niezwykła zachęta. Ale to jeszcze nic: autorka strzeliła tytułem: *Powrót do Lwowa* (wyd. WAB).

Cóż robi lwowianin, który na taki tytuł w księgarni natrafi: chce książkę zobaczyć, a może nawet kupić. Najpierw jednak, pełen najlepszych nadziei, przerzuca strony i – tu włos się jeży.

Wróćmy do wspomnianego folderu – przepisujemy: „*Imię twoje*” i „*Powrót do Lwowa*” Marii Nurowskiej to powieści, w których zawikłane losy bohaterów spletają się z najnowszą historią Ameryki i Ukrainy, z jednej strony tragedią zamachu na WTC i zachwianiem zaufania do własnego państwa, z drugiej – walką o wolność i niezależność, przeciwko bezprawiu i obcej władzy. [...]

No właśnie. Imiona bohaterów polskiej autorki to Oksana, Mykoła, Jeff, Elisabeth, Alek. Mowa o Czarnobylu, Czeczenii, Nowym Jorku, a do tego wszystkiego – Lwów. Dlaczego akurat Lwów, a nie Charków czy Donieck? Ileż trzeba niedelikatności wobec własnych (?) rodaków-ekspatriantów, by w tym kontekście wybierać właśnie Lwów, i to jeszcze w tytule. A może na nas liczyła jako nieświadomych nabywców?

My mieliśmy i mamy swoje dramaty, tragedie. Przeżywaliśmy wojnę i ludobójstwo, nie widzimy więc racji, by akurat wymyślone przez Nurowską problemy ukraińsko-amerykańskie czytać, zachęceni całkiem sztywnym związkim ze Lwowem.

Ostrzegamy!

Ucrainica

➔ **Ukraiński poeta zamieszkały w Stanisławowie**, Jurij Andruchowycz, w artykule *Kraj marzeń* (gdzieżby – oczywiście w „Ga-



nił przed Tatarami i Turkami. Wszak niepełna wiek temu wybudował on sobie ten magnacki zamek na uroczych stokach „Skałki”², ponad sielsko szumiącym potokiem Pełtwi.

Dobłą po sobie pamięć zostawił hetman, nie tylko Lwowa obrońca, ale i jego pomnożyciel – fundator kolegium Jezuickiego, twórca najpiękniejszego wówczas parku angielskiego, założonego na tych terenach, z ośmioma słynnymi czworobokami lip, zasadzonych na pamiątkę odsieczy wiedeńskiej. Hucznie przyjmował w r. 1698 w siedzibie tej stary książę króla swego – Augusta II Saskiego, a i w latach następnych odbywały się tu bajecznie kolorowe festyny, do których sposobności nigdy nie brakło.

Inny zapanował w tych murach duch, gdy po śmierci syna hetmańskiego Jana³ w r. 1731 zamek objęła w posiadanie wdowa po nim margrabianka de Bethune, Francuzka, wprowadzając tu francuskie obyczaje, ale i francuską gospodarność. Cały teren przyległy pokryła ogródkami, na gliniastych wzgórzach założyła cegielnię⁴, a okoliczne młyny dla niej męły zboże.

Rzadziej przebywał w tym pałacu następny jego dziedzic – Józef Aleksander Jabłonowski⁵, uczony podróżnik i dziwak, co aż w Lipsku zakładał towarzystwa badawcze, a dopiero ostatni właściciel – Maciej Jabłonowski⁶, wielki mecenas sztuki, przysporzył mu znów rozgłosu, założywszy w ogrodzie najstarszy we Lwowie teatr letni, zbudowany przez Włocha Marano w trzech kondygnacjach na splantowanym wzgórzu⁷. Tu warszawska trupa Bogusławskiego dawała w 1796 r.⁸ premierę zawsze młodego wodewilu *Krakowiaci i Górale*, a przedstawienia klasyczne trwały niejednokrotnie całą noc.

zecie Wyborczej” z 23–24 X '04) zestawia pojęcia „przeciętnej świadomości Ukraińca” (tylko jakiego Ukraińca?). Piszę tak:

...dzielę kartkę papieru pionową kreską na dwie połowy. Tym razem po jednej stronie mam Polaków, po drugiej – Rosjan. I wychodzi mi, że:

Rosjanie są bezpośredni i szczerzy – Polacy chytry i obłudni;

Rosjanie są wielcy i wspaniali nawet w zbrodniach – Polacy zapobiegliwi i matostkowi nawet w swoich wielkich czynach;

Rosjanie zdolni są do współczucia, oddadzą ostatnią koszulę – Polacy prędejją zedrą;

Rosjanie są „swoi”, prawosławni – Polacy to katolicy, „jezuici”;

Rosjanie to dobrotliwi pijacy – Polacy wyrachowane skapiradła;

Rosjanie są ludzcy – Polacy „pańscy”;

Rosjanie klną, za to szczerze – Polacy udają, że przepraszają;

Rosjanie nie mają zakusów wobec Ukrainy, chcą z nią żyć w jednym państwie – Polacy mają zakusy wobec Ukrainy, bo chcą mieć Lwów;

Polska jest za granicą – Rosja tam, gdzie i my, w „Związku”.

Może to i dowcipne. Nieco dalej zauważa – *nieziemnie chamskich i skorumpowanych celników [polskich oczywiście], niegodziwych pracodawców [którzy zatrudniają np. Ukrainki do opieki nad dziećmi lub starcami] i – Panie Boże przebacz! – niezbyt sympatycznych starych i hałaśliwych [!?] ludzi, którzy ostatnimi czasy tłumnie krążą po Lwowie z aparatami fotograficznymi, wyraźnie naśladując tłumy swych niemieckich rówieśników, powiedzmy, we Wrocławiu.*

Doдам też nieszczęsne wizy wprowadzone przez Polskę, co przeciętne Ukraińca utwierdza jedynie w mniemaniu, że Polacy w rzeczywistości nas nie lubią i że jesteśmy dla nich interesujący głównie jako tania siła robocza.

Dyskutować nad takim bełkotem nie warto, trzeba tylko zwrócić uwagę, że wizy – narzucone (chyba słusznie) przez Unię Europejską – udzielane są za darmo i możliwie szybko, aby umożliwić Ukraińcom normalny ruch transgraniczny (na handel i do pracy *na czarno*). Przypomnijmy, że do tego celu zaangażowano nauczycieli z obu szkół

polskich, co stworzyło dla nauczania dzieci i młodzieży polskiej stan katastrofy.

A propos: warto przeczytać notatkę w tym numerze w dziale *Z tamtej strony – Wydarzenia*.

➔ „Nasz Dziennik” z 26 I 2005 w artykule Adama Kruczka pt. *Ofiary pojednania* pisze, że **władze Lublina zamierzają zlikwidować** najlepszą w mieście bursę – gdzie mieszka ponad 260 uczniów – i przekazać ją na siedzibę *Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów*. Nie pomagają sprzeciwy radnych, rodziców uczniów i pedagogów. Kolegium, powołane w 2000 r. przez UMCS, KUL i 3 uniwersytety ukraińskie oraz Instytut Europy Środkowo-wschodniej, ma być instytucją prowadzącą studia doktoranckie. Autorem tej inicjatywy jest Bohdan Osadczyk, Ukrainiec mieszkający w Niemczech. Kolegium skupia obecnie 167 słuchaczy, w tym 136 Ukraińców. Porozumienie między uczelniami nie określało jasno kwestii finansowych, ale w 2001 r. prez. Kuczma zadeklarował współfinansowanie uczelni. Jednak do dziś kosztą ponosi wyłącznie strona polska – Ministerstwo Edukacji i Sportu.

Doktoraty uzyskane w Polsce nie są honorowane na Ukrainie, nie opłaca się więc kończenie studiów. Część ukraińskich doktorantów pobiera stypendia, nie prowadząc żadnych badań, miesiącami przebywając poza Lublinem. Władze Kolegium zapowiedziały większą dyscyplinę, comiesięczne sprawozdania i zasięganie opinii opiekunów naukowych. We wrześniu ub. roku resort edukacji zapowiedział, że wobec braku jakiegokolwiek zainteresowania strony ukraińskiej sprawą finansowania ukraińskich doktorantów, nie będzie wypłacać stypendiów nowemu rocznikowi. Spowodowało to odwołanie naboru jesiennego, co może prowadzić do likwidacji Kolegium.

➔ Z powyższą informacją współgra zamieszczony w „Myśli Polskiej” z 3 X '04 artykuł Wiktora Poliszczuka, omawiający jego nową książkę pt. *Cień Bandery nad zbrodnią ludobójstwa*. Książka jest podsumowaniem wiedzy autora o **ludobójstwie na ludności polskiej i ukraińskiej**, dokonany przez struktury nacjonalizmu ukraińskiego. Autor podaje, iż w Polsce zauważane są działania w kierunku rehabilitacji OUN-UPA. Oto ukraińscy historycy tej formacji powołali w czerw-

cu 2004 r. *Ukraińskie Towarzystwo Historyczne*. Współorganizatorem jest dr Roman Wysocki, autor pracy doktorskiej *Organizacja OUN 1929–1939*, którą zrecenzowali pozytywnie Polacy – prof. Chojnowski i prof. Horak (?). Poliszczuk napisał krytyczną recenzję tej pracy, zatytułowaną *Podręcznik nacjonalizmu ukraińskiego*. Twierdzi, że jest to zaplanowane przygotowanie nacjonalistycznych kadr do nobilitacji zbrodniczej OUN. Takie prace powstają, pozytywne recenzje piszą polscy (?) historycy, są promotorami prac, nadają stopnie naukowe, natomiast brak u nas przeciwstawienia się tym działaniom. W 1994 r. odbyło się z inicjatywy Ośrodka „Karta” („Fundacja Batorego” pod auspicjami Sorosa) spotkanie polskich i ukraińskich historyków, gdzie ustalono, że UPA była formacją narodowo-wyzwoleńczą, i to ustalenie obowiązuje do dziś.

W. Poliszczuk uważa, że *kresowianie* przez swoje rozdrobnienie organizacyjne są słabi, nie są więc w stanie przeciwstawić się takim tendencjom. Pokrzywdzona ludność polska nie żąda ukarania, nie kieruje się nienawiścią, chce jedynie oficjalnego potępienia ludobójstwa. Jeśli więc zwycięży ukraińskie kłamstwo – wina spadnie również na brak aktywności ze strony kresowian. (MW)

► Przedstawiamy Czytelnikom pisemko dla dzieci, kupione w 2004 r. w cerkwi we Lwowie – tytuł *Swit ditiny*, nr 5/03 – a w nim artykuł podpisany inicjałami ŁŁ pt. *Nieśmiertelni bohaterowie*. Oto tłumaczenie:

(...) *Szanując matki, które wychowują swoje dzieci w miłości do Boga i Ukrainy, zawsze pamiętajmy, że przykład największej matczynej miłości dała Przczysta Dziewica Maryja: ofiarowała swego jedyne-go Syna dla wykupienia ludzkiego rodu. Dzień Matki jest dla nas Ukraińców potrójnym świętem: Bożej Matki, Matki Ukrainy i matki każdego z nas.*

Maj dla naszego narodu jest ponadto miesiącem bohaterów. Nie zapomnijcie oddać szacunku tym, którzy żyli i pracowali dla Ukrainy i polegli za nią. Krwawe daty naszej historii powinien znać i pamiętać każdy człowiek – dorosły czy jeszcze całkiem młody.

25 kwietnia 1926 roku w Paryżu (Francja) zginęła głowa ukraińskiego państwa i główny wódz Ukraińskiej Armii, S e m e n

Roili się w on czas ogrody Jabłonowskich od tłumów, szukających tu spoczynku i ochłody w cieniu wyniosłych lip, pod wtór szmeru peltwiańskiego strumyka. Sielanka ta trwała do r. 1882, gdy w zakupionym ostatnio przez wojskowość pałacu, który wskutek ustawicznych przeróbek zatracił niemal całkowicie swój monumentalny charakter barokowy – rozkwaterowały się 2 kompanie austriackich grenadierów.

Odtąd przez wiek przeszło w poszarzałych murach pałacowych i zamienionym na plac musztry ogrodzie rozbrzmiewały jeno ostre dźwięki komendy i ciężki tupot setek miarowo stąpających nóg. Jeszcze tylko w 1877 r. przypomniał sobie teren pałacowy dawną świetność, dając schronienie pierwszej gospodarczej Wystawie Krajowej, poprzedniczcze słynnej Wystawy z r. 1894. To już ostatnia pieczęć dziejowa na księdze wspomnień cywilnych ogrodu Jabłonowskich.

Cały świat przemian społecznych – od burzliwej epoki rycerskiej, poprzez wiek rokoka, kusych fraczków i białych peruk, salonowych intryg i rozłożystych krynolin; poprzez romantyczne spacery i łzawe westchnienia w kunsztownych alejach ogrodów pałacowych i w sztucznych ruinach amfiteatru – do zmilitaryzowanego wieku pary i elektryczności oraz współczesnych osiedli w ogródkach i najnowocześniejszych urządzeniach kultury fizycznej – wszystko kryje w sobie ta jedna posesja wokół niegdysiejszego pałacu Jabłonowskich. [...]

Tadeusz Krzyżewski

PRZYPISY

- 1 Jabłonowski Stanisław Jan, h. Prus III (1634–1702), ur. w Łuczy k. Jabłonowa w ziemi halickiej. Kasztelan krakowski i hetman wielki koronny. Należał do wybitnych przedstawicieli staropolskiej sztuki dowodzenia, ale w strategii nie posiadał większej inicjatywy, był wykonawcą planów naczelnych wodzów, w tym Sobieskiego. Zbudował łańcuch fortów wzdłuż Dniestru, m.in. Okopy św. Trójcy w widłach Zbrucza i Dniestru. Z końcem XVII w. postawiono mu we Lwowie pomnik na wa-

dokończenie na III s. okładki

Petlura. Zabił go moskiewski najmita. Samo imię Semena Petlury było nienawistne dla władzy bolszewickiej Rosji. Jednakże głównego wodza znała cała Ukraina i na jego rozkaz każdy Ukraińiec brał do ręki broń i szedł przeciw wrogowi. Dlatego bolszewicy za wszelką cenę postanowili zniszczyć Semena Petlurę.

23 maja 1938 roku druga wielka strata, która odcisnęła się piekącym bólem w sercu każdego świadomego Ukraińca. W mieście Rotterdamie (Holandia) moskiewscy kaci dokonali jeszcze jednej krwawej zbrodni – zabili wiernego syna Ukrainy, pułkownika Jewhena Konowalca, głowę, przywódcę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Szanując pamięć naszych bohaterów pamiętajcie, że musicie być tacy mężczyźni i wytrwali, jak główny dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii – generał chorąży Roman Szuchewycz, którego powstańcy nazywali Tarasem Czuprynką. Zginął w boju z moskiewskim wrogiem 5 maja 1950 roku w pobliżu wsi Biłohorszczy.

Zawsze noście w swoich duszach obraz Stepana Bandery – przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zginął on 15 maja 1959 roku. I znowu uczyniła to podstępna ręka „złoczynej” Moskwy.

Dlatego, moi drodzy przyjaciele, jak zwraca się do nas prorok i uczony Taras Szewczenko: „Myślcie, czytajcie, abyście stawszy się dorosłymi, mogli godnie przysłużyć się swoim rozumem, talentem i uczynkami naszej Matce-Ukrainie. Niech przeczyta Dziewica Maryja dopomaga wam w tym”. [...]

Komentarz na podstawie książki Wiktora Poliszczuka *Ludobójstwo nagrodzone: Semen Petlura* stał na czele Dyrektoriatu Zachodniej Ukraińskiej Republiki Ludowej utworzonej 1 XI 1918, kiedy Ukraińcy przejęli władzę we Lwowie po bohaterskiej obronie miasta przez Orłęta Lwowskie i kłęsce Ukraińców.

Jewhen Konowalec – pułkownik, dowódca Ukraińskiej Halickiej Armii (UHA), wraz z wojskowymi działaczami zorganizowali w Pradze w 1920 r. Ukraińską Wojskową Organizację (UWO), której celem była walka z Polską, prowadzona wszelkimi metodami, nie wyłączając działalności terrory-

stycznej. UWO prowadziła też działalność wywiadowczą na rzecz Niemiec.

Roman Szuchewycz, zwany Tarasem Czuprynką, był jednym z dowódców batalionu „Nachtigall”, współpracującego z armią hitlerowską, czołowym działaczem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) Bandery, później głównym dowódcą UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii). W przeddzień najazdu Niemiec hitlerowskich na Związek Sowiecki OUN Bandery w porozumieniu z Abwehrą zorganizowała w ramach tej niemieckiej organizacji Drużyny Ukraińskich Nacjonalistów (DUN), w składzie batalionów „Nachtigall” i „Roland”, które brały udział w agresji Niemiec na Polskę i Związek Sowiecki, jak również w operacjach pacyfikacyjnych przeciwko cywilnej ludności – czystkach etnicznych.

Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) – podziemna siła zbrojna Stepana Bandery dążyła do zdobycia władzy państwowej. Od swego powstania do końca wojny współpracowała z Niemcami. Od marca 1943 r. UPA przystąpiła do planowej akcji likwidacji elementu polskiego na Wołyniu. Aktywiści Bandery dokonywali pogromów Żydów we Lwowie. UPA była wykonawcą ideowo-programowych wskazań, dotyczących czystek etnicznych.

(MW)

Stefan S. Łukowski, Krystyna Stafińska (KS),
Marta Walczewska (MW)

ERRATA

Takie braki znaleźliśmy (albo nam znaleziono) w CL 2/05:

W przypisach na s. 23 w haśle *Alexiewicz* wypadło zdanie, że w latach 90. Profesor był prezesem oddziału TMLiKPW w Poznaniu.

W *Wydarzeniach* na s. 45 napisaliśmy, że reprodukuje cztery plakaty, ale widać tam tylko jeden! Pozostałe pokazujemy w następnym numerze.

Za te niedociągnięcia bardzo przepraszamy!

- łach miejskich (mniej więcej u wylotu ul. Skarbkowskiej), na których miejscu, po zasypaniu Pełtwi i zrównaniu, utworzono pas plantacji, nazwany Wałami Hetmańskimi. Pomnik został przeniesiony na przełomie XIX/XX w. na plac Trybunalski, a podczas drugiej okupacji sowieckiej zlikwidowany. Hetman był dziadkiem króla Stanisława Leszczyńskiego.
- 2 Są to zachodnie stoki Góry św. Jacka, opadające ku Pełtwi, która płynęła (i dziś płynie skanalizowana) wzdłuż późniejszej ul. Jabłonowskich.
 - 3 Jabłonowski Jan Stanisław (1669–1731; syn hetmana), wojewoda ruski, pisarz moralista. Jego żona, margrabianka de Bethune, była siostrzenicą królowej Marysieńki Sobieskiej.
 - 4 Niewykluczone, że chodzi o cegielnię, które jeszcze w 1. połowie XX w. znajdowały się w pobliżu, po południowej stronie Góry św. Jacka. Pisał o nich A. Trojanowski w CL 3/03 (*Moja Góra św. Jacka*).
 - 5 Jabłonowski Józef Aleksander (1711–1777; wnuk hetmana, bratanek Jana Stanisława); założyciel Tow. Naukowego Societas Jablonoviana w Lipsku.
 - 6 Jabłonowski Maciej (1757–1844; prawnuk hetmana, kuzyn Józefa Aleksandra).
 - 7 Nieścisłość: teatr letni, o którym mowa, został zbudowany przez Wojciecha Bogusławskiego (wg projektu Włocha Maraino), w jednym z dębowych czworoboków, o których mowa wyżej. Starszy amfiteatr w parku Jabłonowskich był dla Bogusławskiego jedynie inspiracją (wg Jerzy Got, *Na wyspie Guaxary. Wojciech Bogusławski i teatr lwowski 1789–1799*).
 - 8 Autor podał mylną datę – 1802. W tym czasie Bogusławskiego we Lwowie już nie było (wyjechał ze swym teatrem w roku 1799).

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk,
Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Maria Taszycka,
Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczevska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, fall@fall.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

		Wiersz-piosenka Marian Hemar ROZMOWA Z KSIĘŻYCEM	40
Słowo od redakcji KROK NAPRZÓD	II	Proza Lucjan Siemiński LEGENDY	42
Zamiast felietonu Zbigniew Herbert KRAJ. WIATR I RÓŻA, MATKA	1	Nasze miasta BRODY	43
Jadwiga Czerwińska Z GRZYMAŁOWA W ŚWIAT HELLADY	2	NA RZECZ POLAKÓW I POLSKOŚCI (2)	44
OJCIEC PIŚMIENICTWA POLSKIEGO	6	Słownik geograficzno- -historyczny Maria Taszycka	45
Adam Trojanowski PILLEROWIE, DRUKARZE LWOWSCY	7	JEZUPOL ♦ MARIAMPOL ♦ PODHORCE	45
Maria Pawłowiczowa DRUKARNIA CHOWAŃCÓW W STANISŁAWOWIE...	10	KOLEJ TRANSVERSALNA – CZY ODŹYJE? Archiwum PIONOWO I POZIOMO...	46
Ks. Lesław Jeżowski STANISŁAWOWSKIE KOŚCIOŁY (4)	12	Sylwetki BISKUP NA WYGNANIU	47
Piotr Marek Stański Z ŻYCIA TEATRALNEGO LWOWA I KRAKOWA	14	Maksymilian Jamnicki GRZEGORZ LWOWSKO-DUNAJOWSKI	48
ROZMOWA O OTWARCIU	21	Marta Walczewska ZAPOMNIANY LWOWSKI WYNAŁAZCA	49
Wspomnienie Wanda Niemczycka-Babel WSZYSTKIE SZKOLNE LATA	28	Z tamtej strony KOLEJNY HORROR WE LWOWIE NOWY ZAMEK? WYDARZENIA	51 52 52
Henryk Zbierzchowski NA 25-LECIE ZAKŁADU...	32	Polacy z Polakami STRZELCZYSKA	54
Marta Walczewska STULECIE SZKOŁYSS. NÔTRE DAME WE LWOWIE	33	W Krakowie i dalej JUBILEUSZ KRAKOWSKIEGO „SOKOŁA” XIII ZJAZD BRODZIAN	55 56
List do redakcji	35	NOTATKI	57
Monika Agopsowicz, Elżbieta Łysakowska KOBYLEC (2)	36	Kultura ♦ Nauka TEATR LWOWSKI W KRAKOWIE SOKOLSKIE SYMPOZJUM KRONIKA	59 59 60
Archiwum KIM SĄ ŁEMKOWIE?	38	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	61 71
Irena Suchanek KONCERTY NA ZADWÓRZAŃSKIEJ	39	Nasze zabytki ŚWIETNOŚĆ I ZMIERZCH PAŁACU	75